

A hand holding a blood-soaked axe against a white background. The hand and the wooden handle of the axe are covered in splatters of red blood. The metal head of the axe is also heavily stained with blood, with some splatters extending onto the white background.

Przemysław
Garczyński

KELNER

Brutalne morderstwa
wstrząsają opinią publiczną.

**CZY ŚMIERĆ STANOWI
REMEDIUM NA BRAK NADZIEI?**

NOVAE RES

Przemysław
Garczyński

KELNER



NOVAE RES

Basi,

bez której nie byłoby niczego

Spis treści

Niedziela, siódmy czerwca 2015

Poniedziałek, ósmy czerwca 2015

Poniedziałek, ósmy czerwca 2015

Wtorek, dziewiąty czerwca 2015

Środa, dziesiąty czerwca 2015

Czwartek, jedenasty czerwca 2015

Piątek, dwunasty czerwca 2015

Sobota, trzynasty czerwca 2015

Poniedziałek, piętnasty czerwca 2015

Wtorek, szesnasty czerwca 2015

Epilog

Podziękowania i posłowie

I

Niedziela, siódmy czerwca 2015

– Je-e-e-e-e-e-e-st! Mamy Majstra-a-a-a-a-a! – Jakub Wilczek darł się wniebogłosey, patrząc w ekran swojego telewizora. Jego ukochany klub, Lech Poznań, zdobył tytuł mistrza Polski po raz siódmy w historii i po raz drugi, od kiedy on sam wstąpił w szeregi służb mundurowych i trafił do wydziału śledczego Komendy Wojewódzkiej Policji w Poznaniu.

To właśnie jako policjant Jakub po raz pierwszy w życiu pojawił się na stadionie. Obiekt przy ulicy Bułgarskiej dość szybko przypadł mu do gustu, podobnie gra Lechitów (choć w tym przypadku wielokrotnie zmieniał zdanie), toteż starał się pojawiać na większości meczów w Poznaniu. Tytuł „majstra”, jak mówili poznaniacy, zdobyty piętnastego maja 2010 roku był dla Wilczka wyjątkowy – po pierwsze, właśnie od tamtego sezonu zamieszkał w stolicy Wielkopolski i odkrył smak futbolu. Po drugie, w mistrzowskiej drużynie grał zawodnik, któremu Kuba skrycie z całego serca kibicował tylko i wyłącznie z powodu imienia i nazwiska – Jakub Wilk.

Od tamtej pory wiele się zmieniło: piłkarz trafił do klubu Žalgiris Wilno i słuch po nim zaginął, klub trzykrotnie zmienił trenera, a Jakub Wilczek z przeciętnego policjanta stał się nadkomisarzem i jednym z najlepszych śledczych w Wielkopolsce. Tym razem nie oglądał jednak meczu z trybun, a w zaciszu domowego ogniska, w którym od pewnego czasu znów samotnie wznicał płomień. Wiedział, że jeśli Lech zdobędzie tytuł, tłumy kibiców wypłyną na ulice miasta – nie tylko na plac Mickiewicza, gdzie planowano fetę. Masowy exodus kiboli i ich pseudoodpowiedników upojonych zwycięstwem i grubymi procentami oznaczał dla Wilczka jedno – mnóstwo roboty w poniedziałek rano. Ten coś zdemoluje, tamten – oczywiście „niechący” – uderzy policjanta... o nie, jutro o szóstej Kuba musi być trzeźwy. I wyspany.

Spojrzał na zegar umieszczony na cyfrowym budziku. Migotały na nim złowieszczo cztery dwójki. Wprawdzie daleko im było do trzech szóstek, ale zadziały niemal równie złowrogo. Wilczek natychmiast wyłączył telewizor, wykonał szybką serię brzuszaków, pompek i przysiadów – jeden z codziennie towarzyszących mu rytuałów, po czym rozebrał się do naga i po ekspresowym prysznicu, już w samych tylko bokserkach, wskoczył pod kołdrę, licząc, że najbliższa noc nie będzie tragiczna dla tych jego kolegów, którzy pełnili o tej porze służbę.

Starszy mężczyzna przesadnie westchnął, po czym włożył buty, założył psu

obrożę, przypiął do niej smycz i wyszedł z czworonogiem z kamienicy. Była dwudziesta trzecia pięćdziesiąt – o tej porze zwykle odwracał się na drugi bok i donośnie chrapał, śniąc o zbliżającej się nieuchronnie emeryturze. Jeszcze tylko rok i on, Eugeniusz Chorwat, wreszcie rzuci w diabły bycie woźnym w pobliskim ogólniaku, by w całości poświęcić się swojej działce w podpoznańskich Złotnikach.

Tymczasem kibice postanowili chyba, że Poznań powinien konkurować z Rio de Janeiro o miano stolicy karnawału, bo na ulicach miasta toczyła się nieprzerwana impreza, z powodu której Chorwat nie mógł tej nocy zasnąć.

Po wyjściu z kamienicy przy Dąbrowskiego mężczyzna udał się ulicą Mickiewicza, a następnie Barzyńskiego w kierunku torów na trasie Poznańskiego Szybkiego Tramwaju, zwanego „pestką”. Tędy właśnie, ścieżką wzdłuż torów, a dalej ulicami Niską, Grudzieniec i Klin, zwykł wybierać się na spacer aż do Parku Wodniczki. Także i tym razem, mimo późnej pory i panujących na szlaku ciemności, postanowił wędrować stałą trasą. Ot, przyzwyczajenie.

Nieoczekiwanie jednak, gdy zbliżali się do tunelu pod wiaduktem kolejowym, jamnik Eugeniusza Chorwata zaczął nerwowo warczeć i ciągnąć właściciela do przodu.

– Czarek, do nogi! – zawołał, próbując uspokoić swojego nocnego towarzysza. Ten jednak, nie zważając na prośby pana, ciągnął do przodu tak uparcie, że w końcu starzec wypuścił z ręki smycz. Czarek natychmiast skorzystał z okazji i wyrwał się w stronę skarpy, po czym zaczął jeszcze głośniejsze ujadać.

Woźny przeszedł pod wiaduktem. W oddali dostrzegł jadącą na rowerze znajomą postać. Kiwnął ręką na powitanie, cyklista jednak albo tego nie dostrzegł, albo bardzo się spieszył, bo zostawił uprzejmy gest bez odpowiedzi. Eugeniusz Chorwat wzruszył ramionami, po czym spojrział w kierunku psa. To, co zobaczył, nie było normalne. A już na pewno nie było odpowiednie dla jego staruśkiego, pozawałowego serca. Przerażony trzykrotnie się przeżegnał, po czym wyjął z kieszeni kamizelki telefon komórkowy i drżącą ręką, opierając się o barierki oddzielające ścieżkę od torów tramwajowych, wykręcił numer 112.

II

Poniedziałek, ósmy czerwca 2015

Kwadrans po północy dźwięk telefonu wyrwał Wilczka ze snu. Jakub otworzył oczy, wymacał ręką telefon na stoliku nocnym i odebrał zaspanym głosem:

– Słucham?

– Jakub, sorry, że Cię budzę, ale obawiam się, że pracę rozpoczniesz wcześniej niż o ósmej – rozległ się w słuchawce głos Staszka Muszyniaka, pełniącego tej nocy służbę dyżurnego w komendzie.

– A która jest godzina? – wymamrotał Wilczek, przecierając oczy, które próbowały wraz z resztą organizmu zmusić policjanta do kontynuowania drzemki.

– Paręnaście po północy, ale jesteś nam pilnie potrzebny...

– A co, wojna jest? – spytał lekko podenerwowany Jakub.

– Wojna i owszem, z pseudokibicami na Starówie. W akcji biorą udział antyterrorysty i oddział konny, ale nasi i tak mają tam niezłe bajo bongo. No, ale ja dzwonię z czym innym – trupa mamy, cholera, rzut kamieniem od nas, a wnosząc z tonu głosu zgłaszającego, obawiam się, że zaraz dojdzie nam kolejny w postaci dziadka z zawałem.

– Fuck, zaraz podjadę na komisariat...

– Wał prosto na miejsce, może coś wyciśniesz jeszcze ze świadka – przerwał mu Muszyniak, po czym podał Wilczkowi adres. Ten szybko zanotował i rozłączył się. Wskoczył w walające się po podłodze „wczorajsze” ciuchy i wybiegł z mieszkania.

Podróż z mieszkania w jednym z bloków na osiedlu Kosmonautów zajęła mu dziesięć minut. Ulice były puste – czego nie można było powiedzieć o chodnikach, którymi wędrowały grupki podchmielonych osób, skandujących stadionowe okrzyki i przyśpiewki. Gdy dotarł na miejsce od ulicy Niskiej, minął go odjeżdżający na sygnale ambulans. Wilczek wysiadł ze swojej wysłużonej, ale niezawodnej hondy accord i podszedł do dwóch nerwowo przestępujących z nogi na nogę policjantów.

– Nadkomisarz Jakub Wilczek, wojewódzka. Dotarłem najszybciej, jak się dało, ale z tego co widzę, nie koniec trupów na dziś? – przedstawił się i zapytał jednego z funkcjonariuszy, kiwając głową w stronę, w którą odjechała karetka.

– Starszy posterunkowy Tomasz Filipko, a to posterunkowy Paweł Drozdek – zaprezentował siebie i kolegę policjant. – Na razie pogotowie wzięło dziadka... to znaczy świadka na obserwację z podejrzeniem, że doszło lub może dojść do

zawału. Dmucha ją na zimne, jakkolwiek to brzmi w tak dramatycznych okolicznościach. Facet wybrał się na spacer z psem, a tu prawie szlag go trafił. Psa już wzięli do schroniska – dodał, widząc minę Kuby, który sprawiał wrażenie, jakby funkcjonował na autopilocie.

Paweł Drozdek przytaknął koledze i włączył się do rozmowy.

– W chwili obecnej, panie nadkomisarzu, trup jest jeden, ale za to konkretny. Gdyby mi kiedykolwiek życie przestało być miłe, i tak nie chciałbym skończyć jak ten tam... – wskazał palcem na skarpe. Po jej odgradzonej taśmami części poruszał się z zegarmistrzowską niemal precyzją Zenon Gilak, technik kryminalistyki, a zarazem znajomy Wilczka. Obaj pochodzili ze Śremu i to Gilak zasugerował niegdyś 18-letniemu Wilczkowi, najlepszemu koledze swojego syna, Romka, by nie wahał się wstąpić do policji.

Jakub zrobił kilka kroków w stronę skarpy, po czym zrównał się z Gilakiem, pozostając jednak po zewnętrznej stronie taśmy.

– Witam, panie Zenku. Co tym razem? Kolejny samobójca? – zapytał, wskazując na leżący w pewnej odległości kształt przypominający ciało, po czym przeciągle ziewnął, zasłaniając usta wracającą dłonią.

– Cześć, Jakub. Jeśli delikwent okaże się samobójcą, to trzeba przyznać, że za żywota wyobraźni mu nie brakowało.

– Dlaczego?

Zamiast odpowiedzieć, technik włączył reflektor i skierował go w stronę ciała.

Wilczek natychmiast otrzeźwiał.

Na zboczu leżało ciało mężczyzny ubranego w bluzę z herbem Legii Warszawa, krótkie džinsowe spodnie i wyglądające na nowe buty z firmowym logo w kształcie charakterystycznego haczyka, zwanego przez niektórych „łyżwą”. Wyglądało na to, że denatowi zadano wiele ciosów nożem w klatkę piersiową tak, że bluza była cała w strzępach. Kibic Legii ginie po tym, jak Lech zdobywa majstra? – zamyślił się Jakub. – Ciosy w klatkę kierowano w herb klubu? Jeśli tak, na jego twarzy musiało się chyba malować zaskoczenie... Wilczek spojrzał powyżej klatki piersiowej, szukając potwierdzenia swojego toku rozumowania, jednak spotkała go niespodzianka. Mężczyzna nie miał twarzy – wyglądało na to, że albo została oblana substancją żrącą, albo jakiś pies lub inny zwierz zajął się delikwentem. Tak czy owak – bestialska śmierć.

Nadkomisarz wzdrygnął się, poprosił Gilaka o kontynuowanie pracy oraz o jak najszybszy raport, po czym wrócił do Filipko i Drozdka.

– Beznadziejny przypadek... – wymamrotał, widząc ich wyczekujące spojrzenia.

– No-o-o, i to dosłownie – przytaknął Drozdek, wskazując na jedną ze ścian wiaduktu. Obok złowieszczej, trupiej czaszki widniał ogromny napis: „Porzućcie

wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie”1.

Jakub pokręcił z niedowierzaniem głową. Wiedział, że to graffiti wymalowano już parę miesięcy temu, ale w połączeniu z innymi kibolskimi bazgrołami oraz wyglądem denata dodawało ono kolorytu całej sprawie.

Po chwili na miejsce zdarzenia dojechała czarna kia cee'd, z której pośpiesznie wysiadła niska, urodziwa blondynka, a razem z nią puciołowaty, misiowaty wręcz, policjant i jego chudziutki, o wiele niższy kolega po fachu. Tym samym na miejsce zbrodni dotarli koledzy Wilczka – Agata Jakuszyk oraz Cezary Busza i Jan Chrzan, w hermetycznym policyjnym środowisku zwani poznańskimi Flipem i Flapem.

Jakuszyk podeszła do Jakuba, podczas gdy jej towarzysze zainteresowali się pracą technika.

– Właściwie czemu to na nas spadła brudna robota, a nie na nich? – delikatnym ruchem głowy wskazała mundurowych, nadal podziwiających graffiti.

– A nie widziałaś ciała? – spytał Jakub, po czym widząc jej spojrzenie, natychmiast dodał: – Wybacz, zapomniałem... Trup wygląda na fana Legii Warszawa. Nie zdziwię się, jeśli jeszcze nam kogoś ze *stolicy* tu dowalą do „pomocy” – skwitował, wykonując palcami gest cudzysłowu.

Podobnie jak oczywista w Poznaniu była niechęć do Warszawy i wszystkiego, co z nią związane, począwszy od futbolu, na Bogu ducha winnych mieszkańcach tego miasta kończąc, równie znany był na komendzie uraz, jaki pozostał w psychice Agaty po tym, jak pół roku wcześniej znalazła zwłoki dwójki zmalretowanych dzieci. Jako matka dziewczynek w podobnym wieku, co małe denatki, doznała poważnego szoku. Wprawdzie terapia, której się poddała, przyniosła skutki i Jakuszyk wróciła miesiąc temu do pracy, jednak – dopóki było to możliwe – ogląd ciał zostawiała kolegom, odciążając ich w tym czasie między innymi od żmudnych rozmów z mniej lub bardziej naocznymi świadkami.

Ponieważ technik dalej wykonywał swoją robotę we współpracy z przybyłym lekarzem medycyny sądowej, a prokuratura jeszcze nie zawitała na miejsce zbrodni, funkcjonariusze zaczęli snuć domysły na temat sprawy.

– Pewnie się zagubił, to mu ktoś życzliwy pomógł zejść na właściwą drogę – skonstatował Janek.

– Zejść na pewno – zauważył jego partner. – Pytanie, która droga jest właściwa.

– Ja się raczej zastanawiam, jaką drogą będzie zmierzać wysłannik z Warszawy, jeśli faktycznie kogoś nam dowalą – dodała Agata, próbując skierować rozmowę na coś innego niż leżące za nimi zmasakrowane ciało rzekomego kibica.

– Zawsze, jakby co, mamy przewagę liczebną – zażartował Jakub. – No, ale o tym pomyśli się jutro.

Odmeldował się pozostającemu na miejscu Gilakowi, lekarzowi oraz kolegom i koleżance, zapewnił, że rano skontaktuje się z prokuratorem Marędziakiem, a następnie wsiadł do swojego wysłużonego „akordeonu” i skierował się do domu. Jedyne, co przekazywał mu w tej chwili jego mózg, to natychmiastowa potrzeba snu, jeśli jutro – a właściwie dziś, jak właśnie skonstatował – ma być choć w minimalnym stopniu komunikatywny.

1 Dante Alighieri, *Boska Komedia, Piekło*, 3, 9, przekł. cyt. za: Władysław Kopaliński, *Słownik mitów i tradycji kultury*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1985, s. 726.

III

Poniedziałek, ósmy czerwca 2015

Wilczek wstał o szóstej, a następnie rozpoczął swoje poranne rytuały, które w skrócie nazywał PKP. Poranna gimnastyka, kubek kawy i przegląd prasy. Pierwsze budziło jego ciało, drugie umysł, a trzecie pomagało osiąść wiedzę, „o czym szumią wierzy”. Tym razem prasówkę rozpoczął od wydań internetowych – wiedział, że gazety nie miały dość czasu, by wydrukować choćby wzmiankę o nocnych rewelacjach. Przynajmniej o tych, które Jakuba interesowały.

Dość szybko natrafił na szczegóły starć z pseudokibicami w rejonie Starego Rynku, jednak – ku swojemu zdziwieniu – nie znalazł ani słowa na temat trupa przy trasie PST. Cóż, widocznie nadal byli co najmniej o krok przed dziennikarzami. Pytanie, w jak dużych butach.

Chwilę po ósmej Jakub wbiegł do sali odpraw na pierwszym piętrze komendy. Wewnątrz czekała już Agata, a wraz z nią naczelnik Jacek Paproćko i prokurator Elwira Marędziak, w kularach komendy zwana „starą Marudziakową”, choć nijak nie pasowało to do jej przyjaznego usposobienia.

– O, pani prokurator, miałem przed chwilą do pani dzwonić, ale przez te korki i remonty w mieście... – zaczął trajkotać jednym tchem, niemal na bezdechu. Dało się odczuć, że po wyjściu z samochodu biegł co tchu.

– Dobra, dobra, nadkomisarzu. Nie chciał przyjść Mahomet do góry, to się góra do niego pofatygowała – roześmiała się Marędziak, po czym widząc zdezorientowaną minę funkcjonariusza, dodała: – A tak na poważnie, to wciąż czekamy na tę osobę z Warszawy. Jestem ciekawa, kogo i z jakim nastawieniem nam tu podrzucili. Zwłaszcza, że media już zaczęły węszyć temat i telefon pani rzecznik robi za gorącą linię w kwestii Dantego.

– Dantego? – Wilczek zmarszczył brwi.

Naczelnik Paproćko spojrzał rozbawiony na swojego podwładnego, po czym zabrał głos:

– Chwilę przed twoim przybyciem nadaliśmy roboczo taki kryptonim sprawie. Wszystko z powodu graffiti.

– Co ma Dante Alighieri do graficiarzy i naszego trupa? – zdumiał się Jakub.
– I gdzie są Czarek z Jankiem?

– Chłopacy wieczorem zadeklarowali, że dziś zaczną dzień od fascynującej sekcji zwłok w Zakładzie Medycyny Sądowej. A co do Alighieri... *Boską Komedie* czytałeś? – zapytała Agata, po czym widząc zdezorientowanego kolegę, podjęła się tłumaczenia. – Na ścianie wiaduktu napisano: „Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzić”. Te słowa widnieją u Dantego na opisywanej przez niego bramie piekielnej. W oryginale, rzecz jasna, jako: „Lasciate ogni speranza, voi

ch'entrate"1.

– To oczywiście nie oznacza, że będziemy teraz zamykać wszystkich pisarzy, filologów, bibliotekarzy i użytkowników bibliotek oraz blogerów książkowych i fanów opasłych tomisk, bo nikt inny nie czyta w tym kraju – roześmiał się. – Ale trzeba przyznać, że miejsce morderstwa mogło zostać wybrane nieprzypadkowo właśnie z powodu tegoż napisu. Zwłaszcza, jeśli...

Przerwało mu pukanie do drzwi, po czym do sali wkroczyli Busza i Chrzan.

– Przepraszamy za spóźnienie, ale trochę się nam przeciągnęła sekcja zwłok. Mamy za to już raport od lekarza. Wprawdzie pomarudził, że musi go pisać przy nas „na kolanie”, pod presją i w ogóle, ale cel osiągnęliśmy – Czarek uśmiechnął się i położył na stole szarą kopertę.

Wzrok wszystkich utkwiał w dokumentach, które mogły rozjaśnić – lub zaciemnić – obraz obecnej sytuacji.

O godzinie dziewiątej trzydzieści, zgodnie z przewidywaniami, pociąg Express InterCity „Bolesław Prus”, jadący z Warszawy Wschodniej do Szczecina Głównego, z parominutowym opóźnieniem wtoczył się na stację Poznań Główny. Z przedostatniego wagonu wysiadł wysoki, niemal dwumetrowy jegomość, ubrany w stalowej barwy, prążkowany garnitur i dzierżąc w dłoni aktówkę, drugą zamachał na podjeżdżającego taksówkarza. Wskazał mu docelowe miejsce swojej podróży, po czym odprężył się, wiedząc, że czeka go w najbliższym czasie wiele roboty.

Wzrok wszystkich w pomieszczeniu spoczywał na leżącej na blacie kartce.

– Cóż, ekhm... Z tego, co powiedział, a następnie zapisał tu doktor Jerzy Ziębaszewski, nasz Dante to około trzydziestoletni mężczyzna, wzrost: sto siedemdziesiąt centymetrów, waga ciała *post mortem*: siedemdziesiąt dwa kilogramy. Otrzymał dwadzieścia dwa ciosy nożem w klatkę piersiową, co spowodowało zatrzymanie akcji serca i doprowadziło do zgonu. Nóż raczej z gatunku „typowych”, nie żadna maczeta, nie żaden mały scyzoryk, ot – taki jak do krojenia chleba, o szpikulcowatej, niezaokrąglonej końcówce. Deformacja twarzy nastąpiła później i została wywołana mocno stężonym kwasem solnym. Na ewentualną analizę zawartości żołądka trzeba będzie poczekać.

– Jedna rana co trzy kilogramy – skonstatował rezolutnie Czarek. Pozostali spojrzeli na niego lekko skonsternowani, znali jednak zboczone wręcz zamiłowanie kolegi do statystyki. Tylko nieświadoma pani prokurator z miną bazyliuszka zmierzyła inspektora Buszę świdrującym wzrokiem.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi i do pomieszczenia wkroczył

stalowy garniur wraz ze swoim właścicielem. Powiało *stolycą*.

– Najmocniej przepraszam za spóźnienie, ale Polskie Koleje Państwowe jeszcze długo chyba pozostaną antonimem punktualności. Nadkomisarz Wojciech Gót, Komenda Wojewódzka Policji w Warszawie. Skierowano mnie w związku z tym waszym nietypowym morderstwem.

Nastąpiła nieco burzliwa fala przywitań i przedstawień, drobne żarty na temat dzisiejszego spóźnienia, po czym naczelnik Paproćko zreferował przybyszowi pismo od patologa i oddał głos Jakubowi, który – jak się okazało – ma poprowadzić to śledztwo, „korzystając z pomocy naszego mazowieckiego przyjaciela”.

– Cóż, przede wszystkim w oczy rzucają się trzy kwestie, wszystkie – że tak ujmę – sportowe, choć zachowanie mordercy, czy też morderczyni, raczej uznałbym za niesportowe. No, ale wracając do meritum – w śledztwie pojawia się strój legionisty na ciele ofiary, kibolskie graffiti w miejscu znalezienia zwłok oraz liczba 22.

– A to nie na nią czasem wskazywał któryś z naszych wieszczów narodowych? Tak mi się coś obija po głowie – zniecka do rozmowy włączył się stalowy ganitur.

– Blisko, ale daleko – wtrącała się Marędzia. – To był Mickiewicz, w którego *Dziadach* ksiądz Piotr mówi: „Z matki obcej; krew jego dawne bohaterzy, / A imię jego będzie czterdzieści i cztery”².

– Dziękuję, pani prokurator. Warszawski kolega ma prawo nie wiedzieć, że liczba 22 kojarzy się jednoznacznie niemal z rokiem 1922...

– ...w którym założono Lutnię Dębiec, czyli dzisiejszy Kolejowy Klub Sportowy Lech Poznań Spółka Akcyjna – wydeklamował z prędkością karabinu maszynowego Czarek, chcąc najpewniej odpokutować nieco winy i zyskać w oczach władzy sądowniczej.

– Ano właśnie. I tu pojawia się zasadnicze pytanie: kim była ofiara oraz kim jest morderca? Czy wątek sportowy jest wpleciony w główny motyw, czy może stanowi przykrywkę? Ponieważ na razie nie wiemy tak naprawdę nic, proponuję kupić wersję przesiąkniętą futbolem i skoncentrować się na działaniach, które mogą nas do niej przybliżyć lub oddalić, w zależności od efektów. Czarek, Janek – rozpytajcie mieszkańców okolicznych domów, czy nie widzieli w okolicy kogoś podejrzanego lub naszego Dantego. Agata – przedzwoń do PKP, może któryś z maszynistów, przejeżdżając pociągiem, dostrzegł coś, co mogłoby nas zainteresować. Możesz to samo uczynić z MPK i ewentualnie przejrzyj nagrania z kamer tramwajów przejeżdżających tamtędy, powiedzmy, na dwie godziny przed znalezieniem zwłok przez tego starszego jegomościa. Ja razem z kolegą Gótem udam się najpierw do szpitala, zobaczyć, jak się dziadek miewa, i w miarę możliwości wysłuchać na spokojnie jego zeznań. Później podskoczmy na stadion

– kolega pozwiedza, a potem obejrzymy fascynujące nagrania z bramek wejściowych, by wyłapać kogokolwiek, przypominającego naszego legionistę.

– Świetnie, oczekuję was tu ponownie około godziny szesnastej. Omówimy wasze dokonania i spróbujemy naszkicować wstępny plan działania na następne dni – podsumował naczelnik Paproćko, po czym spojrzął na panią prokurator. Ta zaszczyliła wszystkich zaledwie skinieniem głowy, po czym wstała od stołu, dając tym samym sygnał, że spotkanie dobiegło końca.

Podróż z Komendy Wojewódzkiej do Centrum Medycznego HCP zajęła pasażerom „akordeonu” dwadzieścia minut, które spędzili w całkowitym milczeniu. Zdawało się, że ani Wilczek, ani Gót nie są zadowoleni z perspektywy współpracy. Dojechawszy na miejsce, Jakub zaparkował auto wzdłuż ulicy 28 Czerwca 1956 roku, po czym obaj weszli do szpitala i – po parokrotnym wylegitymowaniu się pielęgniarkom i odszukaniu odpowiedniej sali – znaleźli się tuż obok leżącego na łóżku Eugeniusza Chorwata.

Stan emerytowanego woźnego, zdaniem pielęgniarki, można było jeszcze uznać za stabilny, choć wyglądał na dość zmizerowaną istotę, która w każdej chwili może przejść na łono Abrahama. Wilczek zaczął dyskretnie:

– Dzień dobry, panie Chorwat. Jesteśmy funkcjonariuszami prowadzącymi śledztwo w wiadomej panu sprawie. Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań, jeśli to możliwe. – Woźny skinął lekko głową, choć nadal milczał równie skutecznie, jak warszawski emisariusz. – Dobrze, zatem pierwsze pytanie: Jak się pan dziś czuje?

– Słabo – wychrypiał ledwo słyszalnym głosem mężczyzna. – Pytajcie o konkrety od razu, jeśli mam wam jeszcze jakoś pomóc na tym świecie, bo czuję kres swej drogi.

– Czy widział pan może kogoś wiadomo kiedy, wiadomo gdzie? – włączył się nagle do rozmowy nadinspektor Wojciech Gót.

– Ta-a-a-a-k... – przeciągnął się, ziewając, starszy pan. – Grudzieńcem przejeżdżał na rowerze Heniu Knyp, razem jeździmy zawsze na ryby. Pamiętam, jak miesiąc temu pojechaliśmy na pstrągi i złowił...

– Dobrze, o rybach porozmawiamy za chwilę, sam jestem zapalonym wędkarzem. A teraz niech się pan skupi – czy widział pan kogoś jeszcze? – przerwał Gót. Jakub był pod wrażeniem warszawskiej dyplomacji. Może jednak na coś się ona przyda?

– Ech... przepraszam, starość nie radość... Pamiętam jak przez mgłę, że dzwoniąc po pomoc, dostrzegłem na wiadukcie PST kogoś w sukni lub spódnicy, ale... ekhu, ekhu...

Chorwat zaniósł się potężnym kaszlem, jakby był w co najmniej zaawansowanym stadium gruźlicy. Na domiar złego linia jego życia zaczęła powoli

gasnąć. Jakub i Wojciech zostali wyproszeni z sali, postanowili zatem wybrać się na stadion. Na odchodne Gót jakimś cudem wcisnęła pielęgniarce swoją wizytówkę z nieznoszącą sprzeciwu sugestią, by zatelefonowała, gdy tylko zajdą kolejne zmiany – na dobre lub na złe – w stanie zdrowotnym pacjenta. Nie omieszkał też dodać, by pamiętała o tym, że może zostać w innym przypadku oskarżona o utrudnianie śledztwa, po czym wyszedł z budynku i skierował swe kroki w stronę Wilczka uruchamiającego samochód.

Po wykonaniu obu zaplanowanych telefonów Agata Jakuszyk wiedziała jedno – czeka ją żmudna robota. W wyznaczonym czasie przejeżdżał tamtędy zaledwie jeden pociąg. Dyżurujący przy telefonie młodzieniec zapewnił, że naświetli sytuację „górzej” i oddzwoni, gdy będzie cokolwiek wiedział – choćby o tym, kto tym pociągiem kierował. O wiele więcej do zaoferowania mieli panowie z Nadzoru Ruchu MPK, którzy poinformowali policjantkę, że między godziną dwudziestą a dwudziestą drugą trasa była solidnie eksploatowana, zwłaszcza że mowa o niedzieli, kiedy gros ludzi wraca do Poznania po weekendzie.

Dodali również, że niemal każdy tramwaj zaopatrzony jest w kamerę na czole pojazdu, nagrywającą mniej więcej to, co widzi motorniczy. Jedynym minusem jest fakt, że nagrania są kasowane i zastępowane nowymi automatycznie. Cały zapis trwa w niektórych przypadkach zaledwie kilka dni, a przetarg na nowe rejestratory dopiero rusza.

To zaważyło na decyzji Agaty. Wsiadła w policyjną kię i wybrała się do nich w odwiedzinę, licząc, że którekolwiek z nagrań wniesie choć odrobinę światła do tej mrocznej – można by nawet rzec „piekielnej” – sprawy.

Czarek Busza i Janek Chrzan przeszli się spacerem na miejsce zbrodni, skąd mieli się udać do pobliskich domostw. Rozpytywanie mieszkańców zdecydowanie nie było ulubionym zajęciem pierwszego z nich, więc dość szybko postanowili, że Czarek zostanie pod wiaduktem, szukając ewentualnych śladów, które nie zostały dostrzeżone poprzednim razem. I podczas gdy komisarz Chrzan maltretował już jakąś babinę, opartą o furtkę prowadzącą na podwórze jej domu, Busza podszedł do stoku, na którym znaleziono ciało Dantego, zamknął oczy i spróbował wyobrazić sobie działania mordercy. Akurat minął go przejeżdżający tramwaj i przeraźliwe dudnienie oraz skowyt kół trących o szyny przeszły w błogą, niczym niezmaconą ciszę. Wtem do jego uszu dobiegł cichy dźwięk, jakby trzask. Po chwili drugi, trzeci... To nie był trzask łamanych gałęzi, raczej przywodził na myśl...

Busza odwrócił się. Słuch go nie mylił – po latach pasjonowania się

fotografią wyczulone uszy komisarza skutecznie zlokalizowały, skąd pochodzi dźwięk migawki: z aparatu, którym jakiś mężczyzna robił właśnie policjantowi zdjęcia. Na widok odwracającego się Czarka fotograf zamarł, po czym zaczął uciekać. Funkcjonariusz ruszył w ślad za nim, jednak nie miał szans – mężczyzna wskoczył do zaparkowanego nieopodal samochodu i odjechał z piskiem opon.

Czarek przystanął, by złapać oddech, po czym wyjął służbowy notes i wynotował wszystkie szczegóły dotyczące pojazdu i człowieka, a następnie wykręcił numer telefonu Wilczka.

Jakub zamierzał właśnie skręcić w ulicę Grunwaldzką, gdy rozdzwonił się jego telefon. Po krótkiej wymianie zdań z podlegającym mu Buszą zdecydował jednak zmienić pas ruchu, wystawił policyjnego koguta i ruszył z kopyta w stronę miejsca zbrodni.

– Chyba dziś stadionu nie pooglądamy – skwitował, widząc malujące się na twarzy Góta zdziwienie, po czym zreferował mu doniesienie kolegi.

Po chwili honda accord zatrzymała się nieopodal funkcjonariuszy. Kuba z Wojciechem wysiedli, po czym Czarek zaczął przedstawiać wynotowane przez siebie szczegóły.

– Mężczyzna, góra metr osiemdziesiąt, ubrany w czarne dżinsy, białe trampki i biały T-shirt. Najgorsze, że skądś tę mordę kojarzę, ale nie wiem, skąd...

– Nie wiem, na ile to istotne w tym momencie – wtrącił się Chrzan – ale jedna taka babinka, co tu niedaleko mieszka, twierdzi, że słyszała tu o dziewiętej wieczór jakieś kibolskie przyśpiewki i głośną kłótnię, ale nie pamięta jej tematu. Jest za to pewna godziny, bo skutecznie uniemożliwiło jej to wysłuchanie Apelu Jasnogórskiego.

Wilczek spojrział na stołecznego partnera, po czym oboje skinęli głowami.

– Słuchajcie, chłopaki, sprawdźcie w bazie wszystkich znanych nam kiboli, także tych z zakazami stadionowymi. Może któryś będzie pasował do rysopisu ofiary lub tego gościa z aparatem. A nas czeka jednak wizyta na Bułgarskiej.

Wsiedli do samochodu Wilczka, po czym ruszyli w kierunku stadionu. Po paru minutach kompletnej ciszy nieoczekiwanie głos zabrał Gót.

– Słuchaj, Jakub, czy Ty masz z powodu imienia jakieś profity u dealerów hondy?

– Y-y-y-y... że co? – funkcjonariusz nieco zdębiał, że warszawiak raczył sam rozpocząć rozmowę, w dodatku kompletnie od czapy, ale postanowił zachować fason. – Nie, ten samochód kupiłem używany od jakiegoś typka na OtoMoto, a dlaczego pytasz?

Gót westchnął.

– A widzisz, był u nas w stolicy taki jeden specyficzny, nieco niepokorny

dziennikarz. Też Jakub. Zimny mu bodajże było. Z tego, co pamiętam, też jeździł hondą, tyle że crx. I tak tylko pomyślałem...

Resztę drogi spędzili w milczeniu niczym kartuzi w klasztorze.

– Jak tak dalej pójdzie, to mi komendant będzie okulary refundował – mruknęła Agata, popijając drugą już kawę i przeglądając nagrania z monitoringu w tramwajach MPK. Jak na razie efekty były równe zeru – aż tyle dało się dostrzec, jeśli chodzi o śledztwo, a tu zegar na kościelnej wieży zaczął wybijać czternastą. Dopięła zawartość kubka z logo miejskiego przewoźnika, podziękowała uprzejmie za pomoc, po czym zrezygnowana wyszła na dwór.

Pozostałe dwie godziny do kolejnej odprawy z naczelnikiem postanowiła spożytkować na komisariacie, nadrabiając zaległą, papierkową robotę. Nieoczekiwanie po dotarciu na Kochanowskiego, na miejscu zastała już całą ekipę w komplecie. Miny mieli nie najlepsze, co świadczyło o tym, że chyba Paproćko nie będzie zadowolony z dzisiejszych postępów. Mimo to postanowili przesunąć godzinę spotkania na czternastą trzydzieści, by – po ewentualnym wytypowaniu nowych tropów – móc je podjąć jeszcze dziś. Naczelnik zapowiedział też, że w spotkaniu uczestniczyć będzie dodatkowo rzecznik prasowy – bo kto jak kto, ale ona powinna być w temacie jak najbardziej na bieżąco.

Po paru minutach stłoczyli się w salce konferencyjnej z kubkami kawy w dłoniach i tylko Gót wyróżniał się na ich tle, popijając z zielonego termosu z herbem Legii. Choć trzeba mu było przyznać, że jego „kubek” przynajmniej komponował się z klimatem śledztwa.

– To może ja zacznę – odezwał się niespodziewanie, zwracając na siebie uwagę wszystkich zebranych. – Przyznam, że – tak jak i wy – nie mam bladego pojęcia, po co mnie tu przysłano. No, ale nic... co do dzisiejszego dnia i efektów naszej pracy, to odwiedziliśmy w szpitalu tego starszego jegomościa. Właśnie, warto sprawdzić, czy nie mamy już drugiego denata, bo mu się mocno pogorszyło podczas naszej wizyty.

– To znaczy nic mu nie zrobiliśmy, sam z siebie... – wtrącił się Jakub, bo opowieść nowego kolegi mogła być różnorodnie interpretowana. Zajrzał do notatek i kontynuował wątek: – Póki jeszcze był na siłach, przyznał, że widział na miejscu dwie osoby. Pierwsza to wędkarz, niejaki Henryk Knyp, znajomy Chorwata. Rzekomo jechał ulicą Grudzieniec na swoim rowerze. Można by go podpytać, czy sam nic podejrzanego nie widział, z trupem na stoku włącznie. Przy drugiej osobie robi się jeszcze ciekawiej, bo, zdaniem starego, na wiadukcie PST stała jakaś kobieta.

– Ej, wcale nie mówił, że kobieta! – przerwał mu Gót.

– Mówił przecież, że...

– Zaraz posłuchasz raz jeszcze, co powiedział.

Wojciech Gót wyjął z kieszeni mały, cyfrowy dyktafon i położył go na blacie stołu.

– Odkąd miałem problemy z jednym bardzo niezdecydowanym i płaczącym się w zeznaniach świadkiem, który wiecznie zmieniał zdanie, a ostatecznie okazał się sprawcą, nie rozstaję się z tym cyfrowym cudёнkiem.

Prokurator Marędziaк nie kryła oburzenia.

– Czy to...

– Legalne? Nie. Skuteczne? Zdecydowanie, pani prokurator. No, ale zamiast gdybać, co wolno, a czego nie i dlaczego, lepiej wysłuchajmy pana Chorwata.

Poklikał kilka przycisków, po czym z miniaturowego głośniczka w urzędzeniu dobiegł zachrypnięty głos:

– ...dzwoniąc po pomoc, dostrzegłem na wiadukcie PST kogoś w sukni lub spódnicy, ale...

– Innymi słowy – podjął temat warszawiak, wyłączając dyktafon – równie dobrze mógł to być facet w kiecce. Wiem, że to niepoważne, ale taka możliwość musi być wzięta pod uwagę.

Podniósł wzrok i spojrzał na pozostałych. Ich miny wyrażały jedno – uparli się na kobietę, a on wydziwiał. No trudno.

Nie pierwszy raz nadkomisarz Wojciech Gót miał wrażenie, że nikt mu nie wierzy. W stolicy napotykał na równie gruby betonowy mur – nie do przebicia, choćby nie wiadomo jak bardzo się starał. Podśmiechiwania za plecami, wytykanie palcem jako „specja od teorii spiskowych” lub pełne złośliwości komentarze typu: „Ja, ja, sehr gut, herr Gót”, czy też nawiązujące do męskiego przyrodzenia były dla niego na porządku dziennym. I musiał przyznać, że jego upór w dążeniu do prawdy i analizowaniu nawet najdrobniejszych szczegółów z niesamowitą skrupulatnością przysporzyły mu wielu wrogów w Mazowieckiej Komendzie Wojewódzkiej. Gdyby nie to, już dawno awansowałby za biurko, już dawno nie jeździłby po mieście, zajmując się byle przestępstwami – stworzony był przecież do wyższych celów. Detektywistyka przez duże D, ot co. A tak, karnie wywalili go do Poznania. No, trochę im w tym pomógł... Ale on jeszcze pokaże wszystkim, jak bardzo się mylili, wątpiąc w jego zdolności. Nadejdzie jeszcze wiekopomna chwila, kiedy to, niczym legendarne brzydkie kaczątko, zamieni się w bielutkiego łabędzia. A wtedy wszystkim oczy się otworzą i będzie jedno wielkie „zatkało kakao”. No, ale teraz jest tu, w Pyrlandii, i ma okazję udowodnić, co potrafi. Wziął głęboki oddech i zabrał ponownie głos.

– Widzę, że mi nie wierzycie. W porządku, sam przeanalizuję ewentualny męski wątek. Tymczasem, wracając do meritum, ostatecznie złądownaliśmy na stadionie, gdzie rozpytaliśmy o ewentualnych kibiców Legii na pokładzie podczas meczu. I tu – że tak to ujmę – bieda, aż skrzypi, bo monitoring na bramkach

wejściowych nie wyłapał nikogo w ten desień. Gość od kamerek dodał też, że taka osoba nie zostałaby wpuszczona na stadion.

– Ze względów bezpieczeństwa? – dopytała rzecznik prasowa, która nagle postanowiła umilić czas nie tylko swoją fizyczną obecnością.

– Tak. Jej bezpieczeństwa...

– Ano, tak że z naszej strony twardych wyników brak – podjął dalej temat Wilczek – ale chłopaki mieli ciekawą przygodę.

Czarek Busza skinął głową na potwierdzenie słów Jakuba i zgrabnie zreferował incydent z tajemniczym fotografem, po czym dodał:

– No tośmy tu wpadli w trymiga, baza danych w obroty, ślepie jak hipopotam, kompy rozgrzane tak, że pizzę można na obudowie odgrzać... i nic, kurde, nie wyczailiśmy. Żadna tępą mordą z obrazka nie przypominała ani naszego Dantego, ani Picassa... to znaczy fotografa, bo go tak dla jaj z Jankiem żeśmy nazwali – dodał, zaaferowany. – Ale ja, cholera, tego typu skądś kojarzę, gdzieś już mi się przewijał w życiorysie... – zawiesił głos i spojrzał na Agatę, oddając jej głos, niemal jakby zamierzał przy okazji wywiesić białą flagę i odtrąbić porażkę na całej linii.

Komisarz Jakuszyk westchnęła, po czym przyznała, że i z jej części śledztwa nie wyniknęło nic ponad to, że ledwie na oczy widzi. Nastąpiła chwila ciszy, którą niespodziewanie przerwała pani rzecznik:

– Pozwolę sobie się wtrącić, a najpierw przedstawić. Izabela Malak, rzecznik prasowy. Obawiam się, że nie znam odpowiedzi na wszystkie wasze pytania, ale jedną zagadkę chyba potrafię rozwiązać.

– Reasumując – rzekł Wilczek po wysłuchaniu pani rzecznik – sugerujesz, że fotograf pracuje w redakcji „Całej Prawdy”? Tego marnego e-tabloidu?

– Tak, ich dziennikarz wydzwania do mnie namiętnie co jakieś pół godziny, oczekując komentarza. Ba, teraz już nawet sugeruje, że napisze po swojemu, jak mu kolejny raz odmówię. Niemniej podczas jednej z rozmów wygadał się, że jego „informator” – tu zamarkowała palcami cudzysłowy – działał w terenie, by uzyskać zdjęcia do artykułu. To by zaś oznaczało, że gościem nie mamy się hipotetycznie co przejmować. Chociaż – z drugiej strony – gdyby nie miał nic na sumieniu, toby się nie czaił jak wąż w pomidorach. No, ale szczegóły w tej sprawie zapewne odkryjemy jutro, w kolejnym numerze lokalnego szmatławca.

Czarek przytaknęła:

– Jak tak was słucham, to faktycznie mógł to być jakiś fotoreporter. Przez te parę lat tyłu ich się przewinęło, że mój mózg mógł rzeczywiście zapamiętać tę facjatę, choć nie skojarzył jej z żadnym miejscem lub instytucją. Tak że sorry za zamieszanie i ewentualny fałszywy alarm.

– Nic nie szkodzi – zaproponowała pani prokurator. – Lepiej w tej sytuacji wywołać zamęt o raz za dużo niż za mało. Zwłaszcza, jeśli na chwilę obecną nie mamy zbyt wielu informacji, a tak w istocie jest, niestety...

– Proponuję ustalić nasze priorytety na następny dzień – stwierdził sucho naczelnik Jacek Paproćko. – Po pierwsze, trzeba faktycznie odwiedzić ponownie szpital, bo, jak miemam, do tej pory owa pielęgniarka nie zadzwoniła? – Gót zrezygnowany skinął głową. – No trudno, w każdym razie proponuję, by ten temat kontynowali Wojciech i Jakub. Dalej, kwestia wędkarza na rowerze: dobrze by było, jakbyś, Agata, porozmawiała z nim delikatnie. Wy natomiast, chłopaki, najpewniej odwiedźcie tego fotoreportera w pracy i przyciśńcie go do muru. No, to tak bym wstępnie widział jutrzejszy plan działania. Zbierzemy się tu o ósmej i – w zależności od rewelacji prasowych lub ich braku – najwyżej zmodyfikujemy nieco nasze plany. Tymczasem ustalmy jeszcze tylko, co Iza powinna powiedzieć upierdliwym pismakom, a potem jesteście wolni.

1 Dante Alighieri, *Divina Commedia, Canto III*, eBooksOpen [www.ebooksopen.org], 2014, s. 13.

2 Adam Mickiewicz, *Dziady, cz. III*, posł. Janina Wieczerska-Zabłocka, Ossolineum, Wrocław 1984, s. 84.

IV

Wtorek, dziewiąty czerwca 2015

Nie mogąc dospać swojej rutynowej szóstej godziny (ani nawet piątej trzydzieści, kiedy to, według wojskowych legend, grupa rezerwy szła do cywila), zaraz po wstaniu z łóżka godzinę przed czasem Jakub odbył swój tradycyjny rytuał, po czym – jeszcze przed szóstą – zjechał windą na parter, by w kiosku przed blokiem przejrzeć pobieżnie prasę drukowaną. Kilka ogólnopolskich dzienników cytowało ustalone przez nich wczoraj słowa, padające z ust pięknej rzeczniczki prasowej, jednak artykuły były raczej zlepkami zdawkowych informacji.

Sprzedawczyni, po paru latach codziennego przeglądu prasy dokonywanego przez Jakuba najpierw na wrywki przed kioskiem, chrząknęła delikatnie, zwracając na siebie uwagę. Gdy tylko Wilczek na nią spojrział, podała mu swój smartfon z uruchomioną stroną WWW „Całej Prawdy”.

– Podejrzewam, że to pana zainteresuje. Sprawdzałam z ciekawości, ale żadna papierowa prasa o tym jeszcze nie poinformowała.

Jakub zerknął na wyświetlacz, po czym oddał kobiecie telefon i szybkim krokiem wrócił do swojego mieszkania. Zaparzył sobie mocną kawę, usiadł w fotelu z laptopem na kolanach i zdecydował się na podejście numer dwa do tabloidowych doniesień. „Poznań wypowiada stolicy futbolową wojnę, są pierwsze ofiary!!!” – grzmi wielki, czerwony napis, pod którym narysowano zakrwawiony herb Legii Warszawa oraz umieszczono zdjęcie funkcjonariusza na miejscu zbrodni. Ściślej – Czarka Buszy, zanim zaczął gonić fotoreportera. Od niechcenia Kuba kliknął link, który miał rzekomo prowadzić do obszernego reportażu. I owszem, prowadził. Tekst opatrzone zdjęciami nieżywego już Dantego, leżącego na skarpie obok wiaduktu. Albo te fotografie wyciekły jakoś z Zakładu Medycyny Sądowej, albo...

Wilczek chwycił za telefon i – próbując się dodzwonić do naczelnika – w try miga wskoczył w wysłużone converse’y i zaczął biec po schodach do samochodu.

Zegar na ścianie wskazywał szóstą trzydzieści siedem, kiedy Jacek Paproćko wszedł do sali konferencyjnej pełnej swoich podwładnych. Niemal przed każdym z funkcjonariuszy stał kubek z parującą jeszcze kawą. Tylko poznańscy Flip i Flap tradycyjnie odbiegali od wszelakich norm – Chrzan popijał właśnie z gwinta litrowy napój energetyczny, Busza natomiast wpatrywał się w swoją porcję yerba mate – z taką gorliwością i skupieniem, jakby chciał tylko i wyłącznie siłą umysłu doprowadzić do wyrośnięcia mu z kubka drzewa.

– Jest tak... – zaczął, przechodząc od razu do konkretów – obudziłem przez

telefon starą Marudziakową, pogroziła mi łamaniem ciszy nocnej, naruszeniem miru domowego i co tam jeszcze zaspana mózgownica jej na język niosła, ale koniec końców, wydebiłem nakaz rewizji siedziby naszego szmatławca. Możemy też śmiało aresztować tego typu, o ile go Czarek rozpozna.

– Ale jakiego typu-a-a-a-a-a-a-a-a-a... – spytał, nie mogąc ukryć potężnego ziewnięcia, Busza. – Przepraszam... – dodał po chwili, widząc rozbawione miny kolegów oraz speszzonego przełożonego.

– No tak, racja, racja – skonstatował naczelnik. Tak często używał tego zwrotu, że w kuluarach zwykli nazywać go Racjak, a nie Jacek. Zdarzało się też, że jeden czy drugi dla zabawy przezywał go za plecami „raczejnikiem”. – Zaczniemy zatem od tego, po co ściągałem was o tak szatańskiej porze. A właściwie czemu Wilczek nie śpi po nocach.

– Bo jest pełnia – mruknął Chrzan, szturchając Jakuba łokciem. Ten w uśmiechu wyszczerzył zęby, udając kły wilkołaka, po czym wstał i podjął temat.

– Pełnia księżycy była tydzień temu, a dziś mamy co najwyżej pełnię wrażeń.

Otworzył teczkę, wyjął z niej tablet i zwrócił w ich kierunku ekranem, prezentującym reportaż ze strony internetowej „Całej Prawdy”, a następnie położył go pośrodku stołu, po czym zaczął rozdawać artykuł, który zdążył już wydrukować na komendzie.

– Wszystkie media oparły się tylko i wyłącznie na zgrabnym komentarzu, który wczoraj po południu wspólnymi siłami kleciliśmy. Oni jedyni, zamiast opisać sucho, że znaleziono zwłoki nieznanego mężczyzny, sprawa jest rozwojowa, ktokolwiek widział, ktokolwiek wie i tak dalej, postanowili włożyć kij w legijno-lechickie mrowisko. Na dodatek – nie wiemy, jakim cudem – dorwali zdjęcia naszego nieboszczyka. Przesłałem je ememesem Gilakowi z ZMS-u, żeby potwierdził, czy te zdjęcia są lub były w ich posiadaniu, czy może pojawia nam się zagadkowa postać fotografa. Nadal nie odpisał, najpewniej śpi, bo i telefonów nie odbiera, ale w tym drugim przypadku na myśl nasuwa się automatycznie wasz kolega z miejsca zbrodni – zakończył, kiwając głową w kierunku właścicieli fusiastej yerby i popijanego po raz kolejny energola.

– Tym samym ulega zmianie nasz dzisiejszy plan działania – skwitował naczelnik, stukając nerwowo palcem w swój policyjny kubek. – Naszym najważniejszym i na chwilę obecną jedynym celem jest ta cyberbulwarówka. Jak nam starczy jeszcze czasu, można by odwiedzić starszego pana i jego kolegę od wędki.

Kilkanaście minut później, jadąc spokojnie przez miasto – a właściwie ślimacząc się całą kawalkadą nieoznakowanych radiowozów w porannych korkach na Niestachowskiej – Jakub zaczął zastanawiać się nad ewentualnym motywem zbrodni. Co do tego, że morderstwo zostało dokonane z premedytacją i ich Dante

nie jest przypadkową ofiarą, Wilczek nie miał absolutnie żadnych wątpliwości. Pozostawały zatem dwa pytania – dlaczego zginął? I – co chyba jeszcze ważniejsze – kim w ogóle był? W głębi ducha czuł, że w pogoni za mordercą umyka im ofiara, a to przecież ona (a w tym przypadku on) jest najważniejszym elementem tej układanki. Centralnym puzzlem w nocnym pejzażu z graffiti w tle.

Czuli się do tej akcji przygotowani jak nigdy dotąd – przeanalizowali po drodze przez radiostację wszystkie możliwe warianty, włącznie ze zdobywaniem redakcji szturmem. Nie miało ich zaskoczyć nic, a tymczasem zaskoczyła ich szara rzeczywistość, i to dosłownie. Kilka minut przed dotarciem radiowozów do celu pogoda postanowiła uprzykrzyć im życie. Przetrwaliby niemal wszystko, ale akurat na wichurę i ulewę nie byli gotowi.

Wysiadając z nieoznakowanej „kijanki”, Jakub z impetem wdepnął w sporawą kałużę. Przeklął, czując wodę wlewającą mu się do buta. Spojrzał w dół – jego niegdyś białe tenisówki swoją barwą co najwyżej przypominały syf w popielnicze. Pokręcił głową i ruszył powoli w stronę bramy, z nieprzyjemnym uczuciem, jakby jedną stopę trzymał w wiadrze z lodowatą wodą.

Budynek wyglądał okazale – dwupiętrowa willa na jednym z cichych, niemal zamkniętych osiedli mieszkalnych na obrzeżach miasta prawie w niczym nie przypominała siedziby jakiegokolwiek firmy. Jedynym, co odróżniało posiadłość od sąsiadujących z nią domostw, był krzykliwy szyld, zawieszony na otwartej na oścież bramie. Z jednej strony dziwił fakt umiejscowienia redakcji z daleka od centrum, z drugiej Wilczek doszedł do wniosku, że może tak jest lepiej – w końcu nikt nie kała śródmieścia taką meliną, a i mniej osób będzie naoczniymi świadkami ich akcji. Naciągając na głowę kaptur kurtki, kiwnął ręką w stronę kolegów, by kierowali się za nim, po czym ruszył w stronę drzwi. Kilku funkcjonariuszy pozostało na swoich miejscach, dwóch udało się na tyły budynku, by uniemożliwić komukolwiek ewentualną ucieczkę.

Wilczek nacisnął przycisk dzwonka, jednak jedyną odpowiedzią była cisza. Spróbował raz jeszcze, osiągając identyczny rezultat, po czym chwycił za klamkę i pociągnął za drzwi. Bezskutecznie. Profilaktycznie spróbował je pchnąć, ale i w tym przypadku – zgodnie ze swoim oczekiwaniem – napotkał opór. Cofnął się na podjazd i spojrzał w okna. W żadnym pomieszczeniu nie było włączonego światła.

– Albo w środku nikogo nie ma, albo ktoś nie ma ochoty się z nami spotkać... – mruknął. – No cóż, nic tu po nas, przynajmniej na razie. Niech Czarek z Jankiem zadekują się gdzieś w samochodzie i poobserwują, czy ktoś tam faktycznie się ukrywa. Nie będziemy marnować całego dnia w tak cholerną pogodę na czekanie, aż jasnie pan naczelny-bezczelny raczy nas ugościć. Reszta niech

wraca na komendę i zajmie się swoją papierkologią, ale nie oddalajcie się zbyt, bo czuję, że jeszcze tu dziś wrócimy. My tymczasem – wskazał ręką na Wojciecha – podskoczmy do szpitala, sprawdź, co u świadka.

– Mogę zostać i rozpytać sąsiadów – odezwała się Agata. – Dyskretnie, rzecz jasna. Podam się za kogoś z Rady Etyki Mediów albo innej tego typu bzdurnej instytucji. Zablefuję, że robimy kontrolę w tym szmatławcu i badam opinię otoczenia na temat samej pracy redakcji. Idę o zakład, że ich obecność na takim osiedlu, „sypialni dla bogatych”, na pewno stoi wielu ością w gardle.

– Dobra myśl! – przytaknął ochoczo Jakub, po czym po chwili wahania dodał: – Tylko uważaj na siebie.

– Kiepsko nam idzie jak na razie... – westchnął Wilczek, zatrzymując się po raz kolejny na światłach. – Drugi dzień śledztwa, absolutny brak tropów, pogoda do dupy i jeszcze czerwona fala nas sobie upodobała. W stolicy pewnie możecie się poszczycić sprawniejszym funkcjonowaniem?

– Nie wiem... – spojrzał na niego Gót, przybierając wyraźnie zakłopotaną minę.

– Jak to nie wiesz?

– Tak to, to moja pierwsza konkretna sprawa. I to tylko dlatego, że nikomu nie chciało się tu przyjeżdżać, a kogoś trzeba było wysłać.

– I siłą cię wpakowali do pociągu? – zdziwił się Kuba.

– A tam zaraz siłą, sam się zgłosiłem. Może i by mnie wypchnęli, a tak – zachowałem chociaż resztki honoru. Tu przynajmniej nikt mną nie pomiata – westchnął, odwracając wzrok. – Zielone masz.

Kuba wrzucił bieg i ruszył w kierunku szpitala. Domyślał się, że praca jest dla jego partnera drażliwym tematem, ale o czym innym mogliby rozmawiać? Zapowiadała się kolejna milcząca podróż.

Wyprawa do szpitala okazała się równie udana jak wizyta w redakcji. Eugeniusz Chorwat nadal podłączony był do paru urządzeń – w jego przypadku dosłownie – podtrzymujących życie, zaś stan pacjenta ze sporą dawką optymizmu można było nazwać co najwyżej stabilnym. Opuścili szpital i podjechali na komendę.

– Ci z kostnicy dali nam pobrać odciski palców tego całego Dantego? – spytał nagle Gót.

– Tak, gość nie figuruje w bazie, z tego, co pamiętam.

– Coś mi nie gra, dziwna sprawa z tym trupem. Facet znika, a nikt nie raczy zgłosić jego zaginięcia. Ani rodzina, ani pracodawca... Nie wiem, jak tobie, ale mi

na bezdomniaka nie wyglądał, a co za tym idzie – ktoś go, cholera, musi znać...

Jakub przytaknął. Też już się nad tym zastanawiał – w tak wielkim mieście jak Poznań z jednej strony niby łatwiej pozostać anonimowym, ale z naukowego punktu widzenia chyba paradoksalnie trudniej. Czytał ostatnio w poczekalni u dentysty jakiś magazyn popularnonaukowy, w którym omawiano teorię zwaną sześcioma stopniami oddalenia. Zgodnie z tym twierdzeniem między nim a Dantem powinno być maksimum pięć osób, by ów nieboszczyk był szóstym ogniwem łańcucha opartego na zasadzie „ktoś zna kogoś”. Przyszedł mu nagle do głowy pewien pomysł.

– Zajmij się, czym chcesz, Wojtek, ja obdzwońię komisariaty, bo mam pewien plan... – powiedział do partnera, po czym zaczął wykręcać numery telefonów do oficerów dyżurnych, prosząc każdego z nich o dokładne sprawdzenie, czy nikt lokalnie nie zgłosił zaginięcia mężczyzny o gabarytach ofiary.

Korzystając z wolnej chwili, Wojciech Gót postanowił spędzić nieco czasu w pobliskiej bibliotece. Zamierzał wykorzystać fakt, że wewnątrz mieścił się publiczny punkt dostępu do Internetu, a następnie spędzić dwie godzinki na analizowaniu planu Poznania w Mapach Google'a oraz prześledzeniu kilku lokalnych serwisów informacyjnych i archiwalnych wydań tutejszych gazet. Czuł, że mimo pozornej niechęci udało mu się zdobyć sympatię teamu – chciał im udowodnić, że jest godzien tego, by pracować z nimi. Sam się podszkoli, nauczy na pamięć orientacyjnego rozkładu ulic w centrum – przynajmniej tych głównych – i zorientuje, jak często dochodzi w mieście do głośniejszych spraw natury kryminalnej.

Dwupółgodzinna analiza lokalnej prasy i portali nie przyniosła stołecznemu policjantowi oczekiwanych przez niego rezultatów. Jedyne plusem zdawała się być jeszcze większa determinacja, by rozwiązać tę sprawę. Mimo że chyba nikt – włącznie z nim samym – nie wierzył w jakikolwiek warszawski wątek. Wojciech uświadomił sobie, że bez względu na to czuje się potrzebny, postanowił zatem przedzwonić do Jakuba i spytać, czy może się do czegoś przyda. Wyjął komórkę, po czym zdał sobie sprawę, że nie zna numeru do nikogo z komendy. Zdecydowanym ruchem schował telefon do kieszeni, wyłączył komputer i ruszył żwawym krokiem do gmachu KWP.

Wilczka zastał tam, gdzie go zostawił. Siedział cicho, nieco przygaszony, wpatrując się pustym wzrokiem w milczący telefon na biurku.

– Czekasz na telefon od kogoś? – zapytał, siadając na krześle obok.

– Tak, czekam na Godota.

– A tu tylko Milczot, coś widzę – mrugnął okiem Wojciech, po czym obaj zanieśli się śmiechem.

Ich rehot nieoczekiwanie przerwany został przez dźwięk telefonu. Spojrzeli na siebie zaskoczeni, po czym Kuba odebrał połączenie i włączył tryb głośnomówiący.

– Nadkomisarz Jakub Wilczek.

– Cześć, tu Kosa z Północy. – Kuba znał Patryka „Kosę” Kosteckiego z czasów, gdy sam pracował przez pół roku na komisariacie policji Poznań-Północ.

– Kosa! Kopę lat! Powiedz, że ktoś zgłosił u Was zaginięcie tego łba, proszę cię... – w głosie Wilczka dało się słyszeć niemal błagalny ton.

– No-o, szczerze powiedziawszy, to nie... ale...

– Ale co? No mów! – Kuba pochylił się nad aparatem telefonicznym, jakby kolega miał zacząć mówić szeptem.

– Gość pasujący do waszego rysopisu nie stawił się u nas na dozorze podczas meczu.

– Ale przecież sprawdzaliśmy odciski w bazie! To czemu go nam nie wybiło?

– Hmm, może dlatego, że nie wszystkim dozorowanym skanujemy łapska? – zapytał nieco ironicznie Kostecki. – Tak czy owak, jeśli to dobry trop, wasz zagadkowy N.N. to...

– Czekaaj, nic mi nie mów, zaraz u Ciebie będziemy.

Wilczek rozłączył się, po czym wraz z Gótem zbiegli po schodach. Służbowej kii nie było – widocznie ktoś musiał ją w międzyczasie zaanektować. Jakub wskazał koledze ręką zaparkowaną w kącie hondę. Była pozbawiona koguta, ale i tak stanowiła szybszy środek transportu niż tramwaj. A jeśli nie szybszy, bo trasa PST była pod tym względem bardzo konkurencyjna, to z pewnością wygodniejszy – a co jak co, ale odrobina komfortu w tym chaosie była mile widziana.

Czarek Busza właśnie ścigał na rączym rumaku zbiegłego nikczemnika, za którego głowę szeryf wyznaczył dwa tysiące dolarów, kiedy nagle poczuł uderzenie w żebro. Spojrzał w bok – zamiast dzielnego Strażnika Teksasu oczom funkcjonariusza ukazał się Janek Chrzan mierzący do niego z łokcia.

– Sorry, zasnęło mi się... – wymamrotał w ramach przeprosin, przecierając oczy.

– Tej, to że kimasz w radiowozie i to po południu, to mi zwisa, ale kurwa, stary, charczysz przy tym, jakbyś miał tłumik w maluchu uszkodzony, a na dodatek wywijasz łapami, jakbyś świnię na sznurek łapał! – jego partner wydawał się być autentycznie poirytowany. – No, ale dałbym Ci się jeszcze potaplać z tymi prosiakami w maluchu, tylko że mamy mały ruch pod obiektem.

Busza spojrział w kierunku siedziby redakcji – przed bramą zaparkowano

pojazd, którego właściciel wchodził właśnie do budynku.

– Dzwon do Dzejkoba – polecił Jankowi, podekscytowany, zapominając o wyimaginowanej nagrodzie od szeryfa.

Komisarz Chrzan wyjął z kieszeni telefon, odszukał odpowiedni numer i przyłożył aparat do ucha.

Wilczek i Gót mimo szczyrych chęci oraz czterokołowego wehikułu przegrali wyścig z tramwajem. Ścisłej – utknęli w korku na Mieszka I, co o tej porze było rzeczą równie przewidywalną jak zwycięstwo FC Barcelony nad Realem Madryt.

– Może zadzwon do nich, że się lekko spóźnimy? – Wojciech zadał pytanie z tak stoickim spokojem, jak gdyby podobny tłok na ulicach występował w stolicy jako norma, a nie odchylenie od niej.

Jakub przytaknął, po czym zaczął macać się po kieszeniach spodni i kurtki.

– No tak, rzuciłem telefonem na biurko, zanim wybiegliśmy... Fu-u-u-u-u-u-ck! – zdenerwowany uderzył dłonią w klakson, co zaowocowało po paru sekundach trąbieniem kolejnych kierowców.

Gót bez słowa wyjął z kieszeni paczkę gum do żucia i podsunął ją koledze pod nos. Stare, sprawdzone lekarstwo na skołatane nerwy, odkąd zakazano palenia w radiowozach, a w ostatecznym rozrachunku w prawie całym kraju, poza kilkoma enklawami w zapyziałych knajpach.

Wilczek westchnął, poczęstował się i oddał się czynności, której faceci poświęcają większość swojego życia. Myśleniu o niczym.

– Jest problem, Jakub nie odbiera... – Czarek odstawił od ucha telefon, po czym spojrzał na partnera, który właśnie skończył zawiadamiać przez radio wszystkich zainteresowanych o aktywności przed siedzibą redakcji.

– I co teraz? Dobijamy się dalej? – spytał Chrzan, nie odrywając wzroku od obserwowanego budynku.

Busza pokręcił głową.

– Przedzwonię na komendę, niech jakaś mądra głowa zadecyduje.

Po paru minutach korek szczęśliwie zaczął się rozrzedzać. Honda accord ruszyła z piskiem opon. Wilczkowi tak się spieszyło na komisariat, że zignorował nawet żółte światło. Zdziwił się jedynie, widząc za sobą jeszcze jeden samochód, którego kierowca najwyraźniej musiał już konkretnie nagiąć przepisy, nie stosując się do czerwonej lampy sygnalizatora.

– Jakiś buc na czerwonym przeleciał – skomentował Jakub. – A potem się, kurwa, dziwić, że tyle wypadków w mieście.

Wspominany buc nieoczekiwanie zmienił pas ruchu i zrównał się z nimi, po czym pasażer samochodu otworzył okno i umieścił na dachu mobilny kogucik, włączając zarazem sygnał.

– No i masz, trzeba było jechać tramwajem... – mruknął Wojciech, raczej rozbawiony niż poirytowany całą sytuacją.

Jakub otworzył okno i mignął policjantom odznaką.

– Na komisariat jadę! – spróbował przekrzyczeć syrenę, jednak raczej nieskutecznie. Koledzy mundurowi wydawali się ślepi i głusi na wszelakie wnioski zgłaszane przez załogę hondy.

Gót szturchnął łokciem partnera.

– Weź, zjedź na bok, wytłumaczymy im, co i jak, i spadamy, inaczej czeka nas pościg jak w Hollywood.

Jakub pokręcił głową, zacisnął zęby, równocześnie kurczowo chwytając kierownicę, po czym wcisnął pedał gazu.

– Tak jest, panie naczelniku. Rozumiem, przekażę. Nie dziękuję, żeby nie zapeszać.

– I jakie wieści? – zapytała Agata, która zdążyła przydreptać do radiowozu i schować się wewnątrz, by skorzystać ze zdobyczy techniki zwanej klimatyzacją.

– Paproćko powiedział, że nie ma co czekać na panicza Jakuba, tylko trzeba rozpocząć polowanie póki zwierzyna przy paśniku. Czy jakoś tak. W każdym razie, chciałbym ci serdecznie pogratulować tego arcyzaszczytu, który cię właśnie spotkał. *Il Padre* wyznaczył cię jako najstarszą stażem do przeprowadzenia operacji „Szmataławiec”.

Busza i Chrzan wybuchnęli gromkim rechotem. Tylko Agacie nie było do śmiechu. Wzięła głęboki wdech, a następnie wywołała przez stację zaparkowane nieopodal dwa nieoznakowane transportery.

– Okej, panowie. Pobawię się w Bellonę i...

– To wydawnictwo książkowe? – przerwał jej Czarek.

– ...nie, nie żadne wydawnictwo, w rzymską boginię wojny, jakby ktoś jeszcze miał wątpliwości. Zrobimy to po mojemu, ale tak, żebyście mogli porobić to, co tygrysy lubią najbardziej. A mianowicie...

– Też, będziemy brykać... – mruknął Janek, po czym w eterze rozległ się głośny, męski śmiech, a następnie ciężkie westchnienie jedynej kobiety na fali.

Brawurowy – bądź co bądź – pościg za hondą zakończył się na parkingu

komisariatu. Jakub jeszcze dobrze nie wyłączył silnika, a już został niemal wyrzucony z pojazdu przez barczystego policjanta, który wyskoczył z goniącego ich nieoznakowanego radiowozu.

– Na glebę! Było nie zatrzymywać się do kontroli? A potem uciekać na komisariat?! – ryczał mu do ucha kierowca, podczas gdy drugi ze ścigających o wiele humanitarniej podszedł do warszawskiego emisariusza. – Bęcwał jeden, kurwa, się znalazł. Tu ci nikt nie pomoże, rozumiesz? Nie! Po-mo-że!

– Zostaw go i przestań się drzeć, Dejm – przerwał mu nagle głos dobiegający zza pleców.

Mężczyzna nazwany Dejmem odwrócił się. Jakub podniósł głowę. Przyglądało im się chyba z tuzin funkcjonariuszy, w tym dwaj oficerowie dyżurni, którzy widząc, co się dzieje na lokalnym monitoringu, postanowili interweniować. Tym, który zabrał głos, był nie kto inny, jak Patryk „Kosa” Kostecki, nie tak dawno telefonujący do Wilczka.

– Kiedy ten debil nie zatrzymał się do kontroli! – zaoponował barczysty tajniak, cały czas trzymając Jakuba przyszpilonego kolanem do betonowej nawierzchni policyjnego parkingu.

– Ty za to zaraz będziesz odpowiadał za napaść i obrazę funkcjonariusza Komendy Wojewódzkiej, na dodatek wyższego rangą od ciebie. Dalej, złaż z niego i zejdź mi z oczu. A wam – zwrócił się do obu nadkomisarzy – coś długo zeszło, a podobno czas was goni... Chodźcie, to ogarniemy temat na spokojnie, w wygodniejszej pozycji i miłszej atmosferze.

Dziesięć minut, garść przeprosin, trzy salwy śmiechu i litr kawy później Kosa wziął z półki kilka kartek spiętych spinaczem.

– Zanim się tu doczłapaliście, skserowałem wam akta tego delikwenta.

Rozdał im kserówki, po czym sam wziął do ręki segregator zawierający dane osób z dozorem, w tym Dantego.

– To może być on... – mruknął Wojciech, patrząc na odbitkę zdjęcia. – Przynajmniej z fryzury.

– Gość nazywa się – lub też nazywał – Adrian Skoczylas, syn Mariusza i Antoniny, lat: dwadzieścia dziewięć. Zamieszkały: osiedle Przyjaźni dwadzieścia cztery, to jest w tym bloku, który powstał tam, gdzie kiedyś był nasz komisariat.

Jakub skinął głową. Pamiętał opowieści starszych kolegów o tamtej miejscówce, komisariacie wyglądającym jak baraki, mieszczącym się w samym sercu jednego z winogradzkich osiedli. O tym, jak to wyglądali tam w odblaskowych kamizelkach – raczej jak robole na budowie niż budzący szacunek stróże prawa. Inna kwestia, czy dziś budzimy szacunek – dopowiadali z reguły nieco zgaszonym głosem.

– Skoczył – kontynuował Kostecki – ma u nas dozór podczas wszystkich meczów Lecha Poznań, zarówno tych na Bułgarskiej, jak i, przede wszystkim, wyjazdowych.

– Z jakiego powodu? – spytał Gót. – Czy ma to jakiś związek z Legią?

– Ano właśnie. I tu przechodzimy do meritum: dwukrotnie doprowadził do burd na stadionie, oba incydenty miały jednak miejsce podczas meczów z bardziej neutralnymi rywalami, jak Wisła czy Górnik. Na Legii siedział spokojny jak trusia, bo... pochodził z Warszawy, a w każdym razie tam się urodził. Nie wiem, kiedy przywędrował do Wielkopolski, ale da się to ustalić.

Jakub skinął głową. Lepiej zacząć z wieloma tropami, ruszyć naszych i stołecznych, niż potem pluć sobie w brodę, że się coś pominęło – pomyślał.

– I mówisz, że się nie stawił przedwczoraj na dozorze? – Wilczek podjął dalej wątek potencjalnego Dantego.

– Ani na sekundę. Do tej pory przychodził punktualnie, wraz z godziną rozpoczęcia meczu. Skruszony, wyglądał jakby cierpiał, nie mogąc uczestniczyć w widowisku na żywo. Nieraz debatował z nami chwilę o szansach obu drużyn. Sypał statystykami jak z rękawa.

– Ten gość mógłby ze swoją wiedzą doprowadzić do plajty dowolnego bukmachera – wtrącił się drugi dyżurny, dotychczas przyjmujący pozę milczka. – Rzadko, naprawdę rzadko, mylił się w prognozach. Śmialiśmy się wczoraj, że tak wyczekiwał tytułu mistrzowskiego, że zapomniał o dozorze. Niemniej do dziś nie zjawił się na komisariacie.

– Odwiedziliście jego miejsce zamieszkania? – spytał Wojciech, drapiąc się po głowie i usiłując zebrać wszystko w jedną całość.

Kosa pokręcił przecząco głową.

– Mielśmy tam dzisiaj kogoś wysłać, ale uznałem, że chyba lepiej zostawić tę sprawę wam.

Jakub spojrział na partnera. Czekala ich kolejna wycieczka przez miasto, na dodatek bez pewności, że znają tożsamość ofiary...

W tym samym czasie reszta funkcjonariuszy zajęła siedzibę redakcji „Całej Prawdy”. Gdy punktualnie o jedenastej trzydzieści drzwi otworzył im siwy, długowłose jegomość, zbliżający się do wieku Abrahama, ale niespieszący się jeszcze na jego łono, Agata grzecznie pokazała mu nakaz rewizji, po czym – nie czekając na jakiegokolwiek przyzwolenie – wkroczyła do środka wraz z resztą policjantów.

Wnętrze, jak na biuro redakcji wydającej w sieci codzienne nowinki bardziej ze świata plotek niż dotyczące spraw przyziemnych, wyglądało dość... minimalistycznie, by nie rzec brutalnie: ubogo. Mężczyzna, który przedstawił się

jako Tomasz Kaczaniecki, widząc zdziwienie malujące się na twarzach mundurowych, zaczął się tłumaczyć:

– Nie wiem, jakiego tabunu ludzi się tu państwo spodziewaliście, ale „Całą Prawdę” tworzy mała garstka osób. Ściślej – ja odpowiadam za wszystkie teksty, a jeden czy dwóch fotoreporterów biega po mieście w poszukiwaniu sensacji. Ot, wolni strzelcy, chcący sobie dorobić. Ta willa to mój dom, a ponieważ ma pani nakaz przeszukania tylko siedziby redakcji, to oddaję do waszej dyspozycji tamten pokój.

Wskazał ręką na duże pomieszczenie na parterze. Agata wkroczyła do środka przez otwarte drzwi. Jej oczom ukazały się dwa biurka, stojące obok siebie pod jedną ze ścian. Na przeciwległej zamontowano dwie ogromne tablice do pisania markerami, z których jedna – sądząc po zapiskach – służyła za codzienną listę artykułów do napisania, druga zaś pełniła funkcję sporej wielkości brudnopisu. Funkcjonariusze od razu zajęli się wertowaniem stosów makulatury na biurku w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby mieć znaczenie w śledztwie. Komisarz Jakuszyk zamierzała o coś zapytać, jednak ubiegł ją redaktor, zabierając nieoczekiwanie głos.

– Domyślam się, o co wam chodzi. Nie znajdziecie jednak nigdzie na biurku zdjęć tego trupa. Na komputerze i w aparatach też. Dostałem je na maila.

– Od kogo? – spytał Busza, podnosząc głowę znad papierzyk.

– Żebym to ja wiedział. Dobry Samarytanin, jak to mówię. Albo pies ogrodnika, który działa na szkodę innych, sam nie odnosząc żadnej korzyści. Mało dziś takich? Plotkarskich maili o podpitych piłkarzach, skorumpowanych lokalnych radnych czy podupadłych gwiazdeczkach dostają codziennie na pęczki. Niektóre wykorzystuję, inne odrzucam, ale generalnie materiału mi chyba nigdy nie braknie.

Podszedł do jednego z laptopów i zalogował się do skrzynki. Po chwili otworzył wiadomość i odsunął się od komputera. Agata, Czarek i Janek otoczyli laptop i spojrzeli na ekran.

Wiadomość była lakoniczna, ograniczała się do informacji o morderstwie oraz zawierała kilka fotografii denata oraz tę ukazującą Czarka na miejscu zbrodni. Zdjęcia Dantego zostały – według zapisanych na nich metadanych – wykonane pół godziny przed północą z niedzieli na poniedziałek. Innymi słowy: około dwudziestu minut przed telefonem od Eugeniusza Chorwata. To by oznaczało, że zdjęcia wykonał ktoś będący na miejscu przed starszym panem. W chwili obecnej mogli jedynie stwierdzić, że autorem maila jest osoba posługująca się adresem „ck2015@onet.pl”. Nie oznaczało to jednak, że automatycznie należy jej przypisywać autorstwo zdjęć, choć zachodziło takie podejrzenie.

Czarek wyjął z kieszeni pendrive’a i zapisał na nim fotografie, poprosił także o wydruk maila oraz przesłanie jego kopii na swój adres. Agata podziękowała za pomoc, poprosiła Kaczanieckiego o nieopuszczanie miasta oraz stawienie się dzień

później na komisariacie w celu złożenia zeznań w charakterze świadka. Wymogła też skutecznie usunięcie reportażu z sieci. Mężczyzna nie wyglądał na zachwyconego, ale uznał chyba, że „Cała Prawda” już i tak zdobyła swoje przysłowiowe pięć minut sławy, więc posłusznie, choć z ociąganiem, spełnił polecenie policjantki.

Kilka minut później dwa transportery i kia cee'd odjechały w stronę centrum miasta. Na osiedlu domków jednorodzinnych znów zrobiło się cicho, pusto i klimatycznie.

O trzynastej Jakub z Wojciechem podjechali przed Komendę Wojewódzką. Wprawdzie mieli odwiedzić mieszkanie Skoczylasa, ale po pierwsze, Wilczek uznał, że o tej porze najprawdopodobniej nikogo w środku i tak nie zastaną, a po drugie spieszno mu było do swojego telefonu, leżącego nadal na biurku.

Kilka minut później Jakub trzymał już w ręce telefon. Trzy nieodebrane połączenia – od naczelnika, Czarka Buszy i od byłej dziewczyny. Nie wiedział, która osoba mogła chcieć czegoś istotniejszego. Postanowił, że zajrzy najpierw do Jacka Paproćko, który powinien urzędować u siebie, piętro wyżej. Nie odrywając wzroku od wyświetlacza, otworzył drzwi, by wyjść na korytarz, i o mało co nie zderzył się z naczelnikiem, który najwyraźniej został poinformowany o ich powrocie i zdecydował się złożyć niezapowiedzianą wizytę.

– No, nareszcie jesteście, dodzwonić się do was nie można – burknął, po czym spojrzął na warszawiaka i dodał: – To oczywiście nie pańska wina, panie Wojciechu. Swoją drogą, musimy sobie także z panem zorganizować łączność, bo się wszyscy pogubimy.

– Przepraszam, telefon został tutaj, podczas gdy my dokonaliśmy ważnych ustaleń... – zaczął Wilczek, ale natychmiast przerwał, postanawiając obrać inną taktykę. – Czy coś się stało, naczelniku? Pan dzwonił, Busza też...

– To się stało, że nie było was na miejscu i Agata musiała wziąć na siebie bojowe zadanie wkroczenia do jaskini lwa. Z tego, co wiem, wracają już z zabezpieczonymi materiałami, więc proponuję ci siedzieć tu, pilnować telefonu i nie wylazić za daleko. Wstępnie o trzynastej trzydzieści zbierzemy się w salce konferencyjnej i zdecydujecie, na czym stoimy.

Czekając na pozostałych, Jakub rozważał, czy oddzwonić do Dominiki, swojej byłej. O ile o niektórych parach można powiedzieć, że są jak ogień i woda, o tyle oni byli raczej jak biegun północny i południowy. Zimni, spokojni, niby tacy sami, ale jakże odlegli od siebie. Reprezentowali dwa, nieco odmienne, światy – jak pingwiny i niedźwiedzie polarne, które – by się spotkać – muszą najpierw

powędrować do zoo. Jak pani mecenas i jej asystent w niedawno czytanej przez niego książce – otrzymanej zresztą od dziewczyny.

Wilczek wiedział, że nigdy nie zapomni okoliczności, w jakich zdecydowała się, by mu ją podarować. Podziwiając jej czytelniczy zapał, przyznał się, że sam od niedawna boryka się z pewnym dylematem:

– Wiesz, od jakiegoś czasu chcę napisać książkę. Taką o życiu policjanta, bez pitolenia, jak to fajnie, a za to z w miarę rzetelnym odzwierciedleniem realiów tej popapranej roboty.

– Książkę? – wydawała się być pozytywnie zaskoczona tym wyznaniem. – Zamierzasz robić konkurencję dla Mroza?

– Ta-a-a-a, będę świecił się jak miliony monet – zanucił entuzjastycznie, bujając się zarazem w rytmie swojego fałszu.

– Nie tego Mroza... – Dominika przybrała pozę Chrystusa Frasobliwego. – Miałam na myśli tego od thrillerów prawniczych.

Dwa dni później już wiedział, kto zacz.

Tak czy owak, dla Dominiki i Jakuba wspomnianym zoo była jedna z poznańskich dyskotek. On przybył tam z kolegami, świętując urodziny Czarka, ona była na wieczorze panieńskim koleżanki ze studiów. Ich spojrzenia spotkały się parokrotnie i *de facto* wieczór nie zapowiadał niczego więcej, dopóki podpite już drużyny nie zaczęły interesować się grupą mężczyzn wesoło spędzających czas nad kuflami piwa. Kilka drinków później większość z nich tańczyła już na parkiecie w rytm puszcanych przez didżeja kawałków. Tylko Jakub i Dominika pozostali przy stoliku, sącząc powoli alkohol – ona lekkiego drinka, on drugie, i ostatnie, piwo. Żadne z nich nie miało ochoty tańczyć, zaczęła im się natomiast kleić rozmowa. Wymienili się tego wieczoru numerami, a kilka spotkań później stało się dla nich jasne, że są sobie przeznaczeni.

Owo przeznaczenie zostało nagle postawione pod znakiem zapytania miesiąc wcześniej, kiedy z niewyjaśnionych przyczyn Dominika postanowiła zakończyć ich związek. No, nie do końca niewyjaśnionych – jej zdaniem romans ambitnego policjanta z młodszą od niego studentką filologii był nie najlepszą mieszanką. Jakub miał inne zdanie, ale – biorąc pod uwagę, że faktycznie często spędzał więcej czasu w radiowozie niż w pobliżu ukochanej – przyznał jej nieco racji. Ona natomiast spakowała się i wyprowadziła, przestała odpisywać na esemesy i odbierać telefony, zablokowała go na Facebooku, aż w końcu Wilczek dał za wygraną i spróbował o niej zapomnieć.

Tylko czego, u licha, mogła nagle chcieć? Stało się jej coś? Potrzebowała pomocy? Chce wrócić? W głowie nadkomisarza kłębił się milion myśli. Nacisnął zieloną słuchawkę i przyłożył telefon do ucha. Nie odbierała. Spróbował raz jeszcze, ale słysząc po kilku sygnałach pozbawiony emocji głos automatycznej sekretarki, rozłączył się. Spróbuję jeszcze raz przedzwonić po pracy – postanowił.

Albo odwiedzę ją w... kurde, gdzie ona może teraz mieszkać? – podjął rozważania, lecz te zostały brutalnie przerwane przez pukanie do drzwi.

Jakub spojrział w stronę źródła dźwięku – to Czarek zaglądał do jego pokoju.

– Chodź na odprawę, brakuje tylko komendanta.

Z niepokojem o Dominikę, ale i z ciekawością, co ustalili koledzy, Wilczek wstał z krzesła i ruszył korytarzem, doganiając kolegę.

Kilkanaście minut zajęło obu ekipom podzielenie się wzajemnymi osiągnięciami. Wilczek postanowił przemilczeć incydent z pościgiem i w duchu wdzięczny był partnerowi za identyczną dyskrecję. Poczul wibrację w kieszeni i rzucił okiem na wyświetlacz. To nie Dominika – doktor Ziębaszewski przysłał esemesa z komentarzem, że to nie są zdjęcia, którymi dysponują w Zakładzie Medycyny Sądowej. Jakub jeszcze raz odczytał treść wiadomości, tym razem na głos, poddając temat pod dyskusję.

– To by oznaczało – odezwała się Agata – że tajemniczy właściciel skrzynki o nazwie „ck2015” nie jest pracownikiem ZMS-u, więc w posiadanie owych zdjęć wszedł w nieznanym nam sposób. Istnieje prawdopodobieństwo, że sam je wykonał.

– Głowiłem się trochę w drodze powrotnej nad tym mailowym pseudonimem – wtrącił się Janek. – O ile znaczenie liczby 2015 jako bieżącego roku jest raczej pewnikiem, o tyle spokoju mi nie daje to całe „ck”. Pierwsze, co mi przyszło na myśl, to Calvin Klein – odczekał wybuch śmiechu wśród kolegów na sali. – Drugie, równie idiotyczne, to *C.K. Dezerterzy*. I to pasowałoby jedynie pod warunkiem, że nasz Dante byłby dezertorem, choćby w takim znaczeniu, że uciekał przed kimś lub przed czymś.

Pokiwali głowami. Choć na pozór brzmiało to irracjonalnie, było w tym nieco sensu.

– Jest jeszcze trzecia możliwość – odezwał się przybysz ze stolicy. – Ciało znaleźliście przy tym wiadukcie, prawda? O ile dobrze pamiętam... – przerwał, szukając czegoś w smartfonie, po czym z wyrazem triumfu na twarzy położył go na stole, prezentując wszystkim mapę okolicy. – Najbliższą ulicą była Niska, jednak po drugiej stronie wiaduktu kolejowego biegnie ulica Norwida. A ten – nie wiem, czy wiecie – nosił dwa imiona: Cyprian Kamil. C.K. Może morderca chciał dopaść Dantego po tamtej stronie, ale ten mu uciekał?

Zapanowała cisza, podczas której każdy rozważał spokojnie wymienione przez obu funkcjonariuszy możliwości.

– Jakkolwiek by było – zabrał głos po paru minutach Jakub – nie jesteśmy chyba w stanie udowodnić żadnej z tych teorii, przynajmniej w chwili obecnej. Skupmy się zatem na kolejnych działaniach. Trzeba odwiedzić mieszkanie dozorowanego i wysondować, dlaczego się nie pojawił. Możliwe, że zamiast

Skoczyłasa zastaniemy tam tylko jego matkę, żonę lub kochankę, a wówczas trzeba podejść do sprawy delikatnie. Proponuję, by na miejsce pojechali Agata z Wojciechem.

Oboje spojrzeli ze zdzwieniem na siebie, a po chwili na Wilczka. Nie przeszkadzało im to, że mają współdziałać, ale było to co najmniej podejrzane, biorąc pod uwagę dotychczasowy podział zadań. Kuba tymczasem, nie zrażając się psychicznym ostrzałem, kontynuował wywód:

– Czarek i Janek, podrzućcie te zdjęcia naszym informatykom, może coś z nich wydumają. Jutro musimy obowiązkowo przesłuchać tego Kaczorowskiego...

– Kaczanieckiego – poprawiła go Agata.

– ...wszystko jedno, może być Kaczyński nawet – Kuba wydawał się nieco spięty. – W każdym razie, potem jesteście wolni, widzimy się jutro. Niestety musicie obyć się dziś beze mnie, mam pewną osobistą sprawę do załatwienia... Na dziś to tyle z mojej strony.

– Ja jeszcze mam jeden komunikat – odezwał się znieczeka naczelnik Paproćko. – Panie Wojciechu, najmocniej przepraszam za wczorajszy nietakt. Nikt z nas nie pomyślał o załatwieniu panu jakiegoś lokum. Komenda oczywiście pokryje pański rachunek hotelowy, niemniej pragnę poinformować, że w naszym Hotelu i Ośrodku Wczasów Komendy Wojewódzkiej Policji w Kiekrzu czeka już na pana dwuosobowy pokój, w całości do pana dyspozycji. Ponieważ nie jest to zbyt blisko naszej komendy, na parkingu czeka też nieco wysłużone, ale w pełni sprawne stilo, żeby mógł się pan swobodnie poruszać do, z i w razie potrzeby w trakcie pracy.

Gót nie za bardzo wiedział, jak się zachować. Podziękować? Skakać z radości? Skinął głową i, jak miał w swoim zwyczaju, okrył wszystko zasłoną milczenia.

Wilczek odliczał czas, mając nadzieję, że naczelnik nie będzie za długo marudził ze swoimi ogłoszeniami duszpasterskimi. Spieszyło mu się, chciał jak najszybciej dodzwonić się do Dominiki, żeby... No właśnie. Sam do końca nie miał pojęcia, co nim kierowało. Czuł, że czegokolwiek była będzie od niego oczekiwana, jest jej to winien. Za to, jaki był. Za to, jaki nie był. Za to, że właściwie go niemal wcale nie było. Czuł się zobowiązany, bez względu na to, jak archaicznie brzmiało to dla niego samego.

Kiedy już Jacek Paproćko skończył swoją tyradę i zaprosił wszystkich jutro na ósmą (jakże mogli odmówić!), a koledzy zaczęli rozchodzić się do swoich zadań, Jakub pospiesznie wyszedł z komisariatu, wpakował się do swojej hondy i wyjechał z parkingu, byle jak najszybciej zapomnieć o pracy i przełączyć swój umysł na inne tory. Kilkanaście minut później zajeżdżał na jakiś parking przy

drodze, wyłączył silnik i ponownie wybrał numer Dominiki.

– Kuba! – wrzasnęła do słuchawki, odbierając połączenie. – Potrzebuję Twojej pomocy, to sprawa życia i śmierci, proszę...

– Domi, uspokój się... – Wilczek próbował zachować stanowczy ton. – Co się dzieje?

– To nie jest rozmowa na telefon. Proszę, przyjedź do mnie...

– Do ciebie, to znaczy gdzie?

Dominika westchnęła. Nie, spotkanie w mieszkaniu to nie był najlepszy pomysł.

– To inaczej, o której najwcześniej możesz się spotkać?

– Choćby zaraz – odpowiedział Jakub, po czym sam zaczął się zastanawiać, czemu mu do niej tak spieszo.

– Bądź za pół godziny w Santosie – odpowiedziała, po czym rozłączyła się.

O co jej, do cholery, chodzi? – zapytał sam siebie, jednak nie przychodziła mu do głowy absolutnie żadna racjonalna, a zarazem prawdopodobna odpowiedź. Schował smartfon do kieszeni, ponownie uruchomił samochód i ruszył w kierunku wspomianej przez dziewczynę restauracji.

Dostrzegł Dominikę, ledwie wszedł do lokalu. Od razu odżyły w nim wspomnienia wspólnych posiłków z ukochaną. Tym razem jednak nie spotykali się w eleganckiej, drogiej restauracji, do jakich kiedyś zwykł ją zabierać. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów znalazł się w miejscu „na studencką kieszeń”. To, a także obecność w pobliżu akademików, hipotetycznie oznaczały, że dziewczyna nadal studiuje. Postanowił jednak nie zasypywać jej gradem pytań dotyczących jej życia osobistego, tylko po prostu pozwolić jej mówić. W końcu to ona chciała się pilnie zobaczyć.

Zamówili sobie po gorącym kakao i po kawałku napoleonki. Choć Wilczek z nerwów miał ochotę na solidną kawę z co najmniej dwóch czubatych łyżeczek, postanowił nie wyłamywać się z rytuału, który niegdyś wprowadziła w ich życiu Dominika. „Gdy sił ci już mało, wypij kakao” – mawiała, uznając ów napój za remedium na wszystkie bolączki i problemy, jakie ją spotykały. Jakub na początku ich związku był tym pomysłem wyraźnie rozbawiony, kiedy jednak dał się pewnego razu namówić – i podziałało – zmienił zdanie, choć nadal nie był w stanie zrozumieć magii drzemiącej w kubku słodkiego, czekoladowego mleka.

Po kilku minutach luźnej pogawędki o wszystkim i o niczym, potrzebnej obojgu, by utemperować emocje i oswoić się z myślą, że oto znów siedzą razem przy stole, Dominika podjęła temat.

– Chciałam się z tobą spotkać z powodu Dinary.

– Ze czemu? – Jakub potrząsnął głową. Żaden Dinara nie przychodził mu do

głowy.

– Z powodu mojej przyjaciółki, a zarazem współlokatorki Dinary Akinfiejewnej, młodej pół Polki, pół Rosjanki, która od wczoraj nie pojawiła się w mieszkaniu. Obawiam się, że mogło jej się coś stać...

– Od wczoraj? Jak znam życie, to może gdzieś zabalowała i została u znajomych? – starał się myśleć na tyle racjonalnie, na ile mógł.

– Dinara? Nie, była zamknięta w sobie, nie chodziła na imprezy, sprawiała wrażenie wyobcowanej. Rewelacyjnie mówiła po polsku, więc to nie bariera językowa była tego powodem. Nie wiem, ale od paru dni wyglądała jeszcze bardziej posępnie niż zazwyczaj. Próbowałam z nią porozmawiać na ten temat, ale zbywała mnie za każdym razem...

Przerwała na chwilę i wyjęła z torebki zdjęcie, przedstawiające całkiem ładną blondynkę. Podała je Jakubowi, po czym dodała:

– Wiem, że zgłosić zaginięcia nie mogę, ale, proszę, weź to zdjęcie, może przypadkiem na nią trafisz. A teraz wybacź, ale nikt się za mnie na jutrzejsze kolokwium nie nauczy.

Dopiła kakao, wstała i wybiegła, zostawiając Wilczka samego ze zdjęciem w jednej ręce i parującym jeszcze kubkiem w drugiej.

Wizyta na osiedlu Przyjaźni, zapowiadająca się raczej standardowo i niewywołująca entuzjazmu, stała się dla Agaty i Wojciecha dość zaskakującym przeżyciem. W mieszkaniu należącym do Skoczylasa nie zastali nikogo, natomiast nieocenionym źródłem wiedzy okazała się leciwa sąsiadka, która – zanim odpowiedziała na jakiegokolwiek pytania – zaprosiła funkcjonariuszy do siebie, po czym poczęstowała świeżym ciastem drożdżowym.

– Przepyszne ciasto – powiedziała z pełną buzią komisarz Jakuszyk, siląc się na uprzejmość. – Niemniej chcielibyśmy zadać pani...

– Jedz, jedz, kochanieńka – przerwała jej starowinka, podsuwając talerz z kolejnymi kawałkami – dam Ci za chwilunięć przepis. Sama dostałam go od matki, pamiętam, miałam wtedy chyba osiemnaście lat.

– Proszę pani – tym razem to Gót wszedł w słowo – kiedy ostatni raz widziała pani Adriana Skoczylasa? Lub jego krewnych?

– Adrianek? Uroczy chłopiec, ale trochę samotny. Siatki z zakupami mi zawsze pomaga wnosić, drzwi przytrzyma, widać, że dobrze wychowany, choć nie bardzo z pieniędzmi mu się współżyło. Z tego, co wiem, to mieszka tu sam, poza tym rozgląda się za pracą, bo poprzednia mu się nie podoba. Ale nie wiem, gdzie pracuje, bo to tak głupio wypytywać.

– Dobrze, czyli mieszka sam... – powtórzyła, notując, Agata. – A kiedy ostatni raz go pani tu widziała?

– Niech no pomyślę... to było chyba w niedzielę. Tak, w niedzielę, bo wracałam rano z kościoła, a potem to już placek robiłam, bo miałam umówionych gości. – To rzekłszy, gestem nieznoszącym sprzeciwu nałożyła mundurowym po kolejnym kawałku ciasta drożdżowego. – Jedzcie, jedzcie. No, na czym to ja skończyłam...

– Na niedzieli i spotkaniu Adriana Skoczylasa – przypomniał jej Gót, po czym zabrał się za konsumpcję swojej nowej porcji słodczy.

– Ano właśnie, i jak koło jedenastej siostra z mężem przyjechali i wyszłam im pomóc zabrać tobołki z auta, to minęłam go przy wejściu do bloku. Spytałam, czy pomoże mi w poniedziałek z zakupami, ale on na to, że właśnie zaczyna długi urlop i że go za prędko nie zobaczę, po czym bez słowa poszedł dalej.

– Urlop? No cóż, będziemy musieli to sprawdzić – mruknęła Agata. – A nie pamięta pani naprawdę, gdzie on pracuje?

– Nie, ale może ten młody spod piątki będzie wiedział, bo w podobnym wieku są i nieraz z okna widziałam, jak razem szli kopać piłkę tu na boisku. – Wskazała przez okno ręką obiekt sportowy, stojący na terenie mieszczącej się naprzeciwko szkoły. – A w ogóle to dlaczego policja szuka Adrianka? Coś przeskrobał? To dobry chłopak... – zmartwiła się kobiecina.

– Cóż, po prostu chcielibyśmy mu zadać kilka pytań. Nic mu z naszej strony nie grozi – odpowiedział wykrętnie Wojciech. – No nic, na nas pora, dziękujemy za gościnę i poświęcony nam czas.

Zaczęli zbierać się do wyjścia, lecz starsza pani wypuściła ich z mieszkania dopiero, gdy zostali wyposażeni w pół blachy ciasta i nabazgrany na poźółklej kartce przepis. Chwilę później w rozmowie z „młodym spod piątki” udało im się także ustalić, że Skoczylas faktycznie mieszkał sam, miał problemy finansowe oraz był zatrudniony w jednym z okolicznych zakładów bukmacherskich.

– A tak w ogóle... Coś się stało dzisiaj Wilczkowi? – zapytała Agata, wkładając do bagażnika ciasto i zatrzasnąwszy klapę.

– Nie, nie zauważyłem, ale gdy wróciliśmy i zaczął bawić się telefonem, to mu mina nieco zrzędała.

– Dziwna sprawa. Mam nadzieję, że cokolwiek go wybiło z rytmu, da mu niedługo wrócić do formy. Odwieźć cię do hotelu, a potem do Kiekrza?

– Dzięki za propozycję, ale jeśli możesz, to na komendę po prostu. Chciałem sobie coś ogarnąć na kompie z netem.

– Jasne, sama się tam wybieram. Mam tu tyle spraw do załatwienia, że jeśli nie zostanę i nie zrobię tego teraz, póki śledztwo porusza się w ślimaczym tempie, to nigdy tego nie pozamykam.

Po dotarciu na miejsce Wojciech udał się do salki komputerowej, Agata z kolei przeszła do swojego służbowego pokoju. Ciasnota, jaka tam panowała, sprawiła, że Jakuszyk postanowiła zabrać ze sobą potrzebne dokumenty i przejść

do pustej, przestronnej sali konferencyjnej, by móc zebrać myśli i w spokoju popracować. Nie minęło pół godziny, gdy nagle do jej uszu dobiegł sygnał komórki. Spojrzała na wyświetlacz. Ktoś przysłał mi maila z tematem „Uważaj, Agata!”? Pewnie znowu mogę wygrać jakiś bzdurny bon za podanie wszystkich swoich danych albo to jakiś inny spam – pomyślała i skupiła się ponownie na swoich sprawach.

Po półtoragodzinnym, zupełnie bezsensownym krążeniu po mieście Jakub ostatecznie pojechał na komendę. Nie potrafił do końca się odnaleźć po spotkaniu z Dominiką, wiedział jednak, że powinien jak najszybciej zająć się czymś innym. Choćby sprawdzeniem w bazie tej całej polsko-rosyjskiej Dinary albo zorientowaniem się, czy koledzy odkryli coś godnego uwagi.

Wewnątrz budynku zionęło pustką i panowała cisza – przynajmniej do momentu, gdy Kuba usłyszał głośne „O Boże!”, dobiegające z piętra. Co tchu pognął po schodach i wpadł do sali konferencyjnej. Jego oczom ukazały się rozsypane na podłodze dokumenty. Nad nimi stała Agata, dzierżąc w dłoniach komórkę i wyglądając, jakby miała zemdleć. Pobiegł do niej i wyrwał jej telefon z ręki. Słyszając nadbiegające kolejne osoby, odwrócił się i zawołał:

– Wezwijcie pogotowie! – po czym, zerkając na treść wyświetlanej na ekranie wiadomości, dodał: – Oraz naczelnika, komendanta i kogo tylko się da. Czekajcie nas dłu-u-u-gi, ciężki wieczór, a może i noc...

– Nie no, kurwa, nie wierzę – zaklął komendant, ponownie zerkając na trzymany w ręku wydruk maila. – Morderca nie dość, że leci z nami w kulki, to jeszcze bawi się w poetę, sugerując miejsce kolejnego mordu.

Naczelnik raz jeszcze przeczytał na głos wszystkim zgromadzonym tajemniczy „list”, który sprawił, że musieli wrócić na komendę, a Agatę oddelegować ambulansem do szpitala. Traf chciał, że dwie sale od Eugeniusza Chorwata, którego stan nadal nie zapowiadał większych szans na poprawę.

*Gdzie prędkość zwiększa swe granice,
gdzie wszystkim rządzą kierownice,
gdzie tłumnie pchają się kibice,
mam dla Was drugą tajemnicę.*

– Jedyne, co mi przychodzi na myśl, to Tor Poznań. I chyba najlepiej byłoby tam w tej chwili wparować na sygnale – powiedział, trzeźwo już myśląc, Jakub. – Zastanawia mnie tylko, czy na podstawie adresu nadawcy, czyli tego przeklętego

„ck2015”, jesteśmy w stanie szybko dojść, skąd wysłano wiadomość, a co za tym idzie – kim jest i w co z nami pogrywa.

– Chłopie! Jak znam życie, nasi z miesiąc będą analizować te numery IP i inne cuda wianki, żeby wydumać, że nic nie wiedzą. Strata czasu... – rozłożył bezradnie ręce Czarek, trafnie podsumowując wyczyny niektórych pracowników Komendy Wojewódzkiej.

– Racja, racja. Słuszna uwaga, niestety – podjął temat naczelnik Paproćko. – Tak czy owak, trzeba podrzucić to informatykom. Swoją drogą – ustalili cokolwiek w związku z tamtymi zdjęciami?

– Jak na razie nic – odparł Busza, kręcąc głową.

– Dajmy im jeszcze trochę czasu. Tymczasem proponuję, co następuje: jedziecie na tor wyścigowy, bo w tym przypadku czas to pieniądz, a ja natenczas Wojski pomarudzę Marudziakowej o nowinkach z mrocznego półświatka stolicy Wielkopolski...

Dwadzieścia po szóstej kawalkada oznakowanych i nieoznakowanych radiowozów wtoczyła się na domniemane miejsce kolejnej zbrodni. Pomijając jednak zabawny efekt w postaci wyścigów na sygnale wzdłuż całej długości toru, niczego więcej nie osiągnięto. Nawet przyciśnięci do muru bezdomniacy, znaleźni gdzieś w kącie, niczego nie widzieli ani nie słyszeli. Śledczy nie pałali z tego powodu entuzjazmem.

– No tak, kto to widział ufać anonimom... Lata PRL-u i esbecji niczego nas nie nauczyły – mruknął Chrzan, kopiąc z nerwów w wysłużoną oponę równie zajęchanej już kii.

– Weź, nie mów, skąd mieliśmy wiedzieć, że to będzie podpucha? Lepiej tak, niż gdybyśmy, nie daj Boże, realne zagrożenie zignorowali – odpowiedział mu Jakub, zły na to, że śledztwo ani trochę nie posuwa się do przodu.

– A jeśli nadawca miał na myśli inne miejsce? Gdzieś jeszcze można się legalnie u was pościgać czymś innym niż gokarty? – zapytał od niechcienia Gót.

– Nie, nigd... chociaż... przecież jeszcze do niedawna...

– ...żużlowcy ścigali się po stadionie Olimpii! – wszedł Wilczkowi w słowo Czarek Busza.

Nie trzeba było powtarzać lokalizacji drugi raz – syreny ponownie zawyły i policyjna pielgrzymka wyruszyła zwartym szykiem.

Dwadzieścia minut później wraz z kawalkadą radiowozów na teren stadionu wjechała karetka pogotowia, zaalarmowanego po drodze przez funkcjonariuszy. Janek z Czarkiem wysiedli przy bramie, by, po pierwsze, nie dopuścić do napływu

ciekawskich gapiów – a potencjalnych chętnych, którzy udali się na spacer lub przebieżkę nad pobliskim jeziorem, nie brakowało. Po drugie natomiast, zaczęli rozpytywać gościa ze stróżówki, ten jednak miał do powiedzenia niewiele ponad to, że obchód miał robić dopiero o dziewiętnastej, nie widział nikogo wchodzącego na teren stadionu ani poruszającego się po nim. Czarek z całej siły powstrzymywał się od sugestii, że być może ciekawszy był serial emitowany na włączonym w stróżówce telewizorze. Pozostali policjanci tymczasem rozbiegli się po terenie obiektu sportowego w poszukiwaniu ciała oraz ewentualnych świadków.

– Tu leży! – krzyknął któryś z funkcjonariuszy. Jakub z Wojciechem spojrzeli na siebie i natychmiast ruszyli w kierunku policjanta. Tuż przed nimi na miejsce dotarli ratownicy z ambulansu, jednak niewiele mogli zrobić, by pomóc ofierze.

– Co za bestialstwo – rzekł jeden z nich, wskazując na ciało.

Ubrana pierwotnie w strój motocyklowy kobieta leżała twarzą do ziemi. Na plecach wycięto jej znaczną część ubrania, a następnie rozcięto skórę i wyjęto na wierzch płuca i żebra. Wyglądało to na tyle okropnie, że Wilczek w pewnym momencie doszedł do wniosku, że może i lepiej, że Agata jest już bezpieczna w szpitalu, bo mogłaby nie znieść takiego widoku. Sam chwilami powstrzymywał się od torsji. O dziwo, Wojciech Gót wydawał się stać niewzruszony – najwyraźniej w stolicy takie okazy były na porządku dziennym.

Rozmyślenia przerwała mu wibracja telefonu. Sięgnął do kieszeni, wyjął z niej swoją wysłużoną nokię i zobaczył na wyświetlaczu numer Agaty. O wilku mowa, to do Wilczka dzwoni – pomyślał, po czym odrzucił połączenie. Nie był w stanie rozmawiać z nią spokojnie, stojąc obok denatki w takim stanie.

Odkładając do kieszeni telefon, wyczuł ręką papier. No tak, schował tu zdjęcie otrzymane od Dominiki. Wyjął je, po czym poprosił kolegów, by odwrócili delikatnie ciało ofiary, ukazując jej twarz.

Porównał ze zdjęciem i przełknął głośno ślinę. Nie było żadnych wątpliwości. To była Dinara.

Jakuszyk odłożyła komórkę na szafeczkę przy szpitalnym łóżku. Zdenerwowało ją, że nie może zadzwonić się do kolegów. W końcu, gdyby jej nie było w pracy lub gdyby zignorowała całkowicie tego maila i skasowała go bez odczytywania, dowiedzieliby się sporo po fakcie o kolejnym trupie. Zamknęła oczy i spróbowała skoncentrować się na czymś przyjemniejszym niż praca, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi. Do środka zajrzała pielęgniarka.

– Przepraszam, że pani przeszkadzam – rzekła słodkim, uprzejmym głosem – ale pacjent z sali nieopodal, gdy tylko dowiedział się, że sąsiaduje właśnie z funkcjonariuszką policji, uparł się, że musi zdradzić pani pewien sekret.

Obawiam się, on zapewne też, że niewiele życia mu pozostało. Czy mogłaby pani...

– ...spełnić jego ostatnią wolę? – weszła jej w słowo Agata. – Chętnie, przyda mi się zająć głowę czymś innym niż ostatnio. Już wstaję.

– Nie, nie! – przerwała jej pielęgniarka. – To znaczy tak, dobrze pani odgadła jego intencje, ale niech pani, broń Boże, nie wstaje, jest pani jeszcze słaba. – To rzekłszy, skinęła ręką na kogoś na korytarzu i po chwili do sali wszedł mężczyzna, pchający przed sobą wózek inwalidzki.

– Dzień dobry! – zawołał zawadiacko. – Pozwoli pani, że będę szoferem tego radiowozu. – To rzekłszy, wyjął z kieszeni małą lampkę, przyczepił ją do oparcia fotela i przesunął włącznik. Lampeczka zaczęła mrugać na czerwono i niebiesko.

– Nasze koguty preferują tylko niebieski, ale niech będzie... – roześmiała się Agata. – A mawiają, że w służbie zdrowia to same sztywniaki pracują.

– Sztywniaki to tylko w ZMS-ie podobno. Na stole sekcyjnym oczywiście – dodał „kierowca”, po czym mrugnął okiem i rozpoczął procedurę transportową.

Po chwili komisarz Jakuszyk znalazła się dwie sale dalej. Na łóżku leżał starszy mężczyzna, podpięty do kilku urządzeń monitorujących jego stan.

– Pani władzo – odezwał się, zanosząc się kaszlem – przepraszam za kłopot, ale muszę porozmawiać z kimś mundurowym.

– Proszę się nie krępować – uśmiechnęła się Agata, po czym spojrzała na wyświetlacz telefonu. Dziewiętnasta dwadzieścia, Jakub nie dzwonił. – Mamy czas – dodała, odkładając komórkę.

– Czy może mnie pani nagrywać? – spytał nagle mężczyzna, wskazując na smarton. – To, co powiem, może być istotne.

Począł, aż Agata uruchomi aplikację, po czym rozpoczął opowieść.

Godzinę później Agata ponownie próbowała połączyć się z Wilczkiem. Tym razem odebrał i natychmiast został zakrzyczany, że – gdziekolwiek jest – ma zebrać ekipę i przyjechać do szpitala.

O dwudziestej pierwszej do jej sali wbiegli policjanci, jednak zastali puste łóżko. Już mieli wszcząć alarm, gdy z korytarza wychyliła się pielęgniarka, mówiąc:

– Jeśli szukają panowie tej pacjentki, to jest dwie sale dalej, ale ostrzegam, że do szczęśliwych nie należy.

Natychmiast popędzili do sali, w której wcześniej leżał Eugeniusz Chorwat. Teraz jego łóżko było puste – a właściwie zajęte, bo z posępną miną siedziała na nim komisarz Jakuszyk.

– Nasz świadek zmarł pół godziny temu na zawał... – zaczęła – ...ale

miałam możliwość porozmawiania z nim przed śmiercią. Zgodnie z jego wolą, nagrywałam naszą rozmowę. Przyznał, że znał z widzenia ofiarę.

– Jak to? – zdziwił się Gót. – Przecież nic nam na ten temat nie mówił...

– Powiedział mi, że interesował was tylko zabójca i świadkowie, to się z wiedzą na temat ofiary nie wychylał. Nie było pytania, nie ma odpowiedzi. Dzięki Bogu, że mu ta świadomość ciążyła i zdążył jeszcze przed śmiercią zdradzić, ile wie.

Spojrzeni na nią, wyczekując meritum.

– Ja muszę jutro zostać jeszcze na obserwacji, ale pojutrze powinnam już wam pomóc. Nagranie mojej rozmowy ze świadkiem wysłałam ci, Jakub, na maila, posłuchajcie sobie jutro, to będziecie wiedzieć to, co ja, a może i więcej. A teraz wybaczcie, ale chętnie położę się spać i odpocznę, skoro już mnie tu trzymają.

Wstała, minęła wszystkich bez słowa i udała się do swojej sali.

V

Środa, dziesiąty czerwca 2015

Środowe ranki wyglądały z reguły na komisariacie zupełnie spokojnie. Miało to zresztą swoje logiczne uzasadnienie – przez poniedziałek i pół wtorku trzeba było nadganiać wszystko to, co się „zaległo” przez weekend, dzień później wszyscy mogli już nieco odsapnąć.

Tym razem jednak, za sprawą ostatnich wydarzeń, o jakimkolwiek odpoczynku można było jedynie pomarzyć. Zespół kryminalny w niemal pełnym składzie czekał nerwowo w salce konferencyjnej – brakowało jedynie Agaty, nadal przebywającej w szpitalu, oraz Czarka, który przedzwonił, że nawalił mu samochód i musi zorganizować sobie jakiś zastępczy transport z podpoznańskiego Swarzędza, więc się delikatnie spóźni.

Jacek Paproćko spojrzał na zegarek. Ósma piętnaście – kwadrans temu mieli zacząć, jednak postanowili czekać na kolegę. Chrząknął, by dać znać, że chce powiedzieć coś ważnego – ściślej: mimo wszystko rozpocząć naradę, jednak w tym samym momencie drzwi się otworzyły i do środka wbiegł zdyszany Czarek Busza.

– Cóż, skoro jesteśmy już w komplecie – rozpoczął naczelnik – proponuję przejść od razu do rzeczy. Mamy dwa trupy i niewiele więcej jesteśmy w stanie powiedzieć. Przynajmniej według mojej dotychczasowej wiedzy. Liczę jednak, że mnie oświecicie. Co więcej, skład nam się nieco okroił, odkąd Agata jest w szpitalu.

– Zacznę od tego, że trupy mamy trzy: nasz Dante, kobieta ze stadionu i pierwszy świadek. Zmarł wczoraj – zaczął Jakub.

– To znaczy, że mamy do czynienia z seryjniakiem? – wyrwał się z pytaniem Chrzan.

– Nie, skądże – sprostował sytuację Wojciech Gót. – Staruszek zmarł na zawał i jest ofiarą przypadkową, do uznania mordercy za seryjnego zgodnie z normami FBI potrzebujemy, i owszem, trzech ofiar, ale bezpośrednich. Tako rzeczce Quantico.

– Quantico-srantiko, ja tam swoje wiem. Jakiś psychol nam po mieście grasuje i jeszcze się z nami w ciuciubabkę bawi – burknął Janek, po czym spojrzał na Jakuba, oczekując jakiejś reakcji.

– Obaj macie być może rację – odpowiedział pojednawczym tonem Wilczek. – Na razie nie mamy nawet pojęcia, czy sprawcą w obu przypadkach jest ta sama osoba. Z góry możemy natomiast wykluczyć próby samobójcze i nieszczęśliwe wypadki. Proponuję na razie skupić się na ofiarach, zwłaszcza że posiadam garść informacji na temat każdej z nich.

Wyjął z kieszeni komórkę oraz złożoną czterokrotnie, zadrukowaną kartkę

formatu A4. Otworzył kartkę i zaczął mówić dalej:

– Zacznę od denatki. Zarówno wiemy, kim jest, jak i mamy pojęcie, jak zginęła. – Na sali nastąpiło poruszenie, jednak Wilczek niezrażony kontynuował dalej, pokrótce naświetlając spotkanie z Dominiką i zdobycie zdjęcia, które pozwoliło mu rozpoznać kobietę. – Oczywiście sam fakt rozpoznania z fotografii to kiepska przesłanka i najpewniej będę musiał ściągnąć kogoś z rodziny Akinfiejewnej, żeby potwierdził jej tożsamość. Ewentualnie – przeciągnął lekko głos tak, że dało się słyszeć jego wahanie – mógłbym poprosić o to Dominikę, ale nie wiem, jak zareaguje.

– Okej, znajdziemy kogoś kompetentnego – wszedł mu w słowo Czarek, chcąc wesprzeć nieco kolegę i zmienić jak najszybciej temat. Wszyscy widzieli, że to raczej „trudne sprawy”. – A jak, twoim zdaniem, zginęła ta cała Dolara?

– Dinara – uśmiechnął się Kuba. – Oglądałem kiedyś w telewizji dokument o wikingach i ich europejskich podbojach. Wczoraj nie byłem do końca pewien, ale po powrocie do domu wygooglowałem to i owo. Otóż nasz trup numer dwa to tak zwany „krwawy orzeł” – a w tym wypadku raczej orlica. Tym terminem określa się jeden z wikińskich rytuałów, zgodnie z którym wyciągnięte z rozprutego ciała organy miały stanowić coś na kształt skrzydeł, zapewniających denatowi możliwość odlotu w ofierze prosto do Odyna. Co więcej, rany posypywano solą, więc wolę sobie nie wyobrażać, co ona czuła...

Wzdrygnął się na samą myśl, zauważył jednak, że podobne ciary odczuli także pozostali.

– Więcej wiemy też o naszym Dantem – odezwał się Wojciech, opowiadając pokrótce, bez „pikantnych” szczegółów, o podróży na komisariat Poznań-Północ oraz herbatce u sąsiadki Skoczylasa. – Oczywiście nadal nie mamy pewności, że to on leżał rozbebeszony koło torów, ale jest to nasza najpewniejsza hipoteza do tej pory. Pozostaje nam jeszcze odwiedzić jego zakład pracy i upewnić się, co z tym rzekomym urlopem i czy jest z nim jakikolwiek kontakt.

– To nie wszystko jednak – dodał nagle Wilczek. – Pojawiły się też kolejne, jeszcze nowsze informacje dotyczące tego gościa. Agata wczoraj jakimś cudem znalazła się we właściwym miejscu, o właściwym czasie i udało jej się porozmawiać ze świadkiem tuż przed jego zgonem. Całą rozmowę nagrała telefonem, zdążyłem już wysłuchać nagrania, ale pozwólcie, że przesłuchamy je razem.

Położył na stole smartfon, a następnie dotknął przycisku „play” na wyświetlaczu. Usłyszeli suchy kaszel, a następnie do ich uszu dobiegł głos starca:

– Nazywam się Eugeniusz Chorwat, to ja znalazłem zmasakrowane zwłoki przy wiadukcie tramwajowym i kolejowym. Nie wiem, czy zna pani tę sprawę...

– Owszem, bardzo dobrze, tak się składa, że wraz z kolegami prowadzę to śledztwo – w tonie Agaty dało się odczuć spore podekscytowanie. Ona jedyna nie

wiedziała wcześniej, kto leży w pobliżu, więc nieoczekiwane spotkanie ze świadkiem musiało być dla niej sporym zaskoczeniem.

– Zatem wie pani, że koledzy odwiedzili mnie tu niedawno, oczekując, że coś sobie przypomnę, jednak pogorszenie się mojego stanu zdrowia przerwało ich wizytę.

Wilczek i Gót pokiwali w milczeniu głowami, jakby mimowolnie przytakiwali nieżyjącemu mężczyźnie.

– Pani koledzy zadali kilka pytań, ale nie interesowała ich w ogóle ofiara. Tak się natomiast składa, że chyba kojarzę z widzenia tego chłopaka.

– Co? – przerwała mu funkcjonariuszka, niemal krzyżąc. – Chce pan powiedzieć, że znał pan ofiarę?

– No-o, bez przesady, od razu tam znałem. Widzi pani, od parunastu lat chodzę wieczorami tą samą trasą z psem na spacer. Pies się zestarzał, ja trochę zdziaiałem i tylko szlak pozostał ten sam. Parę dni temu widziałem dwóch chłopaków kłócących się dość głośno na temat tego, które miejsce będzie lepsze: skarpa czy torowisko. Nie zrobiło to na mnie większego wrażenia – byłem przekonany, że to kolejne młodociane pseudorapery, co to takich teraz pełno, i kombinują, gdzie jakiś teledysk nagrać, żeby ta dzisiejsza – pożał się, Panie Boże – młodzież miała ubaw. Wie pani, ubrani w spodnie tak nisko, jakby w nie narobili, gruba, rozpięta bluza, jakby miało przyjść nagle oziębienie klimatu i – za przeproszeniem, pani władzo – rzucają kurwami częściej niż ustawa przewiduje. Ten jeden to był taki niski, chudy leszcz, a drugi był bardzo podobny do tego chłopaszka, co to go znalazłem rozbebeszonego. Przepraszam, że nie powiedziałem tego od razu, ale dopiero po pewnym czasie zorientowałem się, że pani koledzy nie pytali, a ja już lata nie te, skleroza powoli daje się we znaki i...

– Nie szkodzi, i tak – nawet teraz – nam pan wiele pomógł – odpowiedziała.

– A niech mi pani powie, jak się czuje Czarek? – zapytał zniechęca mężczyzna.

– Czarek? Busza? – zdziwiła się Agata.

– Żaden buszmen! To całkiem spokojny piesek! – obruszył się mężczyzna.

Korzystając z salwy śmiechu w sali, na co pozwolono sobie mimo obecności Czarka, Jakub wyłączył nagranie.

– Dalej nie ma sensu słuchać – kontynuował swój wywód. – Facet dowiaduje się o schronisku, rozmowa się kończy, a po jakiejś godzinie gość umiera.

– I tak faktycznie sporo nam powiedział – przytaknął naczelnik. – No nic, nie ma co tak siedzieć, pora działać. Trzeba przede wszystkim dowiedzieć się, czy Dante i ten cały kibol Skoczylas to jedna i ta sama osoba, interesuje nas też ten rzekomy leszcz, z którym miał się kłócić. O zdjęciach coś wiadomo? – spytał,

patrzac w kierunku komisarza Chrzana.

– Nic a nic jak na razie. Za to przypomnialo mi sie, ze jeszcze jest ten caly Heniu-wedkarz do przemaglowania, bosmy z Czarkiem nie zdazyli z tego wszystkiego udac sie w odwiedziny. A biorac pod uwage, jak szybko tracimy swiadkow, chyba powinniemy zlozyc mu wizyte jak najszybciej.

Dość sprawnie uwinięto się z rozdysponowaniem zadań, po czym wszyscy funkcjonariusze opuścili salkę konferencyjną. Chrzan i Busza skierowali się pieszo w stronę kamienicy, w której – przynajmniej według danych w systemie – mieszkał Henryk Knyp. Po jego przesłuchaniu mieli też wziąć raz jeszcze na spytki mieszkańców ulicy Niskiej – poprzednio ich czynności zostały bowiem z wiadomych powodów przerwane. Wojciech z Jakubem wybrali się do szpitala, by odebrać Agatę. Dzwoniła, że wypisuje się dzień wcześniej na własną odpowiedzialność, bo chce spędzić trochę czasu z rodziną, a jutro wróci do pracy. Następnie zaś mieli przesłuchać mężczyznę, którego „plackowa babcia” określiła jako „młodego spod piątki”, a któremu wczoraj faktycznie poświęcili niewiele czasu.

Agata czekała na nich spakowana i cała w skowronkach, jakby mieli ją zabrać na piknik w lesie. W drodze do domu, na Strzeszyn Grecki, ciągnęła chłopaków za języki, aż w końcu uznała, że już nie da się być bardziej na bieżąco ze śledztwem. Po dotarciu do celu wysiadła z hondy Wilczka, wzięła swoje bagaże, pomachała kolegom, obserwując oddalający się samochód, a następnie skierowała swe kroki do drzwi wejściowych.

– Mama!!! – dało się słyszeć donośny okrzyk pełen radości, gdy tylko weszła do środka.

Jej oczom ukazały się czteroletnia Martynka i dziewięcioletnia Paulinka, a tuż za nimi Michał, tyleż wyczerpany, co szczęśliwy. Położyła torbę na podłodze i wzięła córki w ramiona. Nie widziały się ze sobą zaledwie dobę – do szpitala nie wpuszczano dzieci. Sam Michał zjawił się zresztą tylko raz, ale trzeba było mu przyznać, że chłop nie miał kiedy się pokazać, biorąc pod uwagę opiekę nad wymagającą sporo uwagi najmłodszą córką. Aż nadto wykazywał się natomiast swoim tacierzyństwem.

– Jak tam, poradziłaś sobie beze mnie? – spytała Martynkę, tuląc ją mocno do siebie. – Tatuś był grzeczny?

– Nie do końca, nie opowiedział mi wczoraj bajki na dobranoc...

Agata spojrzała karcąco na męża. Ten rozłożył bezradnie ręce, skinął głową na córkę i powiedział:

– Zgadza się. A teraz powiedz mamie, dlaczego.

– Zdążyłam sama zasnąć – stwierdziła poważnym tonem Martynka,

równocześnie patrząc na tatę z miną, jakby to nie było wystarczające usprawiedliwienie.

Agata parsknęła śmiechem, do którego niemal natychmiast dołączyła Paulinka i pozostali. Tego jej brakowało – radości, szczęścia, chwili odpoczynku od kieratu w pracy, wszędobylskich trupów i dziennikarskiej nagonki. Poczowała, że jest w domu. Całą sobą.

Korzystając z faktu, że miała cały dzień dla siebie, a Michał i tak wziął w pracy mniej zleceń, by móc opiekować się dziećmi, postanowili wybrać się na letnią wyprawę nad jezioro. Pogoda sprzyjała, pora także – w środku tygodnia można było się na plaży naprawdę zrelaksować i znaleźć trochę miejsca dla siebie. Tak z ćwierć plaży – tyle zajęły dziewczynki, robiąc ogromny mur z piasku, odgradzający rodziców i sporą połąć terenu. Zaczęły kopać właśnie fosę dookoła muru, by niebawem napełnić ją wodą przyniesioną we wiaderku, gdy niespodziewanie ciszę i uroki tego obrazu zakłócił Michał.

– A jak tam się miewa ten wasz warszawiak? – spytał. W jego głosie dało się wyczuć przekonanie, że w drodze ze szpitala żona zdążyła nadrobić zaległości. Właśnie z tego powodu nie zaproponował, że ją odbierze. Inna sprawa, że sam nie posiadał prawa jazdy i to Agata robiła za „panią kierownicę”, jak to kiedyś określiła Martynka. Wprawdzie mógł przywieźć ją do domu taksówką – czuł jednak, że Agata potrzebowała jak najszybciej wrócić do śledztwa. Taka już była, mimo wielu jej zalet czasem aż bił z niej pracoholizm.

– Wojtek? Chyba dobrze, jechałam z nim i Jakubem ze szpitala. Dobrze się trzyma.

– A jak ma się trzymać nieboszczyk? – Michał autentycznie zdziwił się. – I jak to: jechałaś z nim autem?

Chwilę zajęło, nim Agata zorientowała się, że mąż ma na myśli Dantego, a o funkcjonariuszu ze stolicy nie ma zielonego pojęcia. Wyjaśniła całą sytuację i dość oględnie zrelacjonowała, na czym stoją. Opowieść zakończyła prawdopodobnym odkryciem tożamości denata i faktem, że trzeba teraz jakoś wykazać, że to jedna i ta sama osoba.

– A monitoring? – zapytał, jakby to była oczywista oczywistość.

– Jasne, że sprawdzałam nagrania z przejeżdżających tramwajów, ale nigdzie mnie to nie zaprowadziło.

– I tyle? Na tym koniec? Przecież dzisiaj każdy z nas jest jak Truman! – Michał nie krył oburzenia.

– Harry Truman? Ten prezydent USA, który jako jedyny w historii tego kraju wydał rozkaz użycia broni jądrowej, doprowadzając tym samym do ataku na Hiroszimę i Nagasaki? No faktycznie, bombowo dzisiaj mamy! – zakpiła, patrząc jak na wariata.

– Co?! Nie, nie żaden polityk! Nie oglądałaś nigdy *Truman Show* z 1998

roku?

– Nie... – wymamrotała skonsternowana.

– To już wiem, co robimy dziś wieczorem. Tak czy owak – główny bohater to Truman Burbank, nieświadom tego, że ktoś ogląda jego życie jak film. Upraszczając, to taki „Wielki Brat”, tyle że nie jesteś zamknięta z bandą innych kretynów w jakiejś chałupie na odludziu, a wiesz normalne, beztroskie życie.

Pokiwała głową, nie do końca rozumiejąc, do czego zmierza ten wywód.

– A dziś mamy to na co dzień – kontynuował, zaferowany. – Gdzie się nie ruszysz, tam kamery, które mają rzekomo dbać o nasze bezpieczeństwo, i tabliczki z mówiącym wszystko i nic napisem „teren monitorowany”. Monitoring miejski to bodaj pięćset kamer, jak ostatnio gdzieś w gazecie czytałem. Dolicz do tego osiedlowe, sklepowe, przemysłowe, samochodowe, ludzi z GoPro lub Google Glass – albo choćby ze smartfonem w ręce. Trzask, prask i jesteś nieświadomie gwiazdą YouTube. Opcjonalnie robisz za atrakcję dla tych, co pilnują porządku i oglądają na bieżąco obraz z tych kamer. Ten wasz Dante jakoś musiał trafić na miejsce zbrodni, no nie? Raczej się nie teleportował. Ja bym na waszym miejscu sprawdził wszystkie nagrania pod kątem albo tego typka, którego obstawiacie za ofiarę, albo poszukując biało-zielonego dresiku Legii Warszawa. Idę o zakład, że musiał wzbudzać zainteresowanie operatorów.

Zakończył wywód, po czym wstał i ruszył w stronę Martynki, od paru minut wołającej go do pomocy w zbudowaniu zwodzonego mostu. Agata w skupieniu zaczęła potakiwać, po raz kolejny zastanawiając się, dlaczego to ona wstąpiła do policji, a nie Michał, który – jej zdaniem – trochę marnował się, pracując w domu jako freelancer projektujący strony internetowe. No, ale przynajmniej mogła otwarcie przyznać, że mąż ma dzięki temu czas, by zająć się dzieckiem. Nigdy nie zapomni, jak chustonosił małe córki i czytał im książeczki, choć one nie rozumiały z nich ani słowa.

Po paru minutach potakiwania i po przetrwaniu informacji od Michała, podjęła decyzję, od czego powinna jutro zacząć działania. Tymczasem wyjęła z plecaka aparat cyfrowy i ruszyła w kierunku reszty rodziny, by uwiecznić ich zmagania z mostem na fotografii. W końcu mieli spędzić ten czas razem, a nie znów debatować o pracy.

Tylko głupi by zakładał, że mężczyznę zwanego „młodym spod piątki” zastaną w domu. Jakub i Wojciech postanowili jednak tak założyć i opłaciło się – najwyraźniej faktycznie „głupi ma zawsze szczęście”.

Drzwi mieszkania numer pięć otworzyła im dziewczyna w luźnym dresie, z nieco podkrążonymi oczami, jakby ktoś jej podbił każde oko, i wytapiowanymi, kruczoczarnymi włosami. Dopiero po paru sekundach Wilczek skonstatował, że to

nie podbite oczy, tylko kretyński makijaż. Albo laska jest aż tak zmęczona, cholera ją wie. Wyjął z kieszeni policyjną odznakę i pokazał, zbierając się do zadeklamowania standardowej formułki, kiedy dziewczyna nieoczekiwanie odwróciła się i krzyknęła w głąb mieszkania:

– Edi, ciulu, pały przyszły po ciebie.

Po tych słowach odwróciła się na pięcie i, jak gdyby nigdy nic, zniknęła w jednym z pokoiów. Wilczek spojrzał bez słowa na Góta – z wyrazu twarzy partnera wywnioskował, że ten najwyraźniej podziela jego zdanie: najlepiej pozostawić to bez komentarza.

Zrobili kilka kroków do środka lokalu mieszkalnego, gdy wtem zza zakrętu wyłonił się wychodzący z kuchni chłopak, którego mieli okazję poznać dzień wcześniej. Obie ręce miał umazane krwią, w jednej z nich trzymał sporej wielkości tasak.

Kuba zawahał się. „Co tu się, kurwa, wyprawia?” – zadał sobie w duchu pytanie, na głos artykułując jedynie pierwsze dwa słowa. Młody spojrzał na policjantów, następnie na siebie w lustrze.

– Wybaczą panowie – powiedział opanowanym głosem. – Tak się głupio złożyło, że akurat czerninę przyrządzam. Niezły *mindfuck*, no nie? Kurde, już odkładam i idę umyć łapy.

Uśmiechnął się ni to jak dziecko cieszące się z zabawnej sytuacji, ni to jak popapraną psychopata, przyłapaną na swoich niecznych uczynkach. Wszedł do kuchni, włożył tasak do zlewu, umył porządnie ręce i zaprosił funkcjonariuszy do swojego pokoju.

Weszli do ciasnego pomieszczenia, w którym mieściło się zaledwie biurko, rozkładana kanapa-tapczan i krótka meblościanka, zajmująca mimo to pół długości pokoju. Obaj funkcjonariusze uznali, że chyba jednak postoją.

– Kiepskośmy się sobie ostatnio przedstawili – zagaił rozmowę warszawiak. Nadkomisarz Wojciech Gót oraz nadkomisarz Jakub Wilczek. A pan to...

– Edward Grubski. Myślałem, że wiecie.

– Co wiemy, to wiemy, ale sprawdzić swoje musimy – odparował dyplomatycznie Kuba, zatajając fakt, że mężczyzna do tej pory widniał w śledztwie jako zagadkowy „młody spod piątki”. – Zeznał pan ostatnio, że niejaki Adrian Skoczylas pracuje w pobliskim zakładzie bukmacherskim. Skąd pan o tym wie? Zna go pan?

– Jak sąsiad sąsiada, kilka razy spotkałem go w pracy, wiecie, panowie, trochę rozrywki jeszcze nikomu nie zaszkodziło, podobnie jak dreszczyk emocji, czy tym razem wejdzie mi kupon czy jak zwykle nie.

– A kiedy ostatni raz się widzieliście i w jakich okolicznościach? – drążył dalej Wilczek.

– Jakoś w środę, to był bodaj trzeci czerwca. Byłem obstawić Kolejorza, to

„się wie, się rozumie” samo przez się, no nie?

– I potem przez resztę tygodnia go pan nie widywał? Nawet na klatce schodowej?

– Nie-e-e-e... – przeciągnął. – Rozumiem, że panowie zachodzą w głowę, gdzie on się podziewa, tak? Coś przebąkiwał o urlopie, to pewnie wyjechany jest. Ja tam nie wiem, w kieszeni mu nie siedzę... – Grubski rozłożył ręce w geście bezradności.

– Co konkretnie o tym urlopie mówił? – Jakub brnął dalej w temat, licząc, że to pomoże odkryć, czy Skoczylas faktycznie jest, jak to ujął świadek, „wyjechany”. Albo inaczej: czy wyjechał już na tamten świat, czy też błąka się gdzieś po tym łożu padole.

– Nic nie mówił... Nie pamiętam w każdym razie, zbyt zaaferowany byłem szansą na mistrzowski tytuł. Rozumiecie, panowie?

– Trochę ta-a-a-k... – przytaknął niechętnie Jakub.

– Ni cholery – mruknął nieoczekiwanie Gót – ale mniejsza o to. Chcielibyśmy też wiedzieć, czym pan się na co dzień zajmuje.

– Projektuję ogrody. Taki tam mały prywaciarz ze mnie. Robię projekty na kompie, a potem sprzedaję je za gruby hajs nadzianym gościom lub wykonawcom znającym takich frajerów z wypchanymi kieszeniami.

– O-o-o, patrz pan, to świetnie się składa! – podekscytował się nagle Wojciech i zaaferowany przyklasnął. – Siostra przeprowadza się niebawem na Strzeszyn i marudziła mi wczoraj, jaki to ogród jej się marzy. Ma pan może wizytówkę?

Podczas gdy Jakub patrzył ze zdziwieniem na wyczyny swojego kolegi, Edward Grubski wyjął z kieszeni nieco wymiętolony, prostokątny arkusik, nabazgrał coś na odwrocie i podał funkcjonariuszowi, dodając:

– Proszę dzwonić między siódmą a dwudziestą trzecią, zazwyczaj w tym przedziale czasowym jestem pod telefonem, chyba że wypiję co nieco szlachetnego trunku, ha ha ha!

Roześmiał się, jakby opowiedział najprzedniejszy dowcip. Wilczek tymczasem zaczął się zastanawiać nad tym, czy istnieje powiązanie między owym piciem a krwią, którą widzieli jeszcze pół godziny temu na rękach tego faceta. Gót po chwili schował kartonik do kieszeni i przyznał, że osobiście nie ma więcej pytań.

Wstali, uścisnęli dłoń Grubskiego i ruszli w stronę drzwi. Wędrówkę przerwał im nieoczekiwanie gospodarz.

– Może trochę czerniny? – spytał, wskazując kuchenne miejsce zbrodni na Bogu ducha winnym króliku.

Grzecznie wymówili się, po czym niezwłocznie opuścili mieszkanie i niemal pędem ruszyli klatką schodową ku wolności i świeżemu powietrzu.

– Słyszałem kiedyś na mieście, że podobno sataniści po swoich czarnych mszach mają uczyty z suto zastawionymi stołami, a na pierwsze danie wlatuje czernina z kota. Czarnego oczywiście. Do tej pory traktowałem to jako suchar sucharów rodem z Familiady, ale patrząc na tego kretyna i jego dresiarę z podbitymi ślepiami, zaczynam się poważnie zastanawiać – mruknął Wojciech, gdy tylko wsiedli do hondy.

Jakub roześmiał się, jednak w głębi ducha musiał przyznać partnerowi rację. Ta parka była co najmniej podejrzana, nawet jeśli swoje chore wizje urzeczywistniali jedynie w domu.

– Ładnie w tej stolicy mówią, he he... Swoją drogą, nie brakuje ci miasta? Dużą różnicę widzisz między Poznaniem a Warszawą? – zadał pytanie, które nurtowało go, odkąd Gót przybył, by wspierać ich w śledztwie.

– Przede wszystkim dziwi mnie, że jeździmy sobie dziś, jak gdyby nigdy nic, na czerninę do szajbusów, zamiast pilnować Śródmieścia.

– Starego Miasta – poprawił go Wilczek. – A niby czemu mielibyśmy pilnować?

– Jak to: „czemu”? Przecież dziś dziesiąty!

Wzrok Jakuba mówił dobitnie, że ten dalej nie pojmuje, w czym rzecz.

– Chłopie! – uniósł się nagle Wojciech. – Kolejna miesięcznica smoleńska! A my co?

– A my nie mamy takich ekscesów w tej kwestii jak w *stolicy* – uśmiechnął się Wilczek. – Paru ludzi pokrzyczy, pospaceruje i na tym koniec. Ostatni raz widziałem tabuny ludzi na ulicy na taką skalę, gdy się młodzież przeciwko ACTA zbuntowała.

Podróż na obrzeża osiedla zgodnie z przepisami ruchu drogowego zajęła im dziesięć minut. Dwa razy szybciej zaszliby pieszo „na szagę”, jak to określił Jakub, ale obaj w duchu cieszyli się, że udało im się oddalić niezwłocznie od Grubskiego i jego patologicznej kuchni. Zaparkowali hondę accord przed jednym z lokali bukmacherskich, po czym weszli do środka i jak najdyskretniej wyjaśnili blondynce za ladą, kim są i w jakim celu przybyli.

Chwilę później znaleźli się na malutkim zapleczu, gdzie oprócz czajnika, umywalki i niewielkiego blatu z trudem mieścił się stolik Lack i cztery nieco zdezelowane krzesła o zastanawiająco polskiej nazwie – Stefan. Na kilometr widać było, że sponsorem zaplecza jest IKEA. Kierownik zaproponował kawę, jednak policjanci woleli od razu przejść do meritum.

– Czy zatrudnia pan niejakiego Adriana Skoczylasa? – zapytał ze spokojem Wilczek.

– Tak, pracuje u mnie od dwóch lat. Chłop ma niesamowitą głowę do

statystyki – mężczyzna potwierdził opinię, którą usłyszeli wcześniej na komisariacie. – Coś przeszkrobał? Wszedł na mecz mimo zakazu?

– Wie pan o jego dozorce? – zdziwił się Gót.

– Wiem, wiem. Wymagam od pracowników niekaralności, ale w jego przypadku – z wymienionego przed chwilą powodu – zrobiłem wyjątek. Zresztą, na dobre mi to wyszło. Klienci walą tłumnie na jego zmianę za ladą, licząc, że jego statystyczny zmysł pozwoli im wygrać.

– I wygrywają?

– I tak, i nie. Jest ryzyko, jest zabawa, a same dane mogą jedynie posłużyć za pomoc, nie są pewnikiem. Dlatego też nie interesuje mnie, ilu klientom poszło dzięki Adrianowi lepiej. Prawdę powiedziawszy, te same dane znajdują w leżących na stole segregatorach, ale oni – zamiast się przez nie przekopywać – wolą zaufać ekspedientowi, a w zamian stawiają wyższe kwoty. Mnie to urządza – zakończył, zacierając ręce niczym przeciętny Kowalski przed wieczornym losowaniem Lotto.

– Rozumiem – skwitował Wilczek. – Wracając do tematu, z tego, co wiemy, pana pracownik nic nie przeszkrobał, natomiast... – zawiesił głos, próbując równocześnie ładnie ubrać w słowa to, co chciał powiedzieć. – Jakby to ująć, musimy z nim porozmawiać.

– Cóż, obawiam się, że w tej chwili będzie to trudne. W piątek był ostatni dzień w pracy, a od soboty rozpoczął mu się trzytygodniowy urlop. Uprzedzając pytania, nie mam bladego pojęcia, dokąd wybył. Skoczylas jest skrytym człowiekiem, nieco zamkniętym w sobie. Jak połowa genialnych umysłów.

I prawie każdy, kto ma coś na sumieniu – dopowiedział sobie w myślach Jakub, ale postanowił nie dzielić się tą uwagą z pozostałymi.

– Może pan nam podać jego aktualny adres zamieszkania i jakiś numer kontaktowy? – zapytał, jakby profilaktycznie, Wojciech.

Kierownik skinął głową, po czym podszedł do stojącego na biurku komputera. Po chwili wręczył Gótowi kartkę z niezbędnymi danymi. Adres zgadzał się z tym, gdzie niedawno byli. Jedyną nowością okazał się numer komórki Skoczylasa.

Podziękowali za pomoc i wrócili do radiowozu. Wilczek wyjął z kieszeni smartfon, by od razu zadzwonić, jednak – ku swojemu zaskoczeniu – odkrył, że lumia znów się rozładowała.

– Pieprzone dziadostwo. – Rzucił ze złością telefonem na tylną kanapę w hondzie. – W starej nokii bateria wytrzymała mi dwa tygodnie, teraz nie ma dnia, żebym tego gówna do prądu nie wtykał. Rewolucja technologiczna, z koziej dupy chyba.

– To ty nie wiesz? W sieci piszą, że literówkę w nazwie zrobili, bo pierwotnie miała być nokia mumia. A tak na serio, to za to całe planowane postarzenie produktu powinni co najmniej dziesięć lat w kamieniołomach dawać.

I ścigać z urzędu, tylko cholera wie kogo. Masz, spróbuj z mojej.

Podał Wilczkowi swojego wysłużonego, ale nadal sprawnego sony ericssona. Jakub wybrał numer, lecz zamiast sygnału wykonywanego połączenia, włączyła się automatyczna sekretarka.

Janek z Czarkiem stanęli przed starą, jednopiętrową kamienicą, która bardziej nadawała się do rozbiórki niż czynnego zamieszkiwania. Spojrzeli jeszcze raz na numer wyryty na przedpotopowej skrzynce na listy. Ósemka i piątka – to by się zgadzało. Tu powinni zastać poszukiwanego mężczyznę.

Ponieważ furka była otwarta, zdecydowali się podejść pod same drzwi. Okazało się to jednak zbędne – na podwórzu za domem, niewidoczny od strony ulicy, starszy jegomość wywieszał pranie na sznurkach rozwieszonych między orzechem a jabłunką.

– Przepraszam, pan Henryk Knyp? – zaczął niepewnie Busza. – Dzień dobry, jesteśmy z...

– Proszę stąd wyjść! – przerwała mu krzykliwym głosem kobieta, która – niczym kamera monitoringu – śledziła całe zajście z piętra domku. – Nie chcemy żadnej waszej zasranej anteny satelitarnej. Wystarczy, że Maciejową naciągnęliście, łachudry jedne! – krzyczała dalej, palcem pokazując talerz na balkonie sąsiadki.

– Ale kiedy my... – Chrzan próbował ją uspokoić i wytłumaczyć całe zajście, podczas gdy jego partner ruszył w kierunku mężczyzny, wyjmując z kieszeni odznakę.

– W dupie mam, co wy, nieroby! Jazda mi z podwórka, bo mundurowych wezwę!

– Cichaj, babo! – ryknął nagle staruszek, patrząc na Buszę. – Toć panowie z milicji, wszystko gra.

Po czym spokojnym tonem, jak gdyby nic się nie stało, zwrócił się do funkcjonariuszy.

– I tak już będzie pięćdziesiąt lat, jak mi to babsko brzęczy i ludzi straszy. No nic, wejdą panowie do domu, herbatę jakąś zaparzymy i pogadamy jak normalni ludzie.

Spojrzeli na siebie, wzruszyli ramionami i podreptali za gospodarzem do drzwi wejściowych.

Po chwili znaleźli się w przestronnym salonie. Już na pierwszy rzut oka widać było, że mieszkają tu ludzie starzy. Pośrodku pomieszczenia stał potężny, dębowy stół, a wokół niego dziesięć krzeseł, wyglądających tak, jakby pamiętały czasy któregoś z miłośników panujących Ludwików. Czasy, gdy to imię znaczyło więcej niż marka płynu do mycia naczyń. Ściany przyozdobiono wiekowymi

obrazami w ramach, które – choć potężne i stabilne – dawno już straciły swój blask. Największą ze ścian pokrywało ogromne, ręcznie malowane drzewo genealogiczne.

– To moje hobby – rzekł z dumą gospodarz, widząc zainteresowanie gości nietypowym malowidłem. – Skrzętnie gromadzę informacje o naszej rodzinie. Pół strychu zawałiłem pamiątkami z przeszłości i po cichu liczę, że zarazę któregoś z wnuków tą pasją, bo przecież nie będę żyć wiecznie. No, ale chyba nie po to panowie przyszli... – dodał, stawiając na stole duży imbryk, z którego unosił się obłok pary.

Chrzan i Busza usiedli na ludwikach i nalali sobie do małych, zdobionych filiżanek herbatę. Czarek upił łyk. Smakowała inaczej niż ekspresowa w saszetkach, którą kupował zawsze w pobliskim markecie. Zupełnie, jakby...

– Dodał pan czegoś do niej? – spytał podejrzliwie, patrząc na staruszka.

– Nie, nie, ale jak już pan tak pyta... – gospodarz ściszył konspiracyjnie głos – to póki starej nie ma, pozwolą panowie, że trochę prądu sobie doleję, he he!

Wyjął z kieszeni piersiówkę, wlał połowę jej zawartości do filiżanki i delikatnie zabarwił naparem z imbryka, żeby zbyt mocno nie odbiegała wyglądem od napojów towarzyszy. Widząc ich miny, mrugnął porozumiewawczo i dodał asekuracyjnie:

– Bez obaw, wypiję dopiero, gdy już panowie pójdą. Tymczasem proszę pytać, jestem do panów dyspozycji.

Półtorej godziny później, wciąż trzeźwi, za to z pęcherzami pełnymi herbaty, funkcjonariusze wyszli z kamienicy i ruszyli pieszo w stronę ulicy Niskiej, gdzie mieli przeprowadzić raz jeszcze rozmowy z mieszkańcami.

– Mam nadzieję, że zaraz dowiemy się czegoś konkretniejszego niż historia kupna starego roweru, opowieści o wędkowaniu i tym podobne – mruknął Janek, wyraźnie niezadowolony z przebiegu zakończonego po długich mękach przesłuchania.

– Też myślałem, że już nigdy stamtąd nie wyjdziemy. Idę o zakład, że jeszcze chwila i babinka by nam kolację naszykowała i nie wypuściła, zanim wszystko by ze stołu nie zniknęło. A stół ogromnia-a-a-a-sty... – Czarek najwyraźniej podzielał opinię partnera. – No, ale trzeba przyznać jedno: poczciwi z nich ludzie, a dziś takich ze świecą szukać.

– Raczej z wojskowym halogenem – zażartował Chrzan, po czym wyjął z kieszeni służbowy notatnik i przyjrzał się raz jeszcze poczynionym w trakcie rozmowy z Knypem notatkom.

Mężczyzna zeznał, że, i owszem, kątem oka widział machającego do niego przyjaźnie Eugeniusza Chorwata, wyprowadzającego psa, jednakże „ciemno było

i spieszno do domu, bo następnego dnia rano do roboty”. To znaczy: o czwartej trzydzięci na ryby, bo to jedyna robota, której emeryt się podejmuje. Henryk Knyp twierdził, że nie widział nikogo innego, nie słyszał też niczego poza ujadaniem psa, ale „ten durny jamnik co chwilę na coś warczał, więc mnie to nie ruszyło, równie dobrze mógł oszczekiwać moje skrzypiące wigry 3”. Janek zamyślił się. Liczył na to, że spotkanie z kolegą świadka wniesie nieco światła do ich sprawy, tymczasem nadal musieli działać w ciemności, po omacku. Uświadomił sobie też, że nie powiadomili mężczyzny o śmierci emerytowanego woźnego.

Zbyt wiele trupów, za mało konkretnych poszlak – jak na razie nie mieli się czym poszczycić. I Janek, i Czarek wiedzieli, że jeśli nie zdobędą od sąsiadów żadnych istotnych informacji, nie mają co się pokazywać z powrotem na komisariacie. Zdesperowani stanęli przed pierwszą z willi i zadzwonili dzwonkiem przy furtce.

Dominika była zła na Dinarę. Nie, właściwie to była wkurwiona. Przez to, że przyjaciółka zaginęła bez wieści, Dominika zmuszona była poruszyć niebo i ziemię – co w tym przypadku sprowadzało się do spotkania z Kubą po miesiącu rozłąki. Jeden telefon, jedno krótkie spotkanie, a w głowie już pojawiły się setki myśli na temat byłego: wrócić, nie wrócić, dać sobie szansę, odpuścić. Odrywając kolejne płatki wyimaginowanej stokrotki, odwrotnie niż w przedszkolu, zamiast badać stan uczuć Kuby, to samą siebie poddawała analizie, czy go „kocha” czy „nie kocha”. A najgorsze w tym wszystkim było to, że nie знаła odpowiedzi.

Z Wilczkiem było jej dobrze, bez niego – tak samo. Zaśmiewała się w duchu, że to praktycznie żadna różnica, biorąc pod uwagę pochłaniające go obowiązki służbowe. A jednak coś, w najdalszym zakątku serca, podpowiadało jej, że u jego boku czułaby się bezpieczniejsza. Zwłaszcza teraz, gdy współlokatorka przepadła bez wieści.

Wzięła do ręki telefon, po czym przez kilkanaście minut biła się z myślami, czy raz jeszcze, po miesiącu zapominania faceta, wybrać jego numer.

Korzystając z okazji, że nadal znajdują się na osiedlu, Jakub postanowił sprawdzić jeszcze jeden trop. Ponownie podjechali w okolice bloku numer dwadzieścia cztery, jednak tym razem po wyjściu z samochodu udali się w nieco innym kierunku. Po chwili Gót zrozumiał, jaki jest obecny cel ich wizyty. Jego oczom ukazało się kilkanaście monitorów, wyświetlających na żywo obraz z kamer osiedlowego monitoringu. Przed komputerami siedziało kilka osób, sokolim wzrokiem wypatrujących Bóg wie czego.

– Słucham panów – odezwał się nagle jeden z nich, widząc wchodzących,

ubranych po cywilnemu mężczyzn i kierując się natychmiast w ich stronę.

Pospieszenie wylegitymowali się, po czym – najogólniej, jak tylko było to możliwe – naświetlili powód swojego przybycia. Ot, chcieli sprawdzić, czy tego i tego dnia, tu i tu widać może nietypowo ubranego kibica, a przy okazji podłączyć telefon, jeśli to nie problem.

Paręnaście minut później zyskali pewność, że ofiarą numer jeden jest Adrian Skoczylas. Na nagraniu bez problemu rozpoznali dres Legii Warszawa. Twarz ubranego weń mężczyzny – po szybkim porównaniu ze zdjęciem, którym dysponowali policjanci z Komisariatu Policji Poznań-Północ – wydawała się Wilczkowi identyczna z tą, którą kojarzył z miejsca zbrodni. Jakub poprosił o zabezpieczenie materiału wideo, po czym pośpiesznie wykonał zdjęcie Skoczylasa w dniu śmierci i – mimo słabej baterii – rozesłał do każdego z zespołu ememesem. Dwie minuty później, gdy wsiadali do samochodu, telefon znów odmówił posłuszeństwa, wyświetlając grzeczny, ale będący stanowczo nie na miejscu napis: „Do widzenia”.

Wilczek pokręcił głową i odpalił silnik hondy. Był szczęśliwy, że wracają już na komendę, gdzie czeka ładowarka. I dobra, świeżo zmielona kawa w ekspresie. Nic więcej nie było mu w tej chwili potrzebne do szczęścia.

– Obawiam się, że na marne łazimy od drzwi do drzwi o tej porze – mruknął Janek, po raz kolejny przemierzając ulicę Niską.

– Ano, wszyscy w pracy, dzieciaki w szkole, pustka dookoła, idealna okazja dla złodzieja. A my mu prewencyjnie przeszkadzamy – szturchnął go łokciem Czarek. Próbował znaleźć jakiś pozytywny aspekt wałęsania się po ulicy, ale musiał sam przed sobą przyznać, że podana koledze wersja jest co najmniej mocno naciągana.

– Jeszcze dwie kamienice i wracamy na komendę. Ewentualnie po południu zrobimy drugą turę pielgrzymki – burknął tonem nieznoszącym sprzeciwu Janek, wykazując zarazem łaskawie chęć zmarnotrawienia kolejnych godzin, jeśli tak zarządzi Dżekob.

Przystanęli przy czymś, co bardziej przypominało plac budowy niż willę. Napis na tablicy informacyjnej, postawionej zgodnie z prawem koło płotu, informował o gruntownym remoncie domu. Najwyraźniej nowy właściciel miał inne pojęcie na temat tego, jak powinien wyglądać dom. Widząc miny robotników, którzy oderwali się od pracy, przypatrując się gapiom, Busza pośpiesznie przedstawił siebie i partnera, a następnie poprosił o rozmowę z majstrem. Zastanawiał się, jak długo faceci przyglądali im się beczynnemu, zwłaszcza biorąc pod uwagę krążące po kraju anegdoty o mistrzach tego fachu, którzy opanowali do perfekcji zasadę „jak robić, coby się nie narobić”. Rozmyślenia przerwało mu

nadejście szefa wszystkich szefów.

– W czym mogę panom pomóc? Któryś z pracowników coś przeszkrobał? – donośny, niski głos nijak nie pasował do niemal dwumetrowego, szczupłego mężczyzny, zbliżającego się do furki.

– Nie, wszystko w porządku, a przynajmniej nic nam o tym jeszcze nie wiadomo – roześmiał się Janek. – Szukamy świadków zdarzenia, które miało miejsce w niedzielę. Pracowali może wtedy panowie?

– Ja nie, miałem wolne, ale w weekend kilku pracowników było tu z moim zastępcą, żeby skończyć to, z czym w piątek się nie wyrobili. Panowie poczekają, pójde po kolegę.

Po chwili wrócił z robotnikiem, który najwyraźniej został oderwany od malowania sufitu – nie dość, że załatywał farbą, to i z daleka wyglądał prawie jak bałwan. Jedynie pora roku zdawała się do tego nie pasować.

Czarkowi zabręczał telefon, więc odszedł na chwilę na bok, żeby odczytać wiadomość. Chrzan tymczasem zaczął wypytywać mężczyznę o to, czy zapamiętał coś rzucającego się w oczy w ów weekend. Ot, na przykład kolesia w dresie Legii.

Robotnik pokręcił głową i – być może z powodu obecności przełożonego – przyznał, że byli zbyt zapracowani, by zwracać uwagę na wszystko i wszystkich w okolicy. Już miał odejść, kiedy nieoczekiwanie do rozmowy włączył się Czarek.

– Czy mógłby pan się przyjrzeć, może się coś panu przypomni – zasugerował, po czym pokazał na swoim telefonie zdjęcie otrzymane przed chwilą od Wilczka.

– Mówiłem już, że nie by... chociaż, wie pan co, ja tę mordę kojarzę. Był inaczej ubrany i nie był sam. To było w sobotę, bo ja wiem, może koło południa. Kręcił się tu z jakimś przykurczem i w kółko mu mówił: „Kurwa, Edi, nie podniecaj się tak”. I wiecie, panowie, nas to śmieszyło, bo mamy takiego Edka w robocie i on się nam przez cały bity dzień, dosłownie co chwilę, chwalił, że w poniedziałek na urlop wyjeżdża. No i jak żeśmy usłyszeli taki tekst za oknem, to pracować się nie dało. Tak rechotaliśmy, że panele krzywo położyłem z wrażenia. To znaczy już je poprawiliśmy... – dodał, widząc pełne zdziwienia spojrzenie kierownika.

Czarek i Janek, zorientowawszy się, co się święci, podziękowali, naprędce spisali dane robotnika i ruszyli w stronę komendy.

– Na co jeszcze czekasz? – spytał Michał, wycierając dłonie w ręcznik. Skończył właśnie zmywać naczynia po obiedzie.

Agata podniosła wzrok znad gazety, którą od dłuższej chwili trzymała w ręce na tej samej stronie. Nie umiała zebrać myśli, dawno tak dużo czasu nie spędziła w domu. Rozumiała w tej chwili, co czują świeżo upieczeni emeryci – tak jak ona

dzisiaj mają zbyt wiele czasu do wykorzystania zgodnie z własnym widzimisię, co nieuchronnie prowadzi do marazmu i przygnębienia.

– Co mówiłeś? – spytała, nie do końca świadoma, co właściwie usłyszała.

– Cały dzień widzę, jak chodzisz lub siedzisz zamulona jak po jakichś prochach. Nie macie czasem w zwyczaju mieć jakiejś popołudniowej narady? – Dostrzegł, że skinęła głową, więc kontynuował. – No to na co jeszcze czekasz? Śmigaj na komisariat, przynajmniej się rozruszasz, bo z tego, co widzę, to myślami jesteś tam już od dawna.

– A co z dziewczynkami? – spytała, wskazując głową w kierunku dziecięcego pokoju, skąd dobiegał odgłos klocków wysypywanych z wiaderka.

– A co ma być? Paulina radzi sobie sama, w końcu jest już po komunii. A Martynką zaraz się zajmę. Wyjmie się z szafy lego albo inne zabawki. No-o-o-o, nie ma cię, już!

Michał szybkimi ruchami ramion pogonił Agatę, po czym widząc, że na poważnie zaczęła szykować się do wyjścia, wkroczył do pokoju młodszej córeczki, wykrzykując radośnie:

– Hop ho-o-o-o-p! Księżniczko! Pobawimy się legusiami?

Komisarz Jakuszyk uśmiechnęła się, po czym wyszła z domu. Wiedziała, że zostawia dziecko w odpowiednich rękach – Martynka należycie zaopiekuje się tatą.

Zaraz po dotarciu na komendę Jakub wbiegł do swojego pokoju i zaczął nerwowo szukać ładowarki do telefonu. Chwilę później nokia ożyła i zaczęła dawać donośnie znać, że podczas swej nieobecności w sieci przegapiła to i owo.

Wilczek zerknął na wyświetlacz. Trzy nieodebrane połączenia od Kosy, jedno znów od Dominiki. Ponownie zawahał się, do kogo najpierw oddzwonić. Ostatecznie wzięły górę służbowe nawyki. Chwilę później, z krótkiej rozmowy z urzędującym na północy miasta dyżurnym komisariatu, Jakub dowiedział się, że niejaki Edward Grubski zaszczycił komisariat swoją obecnością. Z relacji Kosy wynikało, że Ediemu spieszno było złożyć zeznania i nie chciał czekać na przyjazd Kuby, argumentując, że „policja jest jedna, jak matka”. Biorąc pod uwagę brak kontaktu z Wilczkiem, musieli wysłuchać go sami, ale Kostecki obiecał, że szybko prześle faksem protokół, żeby – jak to zgrabnie określił – „nasz wojewódzki Kuba sam przeanalizował, po co ten popapraniec do nas przyszedł”. Chciał chyba dodać coś jeszcze, ale Wilczek, słysząc, że znów się z nim droczą, po prostu rozłączył się.

Po takim zakończeniu rozmowy Jakub streścił jej przebieg Wojciechowi. Obaj uważali za podejrzanе zachowanie Ediego, ale – po jego ekscesach z czerniną – nie zrobiło to na nich większego wrażenia. Zupełnie, jakby uznali go za człowieka zdolnego do wszystkiego, a zarazem obliczalnie nieobliczalnego. Gdyby zachowywał się racjonalnie – o, to by ich dopiero zadziwił!

Rozważania przerwał im dźwięk faksu. Po chwili maszyna wypluła kilka kartek. Z zeznań złożonych pospiesznie przez „młodego spod piątki” wynikało, że nagle w cudowny sposób przypomniał sobie, że widział się przelotnie ze Skoczylasem w dniu jego śmierci – rzekomo minęli się na osiedlu, gdzieś koło przychodni. To by oznaczało, że policjanci muszą następnego dnia ponownie podjechać na monitoring, by sprawdzić tę wersję, a także przesłuchać ponownie Grubskiego, który zaczyna sprawiać wrażenie coraz bardziej podejrzanego typka.

Wilczek spojrział raz jeszcze na swoją komórkę. Czuł się niepewnie, rozdarty niczym sosna. Zaczął ostrożnie pisać esemesa do Dominiki z pytaniem, czy wszystko w porządku, jednak czynność tę przerwało mu pukanie do drzwi. Parę sekund później otworzyły się, a do środka zajrzała Izabela.

– No, panowie, zbierajcie się. Szef zwołał kolejną naradę, bo – zdaje się – wszyscy w komplecie, a i tak podpierają ściany, czekając na nasiadówę w konferencyjnej.

Wojciech skinął głową i zaczął iść w stronę pani rzecznik. Jakub raz jeszcze spojrział na telefon. „Jak kocha, to poczeka” – pomyślał, po czym pozwolił nokii się ładować, a sam udał się za warszawskim partnerem.

Wchodząc do salki, Jakub zwątpił w to, co widzi. I owszem, w środku czekali już Janek z Czarkiem, debatujący o nowych modelach smartfonów, czy, jak je uparcie kazali nazywać, phabletów – jako efektu połączenia tabletu z telefonem. Temu wszystkiemu przysłuchiwał się Paproćko, pijący kawę z kubka ze swoją karykaturą, ale nie to było najdziwniejsze. Właściwie to nie było ani trochę nadzwyczajne – naczelnik dostał go na Boże Narodzenie od małżonki i przez ostatnie kilka miesięcy zdążyli się z tym widokiem oswoić, a technologiczne przekomarzania Flipa i Flapa już dawno znudziły wszystkich poza głównymi zainteresowanymi. Uwagę Wilczka przyciągnęła natomiast postać, do której zbliżyła się Izabela, a wraz z nią -Wojciech.

– Nie odwoziliśmy cię czasem do domu, żebyś odpoczęła? – spytał zaskoczony obecnością Agaty.

– I sądzisz, że byłabym w stanie siedzieć tam spokojnie, nie wiedząc, coście dziś zwojowali? Jutro z rana tak bym was maglowała, że mielibyście mnie dosyć – roześmiała się, po czym dodała: – Zresztą, ja też mam pewne informacje, którymi muszę się z wami jeszcze dziś podzielić.

Jakub chciał zapunktować u Agaty niewymuszonym przecież ani trochę pytaniem, co to za wieści, które przed nimi skrywa, ale ta niespodziewanie pociągnęła rzeczniczkę na bok i zaczęły swoje tradycyjne, babskie ploty. Zerknął więc w stronę naczelnika. Ten dostrzegł wzrok Wilczka, wysiorbał do końca swoją dawkę kofeiny i chrząknął donośnie, otwierając tym samym bardziej oficjalną część – jak to określiła Izabela – „nasiadowy”, która ich czekała.

– Czyli reasumując – rzekł Paproćko, zbierając w myślach wszystko to, co usłyszał od obecnych – mamy szurniętego świadka, który nagle składa sam z siebie zeznanie, a poza tym prawdopodobnie to on był widziany z ofiarą dzień wcześniej w okolicy miejsca, w którym znaleziono zwłoki. Następnie: zeznania emeryta są chwilowo bezużyteczne, potwierdziliśmy natomiast niejako, że ofiara numer jeden to Adrian Skoczylas. Tym samym znamy tożsamość obu denatów, pozostaje nam odkryć zależność między tymi zgonami. Coś jeszcze wiemy? – zapytał na zakończenie.

– Że Dzejkob potrzebuje nowego telefonu – wypalił Czarek, wywołując długą salwę śmiechu wśród zgromadzonych w sali konferencyjnej.

– Ja mam jeszcze jedną sugestię – odezwała się Agata, gdy już wszyscy ucichli. – No, a właściwie to ma ją mój mąż...

Szybko wyłożyła wszystkim teorię Michała, mówiącą o Wielkim Bracie. Słuchali z wielką uwagą, a następnie zaczęli zastanawiać się, jak długi odcinek wędrówki Skoczylasa mogliby odtworzyć ze wszystkich kamer, które tylko uda im się odnaleźć. Dość prędko podzielili się zadaniami na następny dzień: Jakub z Wojciechem powinni przede wszystkim zatrzymać, doprowadzić na komendę, a następnie przesłuchać Grubskiego. Busza i Chrzan zgłosili się na ochotników do babrania się z nagraniami z monitoringu, kamer przemysłowych i wszystkich innych źródeł, które namierzą, Agata z kolei zgodziła się przeprowadzić rozmowę z matką Dinary Akinfiejewnej. Kiedy Izabela nieoczekiwanie zaoferowała, że pomoże Agacie, nikt nie miał nic przeciwko temu – zwłaszcza, że raczej nie miała to być miła pogawędka przy herbatce.

Po zakończonej odprawie Wojciech zaproponował, że odwiezie obie panie, argumentując to – po pierwsze, chęcią poznania lepiej miasta, po drugie zaś sugerując, że Agata i tak mieszka po drodze. Dziewczyny nie zgłosiły sprzeciwu, Busza i Chrzan planowali część wieczoru spędzić w towarzystwie PlayStation i gry FIFA15 jak co tydzień, Wilczek natomiast liczył na to, że uda mu się wyskoczyć na siłownię. Chciał poćwiczyć nieco na bieżni, rowerku i atlasie, żeby zgubić niechciany „brzuszek”. Kiedy jednak wyszedł z budynku komendy i ruszył w kierunku swojej hondy, wnet pojął, że plany to jedno, a rzeczywistość – drugie.

Dominika stała oparta o maskę samochodu. Tuż obok niej leżała średniej wielkości torba podróżna, wyglądająca, jakby cudem została dopięta na zamek błyskawiczny. Dziewczyna, dostrzegłszy Kubę, spieszyła się, po czym zaczęła trajkotać o tym, co leży jej na sercu. Mówiła, że od chwili zaginięcia Dinary ma problemy z zasypianiem, bo boi się, że i jej też stanie się krzywda, oraz że niepokoi się o los przyjaciółki i potrzebuje poczuć się choć trochę bezpiecznie. Wreszcie wykrztusiła z siebie zdanie, którego Kuba się spodziewał, chociaż nie był na nie do końca przygotowany:

– Czy mogłabym wprowadzić się do ciebie? Naprawdę się boję...

Wilczek w milczeniu przytulił do siebie byłą ukochaną, po czym otworzył jej drzwi od strony pasażera i pomógł wsiąść, a następnie zapakował jej torbę do bagażnika. Zdumiał go ciężar, jednak po chwili przypomniał sobie, jak bardzo odmiennie kobiety i mężczyźni postrzegają w przypadku pakowania termin „tylko najpotrzebniejsze rzeczy”. Uśmiechnął się lekko, po czym zamknął bagażnik i wsiadł do samochodu. Ruszyli w całkowitym milczeniu.

VI

Czwartek, jedenasty czerwca 2015

O wpół do drugiej pijackie krzyki za oknem zbudziły Dominikę. Przyzwyczajona do w miarę rzetelnego przestrzegania ciszy nocnej w akademikach, dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że tej nocy śpi przecież w zupełnie innym miejscu. Ponieważ poczuła równocześnie pragnienie, usiadła ospale na łóżku, zarzuciła na siebie szlafrok, dziękując Bogu, że pamiętała, żeby go zabrać ze sobą, i powolnym krokiem poczłapała w stronę kuchni.

Wychodząc z sypialni, którą Wilczek jej usłużnie odstąpił, minęła go leżącego na kanapie w pokoju gościnnym, przykrytego kocem. Rozejrzała się dookoła po „salonie”, jak go na wyrost i z przekorą nazywała: o tej porze, w mroku nocy wyglądał o wiele bardziej przyjaźnie niż kilka godzin temu, gdy tu przyjechali. Domyślała się, że brak kobiecej ręki wpłynie na wygląd małego mieszkańca, pamiętała też, że mniejsze powierzchnie łatwiej zagrabić, ale widok, jaki zastała, przerósł jej najśmielsze wyobrażenia. Ubrania i bielizna walały się po podłodze, w zlewie piętrzyła się sterta brudnych naczyń, na kuchennym stole leżały niedojedzone resztki żywności z poprzednich dni. Słowem: wypisz, wymaluj mieszkanie samotnego mężczyzny. Przeszło jej nawet wtedy przez myśl, że Kevin, będąc sam w domu, narobił mniej bałaganu. Musiała jednak przyznać, że Wilczkowi zrobiło się wstyd, zanim jeszcze wygłosiła jakiegokolwiek uwagi. Namawiając ją do wzięcia relaksującej kąpieli, sam podjął walkę na wszystkich domowych frontach, doprowadzając mieszkanie co najmniej do stanu używalności.

Dominika wpełzła do w miarę czystej już kuchni, nalała sobie szklankę wody z dzbanka filtrującego, po czym wróciła do sypialni. W jej głowie odżyły wspomnienia związane z tym miejscem, w głębi serca czuła też, że musi odbyć z byłym poważną rozmowę na temat przyszłości. Czy wspólnej – to się okaże. Upiła nieco wody ze szklanki, po czym położyła się, próbując ponownie zasnąć.

Punktualnie o szóstej wraz z pierwszym dźwiękiem budzika Jakub przetaił oczy i – próbując dosięgnąć hałaśliwej komórki – spadł z kanapy. Dopiero bliski, acz bolesny kontakt z podłożem uświadomił mu, że tej nocy spał inaczej i gdzie indziej niż zwykle, więc i budzik znajdował się w innym miejscu. Wilczek pozbierał się z podłogi, wyłączył alarm w telefonie i rozpoczął poranne PKP. Po szybkich ćwiczeniach gimnastycznych na rozbudzenie uznał, że przyda mu się poranny prysznic. Chwilę później, już wykąpany, wszedł do kuchni, gdzie czekała na niego Dominika, a wraz z nią kubek gorącej kawy. Takiej, jaką robiła mu kiedyś każdego dnia i jaką nieudolnie próbował w ostatnim czasie samemu zaparzyć.

– Dzień dobry. – Uśmiechnął się do niej przyjaźnie. – Jak się spało? Obudziłem cię prysznicem?

– Nie, nie, wstałam wcześniej, jeszcze zanim narobiłeś hałasu w pokoju. A spało się dobrze, no i przede wszystkim bezpiecznie. Dziękuję, Kuba.

Spojrzał prosto w jej piękne, piwne oczy. Pomijając ostatnią rozmowę na temat zaginięcia Dinary, dawno nie słyszał swojego imienia w tej formie. Prawdę mówiąc, tylko Dominika się tak do niego zwracała, nikt inny. Pamiętał, jak pewnego razu Busza i Chrzan zaczęli na niego mówić „Little Jacob” i dopiero przyparci do muru wyjawili, że to postać z pewnej gry komputerowej, na dodatek mającej raczej więcej wspólnego z łamaniem prawa niż z jego egzekwowaniem. Nie reagował na to zawołanie, więc po jakimś tygodniu koledzy dali sobie spokój, raz po raz nazywając go w zamian Dzejkobem. Generalnie rzecz ujmując – dla pozostałych był po prostu Jakubem, a na formę Kuba odpowiadał z przekorą, że cygar nie lubi. Była jeszcze druga strona medalu – z takim imieniem, pracując tam, gdzie pracował, w pewien sposób „narażał się” na żarty i nazywanie przez współpracowników „Kubą Wojewódzkim wielkopolskiej policji” – z początku się tym chełpił i czuł się nobilitowany, z czasem jednak porównania do tego celebryty zaczęły go już nudzić, wołał w pewnym sensie pozostać „sobą”. Zaczął uparcie obstawać przy swoim pełnym imieniu, aż wszyscy uznali go za Jakuba. Ona jedna mogła bezkarnie mówić zdrobniale, co więcej – właśnie to uczyniła. Celowo czy z przyzwyczajenia?

Usiedli naprzeciwko siebie z parującymi kubkami, a następnie Dominika zaczęła mówić.

Półtorej godziny później, jadąc razem na komendę, nijak nie przypominali sobie z poprzedniego dnia. Wilczek trajkotał o potrzebie wysłuchania zeznań Dominiki – oczywiście spokojnie, bez obaw – by dowiedzieć się jak najwięcej o Dinarze i jej otoczeniu. Wciąż nie poinformował Dominiki o śmierci przyjaciółki. Ona natomiast słuchała w skupieniu, potakując co chwilę głową, a jednocześnie nucąc wraz z wykonawcami radiowe przeboje, jakby chciała udowodnić, że jako jedyna w tym samochodzie stosuje multitasking. Chociaż nie, musiała przyznać, że Kuba przy okazji kierował pojazdem. No, ale przecież to nie to samo...

Zaparkowali przed budynkiem, po czym Wilczek wbiegł spóźniony do środka, Dominika natomiast została w hondzie i w spokoju zaczęła się malować – tak ją pochłonęła poranna rozmowa z Kubą, że zupełnie zapomniała o makijażu. Właśnie dla takich chwil wymyślono lusterko po stronie pasażera – pomyślała, po czym oworzyła zasłonkę przeciwsloneczną.

– No, nareszcie! – krzyknął Busza, widząc wpadającego do salki Jakuba. – Przyszła koza do woza, a Wilczek do...

– Jestem, jestem... – przerwał mu pośpiesznie nadkomisarz, wołając nie poznać dalszego ciągu kolejnego „przezabawnego” tekstu kolegi. – Raz, że korek był, a dwa, że... – zawiesił na chwilę głos, widząc rozbawione miny pozostałych.

– Chyba w szampanie... albo w winiaczu – mruknął Janek i zaczął po cichu nucić refren utworu *Otwieram wino* Sidneya Polaka, tym samym wzbudzając kolejne pokłady śmiechu w towarzystwie.

No tak, z nudów musieli stać przylepieni do okna i wypatrywać hondy. A przy okazji odkryli, że nie przyjechał sam. Jakub uśmiechał się i kontynuował niczym niezrażony.

– A po drugie jest ze mną Dominika, ale tylko i wyłącznie dlatego, że trzeba ją wreszcie przesłuchać pod kątem tej całej Dinary. Obie się znały, mieszkały razem, może Domi rzuci trochę światła na tę część naszej układanki.

– Racja, racja – podchwycił swoim zwyczajem Paproćko. – Widzę, że chłopaki aż się garną do pogawędki – dodał, wskazując na Buszę i Chrzana.

– Może i się garną, ale jeśli to nie problem, wołałbym, żeby rozmowę przeprowadziła Agata. Po pierwsze, też jest kobietą i zapewne lepiej niż my rozumie, kim jest najlepsza przyjaciółka. Po drugie... Dominika jeszcze nie wie o tym, że znaleźliśmy ciało Dinary. I dobrze, gdyby na razie tak pozostało. Nie jest jeszcze gotowa na taką informację i boję się, że mogłaby to bardzo źle znieść. Wystarczy, że już obawia się o swoje bezpieczeństwo i wyprowadziła się z pokoju w akademiku.

Agata skinęła głową i zapewniła, że może się tym zająć bez problemu. Sama niedawno przeżyła trudne chwile i spędziła wiele godzin na rozmowach z policyjnym psychologiem, umiała sobie zatem wyobrazić, co czuje w tej chwili dziewczyna i – tym bardziej – jak mogłaby zareagować na wieść o znalezieniu zwłok i ich drastycznym wyglądzie. Ustalono zatem, że przesłucha Dominikę, a następnie wraz z Izabelą odwiedzi matkę Dinary, tym samym uzyskując o wiele szerszy pogląd na życie denatki. Chwilę później Wilczek przyprowadził dziewczynę do pokoju Agaty, pożegnał się z nią, zostawiając jej klucze do mieszkania i kluczyki do hondy, a następnie zszedł do dyżurnego po dokumenty od służbowej kijanki.

Niecałe pół godziny później nieoznakowany radiowóz zaparkował ponownie w centrum osiedla Przyjaźni, a po chwili funkcjonariusze weszli do siedziby monitoringu. Należało sprawdzić, czy w dniu śmierci Skoczylas – zgodnie z zeznaniem Grubskiego – mijał kolegę w pobliżu przychodni. Szansa na wytropienie tego zdarzenia była spora, bo teren był dość dobrze objęty

monitoringiem. Pozostawało jedynie mieć nadzieję, że obrotowa kamera patrzyła akurat we właściwym kierunku.

– O, są! – wskazał nagle na postaci na ekranie Wojciech. – I chyba nawet wzbudzili panów zainteresowanie.

Faktycznie, na nagraniu widać było tak dokładne zbliżenie obu postaci, że niemal można by odczytać ich rozmowę z ruchu ust, gdyby tylko stali pod nieco innym kątem.

– A-a-a-a, trzeba było mówić od razu, że ten łepok się z Kierasem spotkał – skomentował, jak gdyby nigdy nic, jeden z operatorów.

– Że z kim niby? – Wojciech i Jakub wymienili spojrzenia, obaj równie zdziwieni, co zaintrygowani.

– Ano na tego kurdupła mówimy sobie tak roboczo „Kierownik”, bo to łązi po osiedlu i sprawia wrażenie, jakby wszystkimi dresami rządził. Nie zdziwiłbym się, gdyby z tego powodu był najpilniej strzeżonym człowiekiem na dzielnicy – gdzie się nie pojawi, tam go nagrywamy. Tu kupi młodzieży fajki za parę złotych ekstra, tam wypije piwko, albo i coś konkretniejszego, z kolegami...

– A policji nie wzywacie?

– Pewnie, że wzywamy. Raz przyjadą, sześć razy nie zdążą, ale raczej są na bieżąco z jego dokonaniem.

Wilczek zamyślił się. Skoro facet jest cały czas nieświadomie na cenzurowanym, to może warto sprawdzić, w jakim nastroju gnał na komisariat i jak stamtąd powrócił.

– A wczoraj po południu widzieli go może panowie?

– Ja go widziałem – odezwał się jakiś niepozorny studencik. – Wyszedł z bloku z tą swoją poobijaną laską i o coś się chyba kłócili, ostatecznie on wsiadł w samochód i odjechał, a ona wróciła do domu. Ale nie widziałem, czy i kiedy wrócił, choć można by to sprawdzić.

Podczas gdy Wilczek spisywał do swojego notesu godziny i kamery, które nagrały Grubskiego, oraz numer rejestracyjny pojazdu, jego partner postanowił zainteresować się bliżej aktywnością mężczyzny.

– To sugerujecie, panowie, że generalnie pije i kupuje młodym papierosy? Coś jeszcze miałby według waszych kamer na sumieniu? – Wojciech zdawał się widzieć całe zło tego świata w mężczyźnie, którego jeszcze nie tak dawno znali jako „młodego spod piątki”. Niestety – nie mylił się.

Jeden z operatorów natychmiast zaczął wyliczać: bójki z lokalnymi mętami, natrętne zebractwo w okolicy pawilonów handlowych, jazda pod wpływem alkoholu... Podkrążone oczy partnerki też najpewniej były jego zasługą, choć tego akurat w stu procentach dowieść nie mogli, bo w godzinach nocnych nawet jakoś kamer HD jest, zdaniem operatorów, „hipokrytycznie dupiata”, poza tym nie mogli, ot tak sobie, inwigilować faceta przez całą dobę.

– No cóż... – odezwał się po chwili Jakub. – Na nas już pora, zatem raz jeszcze dziękujemy za pomoc.

Chwilę później szli już w stronę wejścia do bloku. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, Grubskiego należało jak najszybciej zatrzymać i przesłuchać.

– Kurczę, powiem Ci, że żal mi tej dziewczyny – odezwała się Agata, odpalając silnik radiowozu. Izabela spojrzała na nią zaintrygowana.

– Dinary czy tej od Jakuba?

– I jednej, i drugiej, ale myślałam o -Dominice. Spróbuj się wczuć w jej sytuację: rozstajesz się z chłopakiem, mieszkasz razem z najlepszą przyjaciółką i to ona od tej pory stanowi dla ciebie największe oparcie. Wiadomo, są jeszcze rodzice, ale z nimi na wszystkie tematy nie porozmawiasz, a nawet jeśli, to i tak nie rozumieją cię tak dobrze jak rówieśnicy. Pewnego dnia twoja psiapsiółka znika bez śladu – a wiesz, że się nie wyprowadziła, bo wszystkie jej rzeczy zostały w mieszkaniu. I nagle jedyną osobą, której możesz o tym wszystkim powiedzieć, jest twój były...

– A matka naszej denatki? – spytała Iza. – Dominika nie mogła jej poinformować o zagnięciu?

– Mówi ci coś nazwisko Akinfiejwna?

– Y-y-y-y... żona jednego z bramkarzy reprezentacji Rosji w piłce nożnej?

– Nie-e-e... to znaczy nie wiem, być może też, ale mam na myśli akurat Jekaterinę Akinfiejwną. To jedna z bardziej uzdolnionych aktorek w Teatrze Wielkim. I tylko tyle Dominika o niej wie, jak zeznała. Gupio tak podjechać pod operę, poczekać, aż zakończy się występ, a potem zaczepić aktorkę i poinformować prosto z mostu, że jej córka zaginęła. Zgłosić na policję też niełatwo, mając świadomość, że na pewno padnie zarzut, że robi się z igły widły, podczas gdy koleżanka pewnie zabalowała.

– Mówiłaś jej, że znaleźliśmy ciało koleżanki w dość... ekstremalnym stanie?

– Nie, zgodnie z prośbą Jakuba oszczędziłam jej chwilowo cierpienia. Zresztą, nawet bez jego sugestii bym tak postąpiła. Niemal na sto procent załamię ją taka wiadomość.

– Okej, to o czym jeszcze mówiliście? – drążyła dalej rzeczniczka. – Czy ja naprawdę muszę wszystko z ciebie wołami wyciągać?

– Dominika twierdzi, że Dinara w ciągu ostatnich tygodni wyglądała na nieco przybitą, ale – jej zdaniem – nie miało to nic wspólnego ze studiami, bo oceny miała rewelacyjne. Wszelkie pytania o samopoczucie zbywała, mówiąc, że jest po prostu zmęczona i nie może się doczekać końca sesji.

– Miała myśli samobójcze?

– Nie mam pojęcia. Dominika niczego na ten temat nie mówiła, a biorąc pod uwagę, w jakim stanie znaleźliśmy denatkę, nawet o to nie pytałam. Nie znam nikogo, kto mógłby sam się w taki sposób okaleczyć.

– Hmm, to niewiele wiemy na temat naszej „orlicy” – podsumowała Iza. – Miejmy nadzieję, że jej matka wniesie choć odrobinę światła do naszej sprawy...

– Nie odbiera domofonu, łajza jedna – skomentował Wojciech, stojąc beczynnym przed drzwiami wejściowymi. Spojrzał na zegarek – dochodził kwadrans po dziewiątej.

– Czekaj, zaraz to załatwię – powiedział Jakub i wybrał losowo numer mieszkania na domofonie. Słyszając całkowicie pozbawione entuzjazmu: „Halo”, wypowiedział w zamian magiczną formułę: – Dzień dobry, ulotki, proszę otworzyć. Ku dziwieniu Góta, parę sekund później mogli już bez problemu wejść do środka niczym Alibaba do Sezamu po podaniu hasła.

We wnętrzu mieszkania Grubskiego panowała kompletna cisza. Żadnej szatańskiej muzyki, żadnego mordowania królików na czerninę. To nie wróżyło zbyt dobrze... Funkcjonariusze parokrotnie zadzwonili do drzwi, ale jedynym osiągniętym przez nich efektem było wściubienie się sąsiadki, która dożyła już tego wieku, że zaczęła mylić swój dzwonek z należącym do sąsiada.

– Po co tak ktoś dzwoni, przecież słyszy człowiek i człapie wolno przez mieszkanie – skomentowała, niezadowolona, otwierając drzwi i nie zastając przed nimi nikogo. Dopiero wychylając się nieco mocniej za framugę drzwi, dostrzegła dwóch mundurowych stojących przed mieszkaniem numer pięć. – To panowie do mnie tak natrętnie dzwoniли? – spytała, przybierając przy tym groźną minę.

– Nie-e-e, my cały czas tylko do sąsiada. Nie wie może pani, gdzie go znajdziemy?

– Ach, Edzinek... – westchnęła kobiecina. – Wiecie, panowie, z pół godziny temu mu się gdzieś chyba spieszyło.

– To znaczy? Skąd pani o tym wie? – drażył dalej Jakub.

– Wychodziłam na ósmą na mszę, wiecie, panowie, chciałam iść razem ze Stasią Nowicką, ona mieszka trzy piętra wyżej i, zdaje się, mówiła mi, że z nią policja rozmawiała i ona im placka nakrajała. A ja nie mam placka, wiecie, panowie, o Jezusicku i Matko Przenajświętsza, i jak ja teraz mogę z panami tak bez placka rozmawiać... – kobieta autentycznie zaczęła się załamywać.

– Niech się pani nie przejmuj – próbował pocieszyć ją Wojciech. – Lepiej niech nam pani powie, co z tym spieszącym się sąsiadem.

– Ano, rano zakluczyłam mieszkanie i powoli po Stasię chciałam iść, bo my tak razem pod rękę, wiecie, panowie, przechodzimy przez Słowiańską na

wysokości Warzywnej. Tam te schody, co prowadzą do liceum, teraz są nowe i równe, ale wiecie, panowie, one jeszcze niedawno były tak nierówne, że my we dwie pod górkę miałyśmy czasem problem, żeby wejść, a jak jeszcze było błoto albo wiało, to wiecie, panowie...

– Co z Edzinkiem?! – niemal ryknięciem przerwał jej wyraźnie poirytowany Wilczek.

– Panie władzo, ja panu nie przerywałam, ja nie wiem, kto pana tak źle wychował – obruszyła się kobieta. – Ale skoro pan tak nalega, to wiecie, panowie, po mszy tą samiusieńką drogą wracałyśmy, weszłam już do bloku i szłam sobie wolnym krokiem korytarzem w kierunku windy, a on nagle z mieszkania wyskoczył z walizkami w tak ekspresowym tempie, że na mnie wpadł. Do teraz mnie boli lewe ramię, wiecie, panowie, o tutaj – to rzekłszy, pokazała dłonią dokuczającą jej część ramienia. – Muszę iść na dwunastą do pani doktorowej. Przy okazji niech mi zmierzy ciśnienie, bo wiecie, panowie, w moim wieku nie ma żartów, trzeba o siebie dbać...

W miarę cierpliwie wysłuchali jeszcze przez chwilę anegdoty o cudownej doktorowej, do której – „wiecie, panowie” – zawsze są spore kolejki, po czym wymówili się pilnymi sprawami. Chwilę później stali ponownie przed blokiem.

– Nawet tej babki nie komentuj, bo jeszcze chwila i mi wszystkie nerwy puszczą... – burknął Jakub.

– Jasne, jasne, pomyślałem tylko, że skoro tak mu się z torbami spieszyło, to warto przy okazji na monitoringu sprawdzić, czy pakował się do własnego auta czy do taksówki i spisać ewentualne numery rejestracyjne.

Wilczek skinął głową. Że też sam na to nie wpadł... Przyspieszyli kroku i, ku zdziwieniu operatorów monitoringu, znów zjawili się w ich przybytku.

Janek z Czarkiem po godzinie wpatrywania się w nagrania z kamer mieli już dosyć. Wprawdzie archiwalny obraz można było swobodnie przyspieszyć, nawet kilkukrotnie, istniało jednak ryzyko, że nie dostrzegą jakiegoś szczegółu, a to wpłynie na całe śledztwo. Zapowiadała się najgorętsza sprawa od paru lat, zatem zarówno oni, jak i cała reszta zespołu, działali na pełnych obrotach, starając się nie popełnić żadnego błędu. Obu funkcjonariuszom nie pozostawało zatem nic innego, jak dalej męczyć wzrok i oglądać nagrania z miejskiego monitoringu.

Jak na razie jedyny efekt, który osiągnęli, to potwierdzenie trasy spaceru Eugeniusza Chorwata – mężczyzna z jamnikiem został parokrotnie zarejestrowany na oglądanym obecnie nagraniu. Nigdzie jednak nie widzieli Skoczylasa. Odsiedzieli swoje do momentu, aż emeryt zniknął z obszaru objętego zasięgiem kamer, podziękowali operatorowi za, jakże nieocenioną, pomoc, po czym pospiesznie wyszli na zewnątrz. Czekало ich kolejne, równie żmudne zadanie –

wytropienie jak największej liczby kamer przemysłowych w okolicy miejsca zdarzenia i zabezpieczenie materiałów wideo. Zapowiadał się długi, ciężki dzień...

– Mamy Kierownika – odezwał się mężczyzna, wskazując palcem na nagranie.

Wilczek i Gót przybliżyli się do ekranu: wprowadzie kamera wędrowała po z góry ustalonej trasie, ale udało się uchwycić Grubskiego wychodzącego z bloku z walizkami i kierującego się na parking.

– Damy radę ustalić numer rejestracyjny pojazdu, którym odjechał? – spytał, nieco powątpiewając, Wojciech.

– Są chyba ze trzy możliwości, w którą stronę odjedzie. Obstawiałbym tę kamerę. – Operator wskazał kursorem myszki inny widok, po czym wszedł w archiwum wybranego przez siebie rejestratora.

Nie mylił się – kamera znajdująca się na wylocie z osiedla nie tylko uwieczniła Grubskiego za kierownicą białego seata ibiza, ale też w dość czytelny sposób nagrała blachy pojazdu. Mieli to, czego szukali. Pozostało oszukać przeznaczenie i złapać podejrzanego, nim ten ucieknie. Jakub wyjął telefon i czym prędzej zadzwonił na komendę.

Busza i Chrzan weszli do dyżurki, chcąc zaledwie poinformować dyżurnego Muszyniaka o tym, że będą kręcić się po rejonie i może wezmą służbowe auto, a w razie potrzeby byłiby do dyspozycji. Okazało się jednak, że potrzeba przyszła szybciej, niż się spodziewali.

Muszyniak jedną ręką pilnie coś notował, przytrzymując słuchawkę telefonu ramieniem, drugą ręką natomiast zaczął energicznie machać w kierunku wchodzących właśnie funkcjonariuszy. Oczekali, aż zakończy rozmowę, po czym spojrzeli wymownie na notatki, oczekując wyjaśnień. Dyżurny tymczasem zaczął przez stację nadawać komunikat Omega za jakimś samochodem.

– Coś się stało? – spytał Janek, gdy nadawanie zostało zakończone.

– Dzwonił Wilczek. Wasz główny podejrzanym wyparował. Rano spakował manatki i odjechał wyczytywanym przeze mnie pojazdem.

– Kurwa, wiedzałem! – zdenerwował się Czarek. – Wszyscy psioczą, że śledztwo idzie jak krew z nosa i gorzej już być nie może, a ja cały czas czułem, że coś jeszcze się musi zjebać, bo za długo jest spokojnie...

– Coś mi nie pasuje – mruknął Chrzan. – No, bo patrzcie, gość czuje, że staje się głównym podejrzanym. Walić to, czy słusznie czy zupełnie przypadkowo. Postanawia się ulotnić – co też jak najbardziej rozumiem, ale... co za debil uciekałby własnym samochodem? Przecież to jak samobójstwo!

– Sądząc po tym, co Jakub z Wojciechem gadali o tej czerninie, to nic mnie w tym facecie chyba nie zaskoczy.

– A może... – podjął temat Muszyniak – gość jest bardziej cwany, niż sądzimy. My będziemy szukać samochodu, a on go gdzieś zabunkruje. Gdybyś chciał pozbyć się samochodu, żeby opóźnić poszukiwania, to gdzie byś go zostawił?

– W kobiecej torebce – zażartował Busza. – A tak na poważnie, to porzuciłbym go na jakimś wygnajewie, gdzie psy dupami szczekają, a jak zdechną, to obroza jeszcze trzy dni szczeka za nie.

– No to powiem ci, że wpadłbyś dość szybko, chyba że próbowałbyś tam zamelinować ursusa – zaoponował Chrzan. – Na zadupiu samochód zwraca uwagę. Ja bym prędzej go zostawił w tłumie, na jakimś...

– ...parkingu – dokończył Busza, po czym zaświeciły mu się oczy. – Chyba wiem, gdzie gościa szukać. Mógł wybrać najlepszą opcję z możliwych: zostawić auto na terenie galerii handlowej, a stamtąd się ulotnić czymś innym. Ponieważ nie mógł zaplanować ucieczki na kilka dni naprzód, musiał improwizować, a tylko jeden obiekt daje idealne ku temu warunki – galeria Poznań City Center obok dworca kolejowego.

Muszyniak chciał coś jeszcze dodać, ale funkcjonariusze odwrócili się na pięcie i pognali do samochodu. Wzruszył ramionami, wysłał za Buszą i Chrzanem dwa dodatkowe patrole i wybrał telefon Wilczka, informując go o teorii, którą przed chwilą wykreowali.

Paręnaście minut później trzy nieoznakowane radiowozy krążyły w okolicy dworca: jeden wzdłuż ulicy Dworcowej, pozostałe dwa po parkingu galerii handlowej.

– Tej, a ty wiesz, czemu takie wielkie markety nazywa się szumnie galeriami? – spytał nagle Czarek.

– Nie wiem, dajesz. – Jego partner pokręcił głową. Wprawdzie miał jakąś teorię na ten temat, ale lubił słuchać nietuzinkowych wymysłów kolegi.

– Bo to prawie jak galeria sztuk pięknych. Wszyscy przyłóżą pooglądać albo „się pokazać” – zamarkował palcami cudzysłów – na przykład przy starbuniu, a kupują naprawdę nieliczni, których stać na takie burżujstwo. Reszta zaopatruje się gdzieś indziej.

Ta teoria miała sens. Janek zamyślił się tak, że o mało co, a przegapiłby skręt w lewo i wtarabaniłby się radiowozem w jakiś pojazd. Wyhamował z impetem i spojrzął na zaparkowane przed nimi auto, które cudem uniknęło miłosnego trójkątka z kiał cee'd z jednej strony i betonową ścianą z drugiej. Delikatnie szturchnął Czarka i wskazał palcem do przodu. Wzrok go nie mylił: przed nimi stał

biały seat ibiza, należący do Grubskiego. Pusty.

Po telefonie od Muszyniaka Jakub z Wojciechem wrócili na komendę. Wprawdzie Wilczek chciał jechać na dworzec, jednak Gót był zdania, że będzie z nich więcej pożytku, jeśli spokojnie usiądą i zastanowią się, co dalej. No, a przy okazji dadzą się chłopakom wykazać.

Siedzieli właśnie u oficera dyżurnego, gdy przez radio zaczął dobijać się zdenerwowany Czarek, informując o znalezisku i fakcie, że Grubski równie dobrze może już być w pociągu jadącym do Rzeszowa, Świnoujścia lub Białegostoku – byle jak najdalej stąd.

– Za cwany jest, by uciekać – odezwał się nagle Wojciech. – Idę o zakład, że gość kręci się teraz po mieście albo siedzi gdzieś na dworcu i podśmiechuje z naszych obłąkanych działań. Wysłałbyś tym patrolom jego zdjęcie? Niech ryją po peronach, kawiarniach i gdzie się tylko da, a my tymczasem poszukamy go, nie ruszając się z budynku.

Pozostali spojrzeli na Góta ze zdziwieniem. Policjant, nie zważając na reakcje kolegów, wyjął z kieszeni świstek papieru, położył go na blacie, przykrywając dłońmi, po czym – odsłaniając powoli swojego asa z rękawa – zapytał:

– Okej. Gdzie tu u was można namierzyć telefon komórkowy?

Przed nimi na stole leżała wizytówka firmy ogrodniczej. Ta sama, którą Wojciech brał rzekomo dla swojej siostry. Ta sama, wraz z którą niczego nieświadomy Edward Grubski przekazał policji nie tylko swoje odciski palców, ale i numer telefonu.

Po raz kolejny Wilczek doszedł do wniosku, że nie doceniają w pełni warszawskiego kolegi.

– Jeśli w dzisiejszych czasach każda matka wie tak niewiele o własnej córce, to ja się dziwię, że nasza cywilizacja jeszcze istnieje... – Izabela nie kryła rozczarowania rozmową z teatralną aktorką.

Cóż, prawdę mówiąc, „rozmowa” była raczej monologiem: Jekaterina Akinfiejewna sprawiała wrażenie nieobecnej. Nie tylko tu i teraz, ale także w życiu swojej córki. Ot, jest dorosła, umie decydować sama o sobie, nic mi do tego. Nie, nie widzimy się codziennie. Nie pamiętam, kiedy się ostatnio widziałyśmy. Nie wiem, nie pamiętam, nie mam pojęcia. Jedyne sensowny fragment słowotoku, którym uraczyła obie funkcjonariuszki, zawierał w informację, że Dinara napisała we wtorkowe popołudnie esemesa do matki. Zawierał trzy słowa: „Kocham i przepraszam”.

Akinfiejewna twierdziła, że kilka tygodni wcześniej posprzeczała się poważnie z córką na temat jej ścieżki zawodowej. Matka uważała, że Dinara powinna pójść w jej ślady, bo taka jest rodzinna tradycja – co pokolenie ktoś trafiał na deski teatru, a że Jekaterina ma tylko jedno dziecko, to właściwie córka nie ma wyboru. Młoda dama miała jednak swoje zdanie na ten temat, konsensus był niemożliwy do osiągnięcia, nastąpił zatem kolejne ciche dni w rodzinie.

Zdaniem matki esemes od córki miał oznaczać kapitulację i przyznanie racji rodzicielce. Przekonana o tym fakcie, zaczęła nawet dyskretnie dopytywać o angaż dla Dinary w nowym spektaklu. Obie policjantki miały jednak inne zdanie na ten temat. Teraz, jadąc już w radiowozie, Izabela wypowiedziała na głos to, co dręczyło ją, odkąd Jekaterina Akinfiejewna przeczytała na głos wiadomość od córki.

– Nie sądzisz, że to brzmi jak najkrótszy na świecie list pożegnalny, napisany przed popełnieniem samobójstwa?

– Trochę tak, ale... sama wiesz, jak ona wyglądała. Nie wiem, jakim cudem mogłaby to zrobić sobie sama.

– Fakt... – przyznała Iza, przywołując na twarz grymas bólu. – Może ktoś jej pomógł? Może jakaś ruska mafia ją szantażowała w związku ze starą, aż w końcu uznali, że nic z niej nie wycisną, i pozbyli się niewygodnego świadka, pozwalając na ostatni w życiu esemes?

– Zalatuje serialem, choć trzeba wziąć to pod uwagę. Ale w takim razie, tak czy owak, wracamy do punktu wyjścia... – Agata zwiesiła głos.

– To znaczy?

– Mamy do czynienia z brutalnym morderstwem na studentce. Pamiętajmy, że ktoś nas powiadomił, gdzie znajdziemy zwłoki, a samobójcy raczej nie mają tego w zwyczaju. Rodzinę czy przyjaciół nieraz zdawkowo powiadomią, ale policję? Nie znam takich...

Kwadrans po dwunastej dwa upchane po brzegi policyjne mercedesy sprinter zajęły pod Collegium Maius przy ulicy Fredry. Poszukiwania na terenie dworca nie przyniosły żadnych rezultatów, natomiast budynek Wydziału Filologii Polskiej i Klasycznej Uniwersytetu imienia Adama Mickiewicza był najbliższym miejscem, gdzie od dłuższego czasu logował się telefon Grubskiego.

Fakt, że mężczyzna może przebywać wewnątrz, zmieszany z tłumem studentów, znacznie utrudniał podjęcie jakichkolwiek działań operacyjnych. Wprawdzie rektor uczelni oraz dziekan wydziału mieszczącego się w budynku zostali poinformowani o zaistniałej sytuacji, mimo to należało jednak zachować szczególną ostrożność.

Do gromadzących się przed budynkiem funkcjonariuszy podjechały dwie

ciemne kie. Po chwili Jakub z Wojciechem zaczęli tłumaczyć pozostałym policjantom szczegóły dotyczące Grubskiego, Janek z Czarkiem natomiast rozdali wszystkim aktualne zdjęcie mężczyzny, będące fotografią zapisu z monitoringu osiedlowego. Paręnaście minut później weszli zwartą grupą do środka, po czym rozdzielili się na dwuosobowe zespoły i rozpiechli po poszczególnych piętrach uniwersytetu. Wilczek z partnerem zostali przy drzwiach wejściowych, aby utrudnić ewentualną ucieczkę poszukiwanego, a zarazem kontrolując, kto wchodzi i wychodzi...

Efekt był do przewidzenia: część studentów zaczęła robić sobie z funkcjonariuszami selfie i wrzucać na Facebooka, ktoś życzliwy zawiadomił media i po chwili kilku dziennikarzy zaczęło dobijać się do drzwi. Jakub zbył ich, wiedział jednak, że Izabela najpewniej nie będzie zachwycona tym, że zwali jej się na głowę stado zdiczałych, głodnych sensacji facetów.

Po półgodzinie zrewidowali każdą salę wykładową, każdy korytarz, łazienkę, magazyn – po Grubskim nie było śladu. Wywołany przez radio Muszyniak zapewniał jednak, że telefon cały czas loguje się z tego samego miejsca, więc powinni szukać dokładniej. Zaproponował, by zaczęli z jakiejś zastrzeżonej komórki dzwonić na numer delikwenta, to w końcu go namierzą.

Zebrali wszystkich studentów i wykładowców na korytarzu. Jeden z funkcjonariuszy wykręcił numer wskazany przez Wojciecha na wizytówce. Cisza. Chociaż... Czarek odniósł wrażenie, że słyszał jakiś kretyński dzwonek. Usłyszałby lepiej, gdyby te tępe lampucery koło niego nie szeptały podniecone o nowych tipsach. Spostrzegł po chwili, że w drugim kącie grupka młodzików się z kolei podśmiechuje, najprawdopodobniej z całej sytuacji. Trzeba ustawić to rozwydrzone towarzystwo.

– Morda w kubek albo mandaty zacznę wlepiac za utrudnianie śledztwa! – ryknął, wywołując tym samym wymarzoną ciszę.

Skinął głową na policjanta z telefonem, ten zaś raz jeszcze wykonał połączenie. Tym razem wszyscy usłyszeli – cichy, ale dający się usłyszeć dźwięk dobiegał z za drzwi z numerem 121.

Czarek szturchnął Janka i wraz z kilkoma innymi funkcjonariuszami podeszli pod salę. Na znak Janek otworzył je na całą szerokość, a jego partner – celując przed siebie z naładowanego, odbezpieczonego glocka siedemnastki – wszedł do środka.

Agata z Izabelą zbliżały się do ulicy Kochanowskiego. Podczas gdy komisarz Jakuszyk sprawnie manewrowała radiowozem, by wjechać na policyjny parking, rzeczniczka – zdając się na instynkt – wyjęła z torebki telefon i spojrzała na wyświetlacz. Tak jak się spodziewała – coś się musiało wydarzyć: pytanie tylko

co, gdzie i dlaczego.

Rozpoczynając przesłuchanie Jekateriny Akinfiejewnej, profilaktycznie wyciszyła telefon. Trudno było jej teraz jednoznacznie orzec, czy to była właściwa decyzja, niemniej faktem pozostawało trzydzieści pięć nieodebranych połączeń. Przez moment łudziła się, że wszystkie pochodzą od jednego upierdliwca, jednak prawda była taka, że o audiencję ubiegali się dziennikarze chyba wszystkich poznańskich dzienników i lokalnych internetowych serwisów informacyjnych. A to już oznaczało, że niechybnie czekają ją albo kolejne telefony od tej zgrai hien, albo zwołanie w trymiga konferencji prasowej, na której opowie, że nic nie wie, bo właśnie urządziła sobie pogawędkę z pewną doświadczoną przez los kobietą z kulturalnych kręgów.

Funkcjonariuszki weszły na komendę. Mijając dyżurkę, Agata spojrzała na siedzącego za szybą Staszka Muszyniaka. Siedział przy telefonie tak skupiony, jakby po drugiej stronie słuchawki był sam Donald Trump. Szturchnęła lekko łokciem Izę, wskazując głową na zapracowanego kolegę. Ta w odpowiedzi wyjęła z kieszeni telefon i już miała coś powiedzieć, kiedy zza rogu wychylił się naczelnik Paproćko i wezwał je do siebie gestem nagłym i nieznoszącym sprzeciwu.

– Co się takiego dzieje, że mi wszystkie możliwe pismaki żyć nie dają? – zapytała wprost Izabela, gdy tylko przekroczyły drzwi gabinetu.

Naczelnik bez słowa wskazał ręką na telewizor. Jakiś reporter relacjonował właśnie na żywo z ulicy Fredry, tuż sprzed uczelnianego gmachu, obok którego stało kilka radiowozów. Sugestywny napis na czerwonym tle, przemieszczający się na pasku kanału informacyjnego brzmiał złowieszczo: „Morderca kibica osaczony w Collegium *Maium* Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza”.

– Maius... – rzeczniczka poprawiła odruchowo czyjś błąd, po czym spojrzała na przełożonego. – Nie wiedziałam, że znaleźliśmy już sprawcę. Albo że postawiliśmy temu młodemu jakieś zarzuty, co i tak nie zmienia faktu, że obowiązuje nas – i wszystkich innych – domniemanie niewinności tego gościa.

– Na miejscu są nasi, zachodzi podejrzenie, że on też może tam być, bo jego telefon się stamtąd loguje.

– Zabił, uciekł i poszedł na wykłady? – zdziwiła się Agata. – Są jakieś Nagrody Darwina dla kryminalistów? – dodała, nie kryjąc kpiny w głosie.

Rozważania przerwał im wchodzący bez pukania Muszyniak.

– Rozmawiałem właśnie z Buszą. Mam dwie wiadomości, dobrą i złą.

– To znaczy? – wypaliła Agata, zapominając na moment, że to raczej naczelnik powinien zadać to pytanie.

– Dobra jest taka, że znaleźli telefon. Zła – że bez właściciela. Aparat leżał w koszu na śmieci w jednej z sal wykładowych, wsadzony w paczkę po chusteczkach higienicznych. Wprawdzie mamy raczej stuprocentową pewność, że Grubski chciał się po prostu pozbyć komóry, ale mimo wszystko na miejsce

wysłałem speców od ewentualnych ładunków wybuchowych...

Iza chwyciła się za głowę. Bomba na uczelni, podłożona przez grasującego po mieście mordercę kibiców Legii? Zakrawało to na scenariusz filmu grozy klasy co najwyżej C, ale dla dziennikarskich hien było wodą na młyn.

– Wie naczelnik, co to oznacza? – spytała.

– Niestety, trzeba zwołać jak najszybciej konferencję prasową.

– Tak, i to najlepiej wspólnie z uczelnią, która teraz przez nas niejako... – przerwała, bo zawibrował jej trzymany w ręce telefon. Spojrzała na wyświetlacz. – O, oto i sama uczelnia do mnie wydzwania w osobie przemiłej koleżanki rzeczniczki.

Nie czekając na jakąkolwiek reakcję ze strony pozostałych stróżów prawa, odebrała połączenie.

Podczas gdy Czarek z Jankiem obstawiali drzwi do nieszczęsnej sali numer 121, pozostali funkcjonariusze sprawnie zarządzali akcją ewakuacji budynku, nie dopuszczając zarazem do wtargnięcia dziennikarzy oraz wypatrując w eksmitowanej rzeszy mężczyzny, który choćby w minimalnym stopniu pasowałby do rysopisu Edwarda Grubskiego. Za namową Jakuba obecny w gmachu dziekan wydziału odwołał wszystkie przewidziane na ten dzień zajęcia. Teraz, razem z Wilczkiem i Gótem, zachodził w głowę, jakim cudem telefon znalazł się wewnątrz sali, w której – jak zarzekał się – nie przeprowadzano obecnie żadnych zajęć z powodu wybitej szyby. Ot, jacyś idioci tydzień temu obrzucili w nocy budynek kamieniami, cegłami i czym jeszcze popadło. Uczelnia już dawno wymieniłaby okna na nowe, gdyby nie fakt, że obowiązuje ją ustawa o zamówieniach publicznych i trzeba było rozpisać konkurs na wymianę okien, bo gwarancja na nie u firmy montującej już dawno się przedawniła.

– Wchodził tam jakiś wykładowca mimo wprowadzonych w planie zmian? – dziekan w obecności funkcjonariuszy postanowił dopytać o szczegóły zajścia portiera – jedyną osobę na całym wydziale, dysponującą kluczami.

– Nikt, poza tym przysłanym przez pana dziekana magistrantem – odparł najzupełniej spokojnie mężczyzna, jakby nie robiło na nim wrażenia to, że znalazł się właśnie w samym sercu ogromnej afery.

– Którym magistrantem? – zdębiał profesor. – Nie przypominam sobie, żebym kogoś tu wysyłał.

– No, przedstawił się jako pana magistrant i mówił, że to sam pan dziekan go wysyła, tylko żeby zabrać z tej sali kilka dokumentów z szafki przy biurku.

– Wpuścił go pan?!

– No tak, ale nie samego, rzecz jasna. Nie będzie się gówniarzeria po budynku mi panoszyć. Poszedłem z nim, wziął jakieś papiery z biurka, a potem

wydmuchał nos i...

– ...i wrzucił do kosza zużytą paczkę po chusteczkach, a w niej telefon? – przerwał mu całkiem spokojnym tonem Gót.

– Tak. To znaczy nie... – mężczyzna zamilkł, przeczuwając, że chyba pokpił sprawę.

– No pięknie, panie Kowalski, no pięknie... – Dziekan wydawał się wyraźnie strapiony. Widać uwierzył, że poczciwy woźny miał dobre zamiary i chęci, tylko skutki jak zwykle okazały się co najmniej fatalne.

– Jak on wyglądał? – spytał Wilczek, wracając pseudoprzesłuchaniem na właściwe tory.

– Taki niski, sądząc po twarzy, nigdy bym nie powiedział, że będzie z niego kiedyś jakiś uczony. No, ale dzisiaj mało kto z nich by się w ogóle z wyglądu na kogokolwiek nadawał – spodnie albo takie, jakby w nie narobili, albo takie, że jaja ściśnięte jak w imadle, a do tego w uszach dziury wielkości nakładek do śrubek. O *temperatura*, o *mores*! – podniósł ręce ku niebu, nieświadom najwyraźniej, jak komicznie to wygląda w połączeniu z przekręconą łacińską sentencją.

– Niech się pan skupi – zbeształ go lekko Jakub. – Czy ten koleś wyglądał mniej więcej tak?

Wilczek położył na stoliku swój smartfon. Na wyświetlaczu ukazała się znana już chyba wszystkim poznańskim policjantom fotografia Grubskiego, wykonana w siedzibie osiedlowego monitoringu.

Dozorca założył swoje okulary w grubych oprawkach, pamiętających chyba jeszcze czasy „kolejek za czymkolwiek”, po czym spojrział na telefon.

– Wiecie, panowie, co... – zaczął niepewnie. – Bardziej wyglądał na jego brata bliźniaka.

– On nie ma brata – zaoponował Wojciech. – Chyba. To zdjęcie sprzed paru dni. Niech mu się pan porządnie przyjrzy.

– Z twarzy to stuprocentowo on, ale, kurde, nie pasuje mi to, że na tym waszym zdjęciu ma strasznie rozczochrane włosy, a ten magistrant od teczki miał bardzo krótkiego języka, jakby go do wojska przyjęli, a potem za ten głupkowaty ryj wyrzucili.

– Zgolił włosy, skurwysyn...

Jakuba wyraźnie zaczęło ponosić. Chciał ze zdenerwowania uderzyć z impetem dłonią o blat biurka, ale powstrzymał go Wojciech, chwytając Wilczka za rękę, a następnie zadając pytanie, które powoli stawało się zmorą wszystkich śledczych w tej sprawie:

– Macie tu może monitoring?

Naczelnik Jacek Paproćko spojrział na zegarek. Siedemnasta. Dokładnie od

godziny trwa konferencja prasowa, na której komendant oraz rzeczniczka dwoją się i troją, by odpowiedzieć na wszystkie pytania nurtujące obecnych w sali dziennikarzy. Lada moment powinni skończyć i przybyć tutaj, na odprawę.

Rozejrzał się po twarzach funkcjonariuszy – ich miny dobitnie świadczyły o tym, jak postrzegają dotychczasowe efekty swoich działań: smutni, podminowani, niemal pełni rezygnacji. Nie dziwił im się, sam najchętniej rzuciłby tę robotę w diabły, ale trzeba było doprowadzić sprawę do końca, choćby po to, by złapać mordercę, nim być może zaatakuje ponownie. Rodziny ofiar też z reguły łatwiej godzą się ze stratą, mając świadomość, że ktoś odpowie za wyrządzone zło.

Kiedy po półgodzinie Izabela z komendantem wkroczyli do sali, przywitała ich niemal pogrzebowa atmosfera. Wszyscy zwiesili nosy na kwintę, nikt się do nikogo nie odzywał i tylko jedna Agata zapytała, jak poszło na konferencji prasowej.

– Jak zwykle, dziesiątki durnych pytań, a dziennikarze niemal licytują się, kto zada głupsze. Jedyne, co trzeba przyznać – dodała rzeczniczka z wyraźną przekorą w głosie – to, że nikt nam nie zarzuci, iż policja się obija. Jasne, pomarudzili o ten, jak to ujęli, „alarm bombowy” na uniwerku, ale generalnie daliśmy radę.

Spojrzała na komendanta, ten skinął głową. Spojrzał na zebranych, po czym podjął temat:

– No, moi mili państwo, nie ma zatem co siedzieć jak – nie przymierzając – smutny pies pod budą na łańcuchu, tylko lepiej zastanowić się, co jest do roboty. Co się stało, to się nie odstanie. Proponuję natomiast sięść na tyłkach i zdecydować, jakie sensowne... – swoją intonacją podkreślił to słowo tak, by wszyscy zrozumieli, jak media postrzegają ich wizytę na uniwersytecie, po czym zastosował sugestywną pauzę i kontynuował – ...działania zamierzamy podjąć dalej. Zwłaszcza, że tropów jest kilka, a niektóre z nich, jak samobójstwo tej dziewczynki, wydają się irracjonalne.

Narada, czy raczej szaleńcza burza mózgow całego zespołu, zakończyła się niemal punktualnie o wpół do ósmej wieczorem. Jakub, pozbawiony samochodu, w czym zorientował się pozostawiony samemu sobie na parkingu policyjnym, chcąc nie chcąc, musiał udać się do domu tramwajem, a następnie pieszo. Mógł wprawdzie poprosić kolegów po fachu o podwózkę radiowozem, ale wolał nie informować połowy osiedla o swoim zawodzie. Wystarczyło, że potrafił sobie wyobrazić tabuny sąsiadek trujących mu tyłek o każdą możliwą sprawę, zgłaszających wybryki okolicznej gimnazji i denuncjujących połowę skrytych parkowych alkoholików – nie musiał tego doświadczać na żywo. Zresztą, od tego typu pierdół był dzielnicowy, a Jakub, pracując w Komendzie Wojewódzkiej, czuł

się stworzony do wyższych celów.

Czekając na przystanku na jeden z dwóch pasujących mu tramwajów, Wilczek zdał sobie sprawę, że ani razu w ciągu dnia nie napisał ani nie zadzwonił do Dominiki. Okej, był zajęty, trafiła mu się najgorętsza sprawa ostatnich lat, więc trudno się dziwić, że nie ma kiedy myśleć o życiu prywatnym. Ale – w takim razie – dlaczego Dominika nie napisała? Wyjął z kieszeni telefon i spojrzął na wyświetlacz. No tak, cholerny złom znowu odmówił posłuszeństwa. Dawniej trzeba było się postarać i różnymi sposobami – choćby głupkowskim Snake’iem – celowo szybciej rozładować telefon, zanim się go podpięło na noc do ładowarki, by „baterii nie zepsuć”, a dziś trzeba było niemal stawać na głowie, żeby zaledwie dobę mógł działać bez potrzeby dodatkowego zasilania. No cóż, wymagamy od urządzeń więcej, niż są nam w stanie zaoferować, to i szybciej kończą swój żywot. Szkoda tylko, że od siebie nie potrafimy więcej wymagać...

Z rozważań wyrwał Wilczka nagły ruch wokół niego – w ostatniej chwili wbiegł do tramwaju. Kolejne parę sekund rozmyślań kosztowałyby go dodatkowe minuty stania i czekania na następną limuzynę z logo MPK. Jakub usiadł na jednym z wolnych krzeseł. Zabawa telefonem nie wchodziła w rachubę, książki – zupełnie przypadkiem, oczywiście! – też ze sobą nie zabrał, tymczasem perspektywa kilkunastominutowej podróży, choćby bez muzyki, okazała się dokuczać mu bardziej, niż by kiedykolwiek przypuszczał. Z braku lepszego zajęcia zaczął dyskretnie lustrować innych pasażerów: większość z nich wpatrywała się w ekrany swoich smartfonów lub tabletów jak zahipnotyzowana. Wilczek zerknął delikatnie przez ramię siedzącej przed nim dziewczyny. No tak, Facebook, czego innego mógłby się spodziewać – sam nachętniej zająłbym się teraz z nudów kulaniem walla i lajkowaniem połowy postów swoich znajomych, by oderwać myśli od zbrodniczej codzienności. Zaintrygowany, zaczął się rozglądać za tymi spośród pasażerów, którzy znaleźli inne zajęcie na czas podróży. Jakiś student namiętnie wertował stos kserówek, dwie starsze kobieciny dość donośnymi i skrzekliwymi już nieco głosami obgadywały jakąś Kryskę, która „odkąd pojawiła się w klubie, to chce wszystkim przewodzić, a biedny Stefan nie umie się przed nią obronić”...

Przystanek dalej Wilczek ochoczo ustąpił miejsca matce z dzieckiem, korzystając zarazem z okazji, by na stojąco przeświecić ludzi, których do tej pory miał za swoimi plecami. Jego wzrok przykuły dwie postaci – ojciec i syn, jak mniemał. Siedzieli koło siebie, obaj pochłonięci lekturą książek. Mężczyzna dzierżył w dłoni jakieś opasłe tomiszczce – o ile Jakub dobrze dostrzegł tytuł, było to coś o głosach z Panamy. Natomiast zaledwie rzut oka na książkę chłopca wystarczył, by serce Wilczka zabiło mocniej.

Dzieciak czytał *Opsie, który jeździł koleją* – najważniejszą książkę z dzieciństwa Jakuba, ba – jedyną, jaką kiedykolwiek dostał od rodziców. Jedyną,

którą przeczytał więcej niż jednokrotnie, i zarazem jedną z nielicznych w ogóle przez niego przeczytanych. Książkę, co do której postanowił, że będzie ją czytał własnemu synowi. Ta myśl wywołała w nim całą lawinę niespodziewanych uczuć i emocji. Nie, nieprawda – raczej: głęboko w nim skrytych. Dotąd uparcie twierdził, że każda kobieta ma w sobie budzący się w niektórych sytuacjach instynkt macierzyński, ale facetów to nie dotyczy – ci są twardymi, bezwzględnymi, prawdziwymi macho. Cóż, psikus losu – a właściwie niczego nieświadomy chłopiec z książką – zrewidował jego światopogląd...

Kwadrans po ósmej wieczorem Wilczek dotarł wreszcie do domu. Dzierżąc w ręce bukiet kwiatów, kupiony pod wpływem emocji w pobliskim markecie, chciał zrobić dobre wrażenie. Po wyjściu z tramwaju zdecydował choć trochę udowodnić, że mu zależy, a przy okazji zatrzeć w świadomości dziewczyny wizerunek faceta, który nawet nie raczy przez cały dzień wysłać esemesa.

Dominikę zastał śpiącą na łóżku, otoczoną stertami notatek i książek – najwyraźniej uczyła się do jakiegoś egzaminu i zmęczyła się do tego stopnia, że zasnęła. Wstawił bukiet do naprędce opłukanego i napełnionego lodowatą wodą kufla po piwie – no, bo co za facet trzymałby w domu jakieś wazony? Albo kwiatki doniczkowe na parapecie? Nic, trudno, Domi będzie musiała przeżyć tę prowizorkę oraz uznać, że lepszy rydz niż nic i liczą się dobre chęci – nawet jeśli jest nimi wybrukowane piekło, jak powiadają.

Niemal automatycznie na myśl przyszedł mu Dante i ścienne, „piekielne” graffiti, obok którego znaleziono pierwsze zwłoki. Wilczek przysiadł na fotelu i zastanowił się – zebrany dotąd materiał niejednoznacznie, ale bardzo sugestywnie wskazywał na Grubskiego jako mordercę. Coś jednak Jakubowi w tej układance wyraźnie nie pasowało. Nie wiedział co, ale miał wrażenie, że umknął im pewien szczegół, który podawał w wątpliwość ogólnie przyjętą teorię.

Wilczek uznał, że następnego dnia musi pojechać z godzinę wcześniej do pracy, by w spokoju przeanalizować wszystkie zebrane informacje. Tymczasem wypadałoby zabrać się za przygotowanie jakiejś obiadowej kolacji: sam był głodny jak – nie przymierzając – wilk, a i Dominika zapewne wkrótce obudzi się z poczuciem ssania w żołądku. Gdy zajrzał do lodówki, okazało się, że jest równie pusta jak brzuchy domowników – no tak, ostatnio jadał głównie fast foody na mieście. Jakub westchnął, ubrał ponownie converse’y i wyszedł z domu, „upolować” coś na ruszt. Powiedziało się A w kwestii ponownych starań o kobietę, to i trzeba powiedzieć B...

VII

Piątek, dwunasty czerwca 2015

Druga noc z rzędu na kanapie w salonie oraz przegadany do późna wieczór z Dominiką po naprędce przygotowanej obiadokolacji sprawiły, że Jakub tuż przed siódmą rano czuł się tak, jakby to o nim powstała seria *The Walking Dead*. Niedospany wykonał serię ćwiczeń gimnastycznych, licząc, że go nieco rozbudzą, a następnie powłókł się do kuchni. Zjadł na szybko płatki z mlekiem, dojadł trochę resztek z wczoraj, po czym z kubkiem gorącej kawy zasiadł do laptopa.

Teraz, jadąc do pracy, zastanawiał się, czy i dziś dadzą mediom jakąś pożywkę – wieści o wczorajszej akcji w Collegium Maius sprawiły, że nie tylko lokalne, ale i ogólnopolskie portale, dzienniki i stacje ochoczo nagłośniły sprawę brutalnych morderstw. Z jednej strony dobrze: im głośniejsze, tym trudniej mordercy popełnić kolejną ewentualną zbrodnię. Wilczek wprawdzie szczerze wątpił w taki przebieg zdarzeń, ale wciąż pamiętał pewność bijącą z twarzy Czarka, upierającego się, że mają do czynienia z seryjnym mordercą. Z drugiej strony jednak, seryjny czy nie, tak rozreklamowany sprawca zbrodni może się przestraszyć i zaszyć gdzieś tak, że nigdy go nie znajdą – a to byłby spory kłopot: i dla sprawy, i dla wielkopolskiej policji, i dla dalszej kariery zawodowej nadkomisarza.

Tak jak Jakub się spodziewał, wewnątrz komendy zionęło jeszcze pustką – nikt o zdrowych zmysłach nie przyjeżdżał bez potrzeby tak wcześnie do pracy, a koledzy z nocnej zmiany jeszcze byli w terenie na jakiejś od miesięcy planowanej akcji, związanej z narkotykami i dopalaczami. Wilczek zaparzył sobie w pomieszczeniu socjalnym kolejną tego dnia, mocną kawę, po czym rozsiadł się w swoim gabinecie i zaczął raz jeszcze analizować zebrane materiały, zeznania i własnoręcznie poczynione notatki. Po półgodzinie cierpliwego szperania znalazł szczegół układanki, który mu nie pasował. Postanowił dla pewności sprawdzić w policyjnym systemie jeszcze jedną rzecz, czuł jednak, że jest bliski jakiegoś przełomu w sprawie.

Punktualnie o ósmej zespół śledczy ponownie spotkał się w sali konferencyjnej na porannej burzy mózgów. Myny mieli nietęgie – najwyraźniej każdy pokusił się rano o włączenie telewizji lub zajrzenie do sieci, gdzie uniwersytecka wizyta mundurowych miała swoje przysłowiowe pięć minut chwały, trwające już parę dobrych godzin.

– Co do naszych wczorajszych ustaleń... – zaczął niepewnie Paproćko, próbując rozkręcić nieco zaspane i zdołowane towarzystwo.

– ...to proponuję o nich zapomnieć – wszedł mu w słowo Wilczek. –

Szukamy nie tego człowieka.

Oczy wszystkich znajdujących się w pomieszczeniu osób wpatrywały się w niego zdumione. Odchrząknął, zaczerpnął głęboko powietrza i mówił dalej:

– Przyjrzałem się raz jeszcze temu, co wiemy, i jestem całkowicie pewien, że Grubski jest albo idiotą, albo kozłem ofiarnym – może nawet jednym i drugim, nie wiem – ale na pewno nikogo nie zabił. Z zebranych przez Czarka z Jankiem zeznań jednego z lokalnych „Bobów Budowniczych” wiemy, że Grubski i Skoczylas pojawili się na miejscu zbrodni dzień wcześniej i, jeśli mam być z wami szczerzy, to sądząc po ich zachowaniu, prędzej naszego uciekiniera widziałbym tam w roli trupa. Poza tym Edward Grubski musiałby być, za przeproszeniem, zdrowo pierdolniętym psycholem, żeby zaprowadzić kolegę w jakieś miejsce po to, by jutro go tam zabić. Nie, to mi się w ogóle kupy nie trzyma.

– Skąd wiesz, czy nie jest psychopatą? – zaoponowała Agata. – Sami opowiadaliście, jak was zakrwawiony powitał, z tą swoją czerniną. I poobijaną koleżanką.

– Sprawdziłem go w bazie – w sumie dziwię się, że do tej pory tego nie zrobiliśmy. Rodzice nie żyją od dawna, miał kilkoro różnych opiekunów prawnych, po czym wnioskuje, że adoptowano go parokrotnie, ale nikt sobie nie dawał z nim rady. Niemniej karany był tylko za jakieś bzdury: komuś ze złości oblał rower rozrobionym cementem, innemu sąsiadowi zaszlachtował koguta, bo ten uparcie piał o drugiej w nocy – może stąd to jego zamiłowanie do czerniny, cholera go wie, ale to były tego typu rzeczy. Generalnie kilka grzywien, parokrotne prace społeczne – wszystko odpracowane i od 2004 roku gość jest czysty.

– Albo wie, jak się nie wychylać – spostrzegł Czarek. – Ale przychylam się do twojej wersji: naoglądał się policji za młodu, to i teraz się chowa, bo wie z mediów, ile lat mu grozi. Nawet jeśli to nie on zabił, to zrobiła się na niego taka nagonka, że nawet ja bym sobie wmówił, że może jednak zabiłem. A co do tej jego lafiryndy, to trzeba ją jak najszybciej znaleźć i zapewnić, że nic mu nie grozi, że chcemy tylko porozmawiać – kto wie, może ona nas do niego zaprowadzi?

– Tak sobie z kolei myślę... – Wojciech Gót bez ceregieli zmienił wątek. – Postawa tego całego Skoczylasa, który każe Grubskiemu się tak nie podniecać i jest przy tym sam nad wyraz spokojny, może równie dobrze świadczyć o tym, że znał to miejsce i chciał po prostu koledze pokazać, gdzie strzelił sobie samobójca. Chora teoria, wiem, ale chyba każda opcja jest warta rozważenia, kiedy się zaszło bez wyników w śledztwie tak daleko jak my...

Nastąpiła chwila ciszy, w której każdy zaczął w duchu rozważać alternatywne wersje wydarzeń. Po paru minutach głos zabrała Izabela:

– Rozumując w taki sposób, można by wysunąć wniosek, że elementem łączącym potencjalne samobójstwa obojga naszych delikwentów była miłość: ot, Skoczylas kocha się w tej całej pół-Rosjance z wzajemnością, coś lub ktoś sprawia

jednak, że nie mogą być razem, więc każde z nich postanawia się zabić. I byłaby to teoria równie dobra jak każda inna, gdyby nie jeden szkopuł: żadne nie byłoby w stanie się tak okaleczyć samodzielnie, a nawzajem też sobie nie bardzo mogli pomóc.

– Fakt, nieco naciągane. Poza tym – zauważył Czarek, kierując wzrok na Jakuba – gdyby ta cała Dinara miała faceta, i to jeszcze w pewien sposób problematycznego, Dominika wiedziałaby o tym i zapewne poinformowałaby nas już dawno, chyba że ogniwem łączącym oboje byłaby ta laska Grubskiego, którą widzieliście przelotnie w mieszkaniu.

– Dobrze, panie i panowie – naczelnik klasnął w dłonie, przerywając dywagacje swoich podwładnych – powoli zaczynamy uprawiać gdybologię stosowaną, a na to sobie pozwolić ani na tym, ani na jakimkolwiek innym etapie śledztwa nie możemy. Proponuję zatem następujący podział obowiązków na dziś: Agata z Izabelą niech pojedą na osiedle, rozpytać mieszkańców o tę dziewczynę Grubskiego, Czarek z Jankiem prześledzą monitoring miejski pod kątem tego, czy widać może, jak Grubski wchodzi lub wychodzi z Collegium Maius – i gdzie ewentualnie dalej się udaje. Wy dwaj – dodał, spoglądając na Góta i Wilczka – zajmiecie się tropami, które jak dotąd niewiele nam dały lub które wciąż pozostają niewyeksplloatowane do cna. Mam na myśli między innymi prześwietlenie tego redaktorka, który dostał zdjęcia, sprawdzenie billingu Grubskiego, rzucenie okiem na monitoring osiedlowy, czy czegoś ciekawego się operatorzy nie dopatryli, posprawdzanie, dla świętego spokoju, czy ofiary mogły mieć myśli samobójcze... Tak czy inaczej, dopóki nie nabierzemy pewności, że to gdybanie sprzed chwili miało jakikolwiek sens, nadal traktujemy Edwarda Grubskiego jako podejrzanego numer jeden.

Wojciech spojrział na Jakuba. Tak, w jego oczach wykaz zadań im zleconych też wyglądał na robotę dla debila. No, ale z drugiej strony – nikła szansa, że się im podczas roboty napatoczy jakiś upierdliwy pismak, rozdrapujący świeże rany po głośniejszym wizycie na uczelni...

Życie dość szybko potwierdziło przeświadczenie Wojciecha. Pojechali na osiedle Przyjaźni, zabierając ze sobą autem obie funkcjonariuszki. Współ z nimi przepytali sąsiadki na temat ewentualnych problemów Skoczylasa i, zupełnie przypadkiem, żadna z nich niczego nie widziała ani niczego nie słyszała. Jakuba to nieco zastanowiło – z jednej strony, z racji podeszłego już nieco wieku tychże dam, można było przyjąć ich zeznania jako „oczywistą oczywistość”, wszak wzrok i słuch już nie te, co kiedyś. Z drugiej jednak – to owe kobieciny stanowiły przecież nieformalne grono starych, osiedlowych pierduśnic, które wściubiają nos, gdzie tylko można. Skoro zatem mimo to nie wiedziały niczego, choć powinny wiedzieć

wszystko – istniały dwie opcje: albo Adrian Skoczył nie miał problemów (i tym samym myśli samobójczych), albo był osobą niezwykle skrytą – tak bardzo, że nawet wścibski, sąsiedzki rentgen nie był w stanie go prześwietlić.

Wiedziony instynktem, Jakub postanowił raz jeszcze odwiedzić zakład bukmacherski, w którym pracował denat. Wewnątrz zastali jedynie jakiegoś pracownika, którego jeszcze nie mieli okazji poznać. Krótko i zwięźle wyjaśnili, kim są i co ich sprowadza.

– Spodziewałem się panów – stwierdził nieoczekiwanie mężczyzna, wywołując na ich twarzach wyraz zdziwienia i wprawiając obydwu w lekką konsternację. – To znaczy nie konkretnie obu panów, tylko w ogóle wizyty policji. Czyli jednak Skoczek skoczył...

– Co pan przez to rozumie? – Wojciech spojrział na mężczyznę takim wzrokiem, jakby chciał go prześwietlić na wylot i sam wyczytać skądś odpowiedź.

– No-o... jakby to ująć... – zaczął niepewnie mężczyzna. – Kilka dni temu Adrian zwierzył mi się, że ma dość tej roboty, ma długi w spółdzielni, dziewczyna go rzuciła i on się nie umie pozbierać. I że najchętniej rzuciłby się z dachu swojego wieżowca, z mostu lub pod pociąg. Uważał, że to rozwiązałoby w mgnieniu oka wszystkie jego bolączki.

– I co pan mu odpowiedział? – dążył dalej Wilczek.

– A jak pan myśli? Że, za przeproszeniem, pierdoli jak potłuczony. Że młody jest, lasek wokół pełno, tylko że one, zamiast obstawić mecze, wolą wygibasy przed telewizorem z Chodakowską albo pocić się razem z Mel B gdzieś w fitness klubach. Sport jak sport, co kto lubi, ja sam preferuję siedzenie przed ekranem i słuchanie komentarzy Andrzeja Borowczyka. No, ale wracając do meritum, to opitoliłem go z góry na dół, postawiłem do pionu, a po robocie wyciągnąłem na Starowę, na kilka piwek w klubie, i wepchnąłem niemal na chłama w ramiona jakiejś słowiańskiej piękności, co to mogłaby się wdzięczyc w teledyskach Donatana.

Serce Jakuba zaczęło szybciej pompować krew. Czy to możliwe, że Skoczył poznał w ten sposób Dinarę, a potem powiódł ich oboje do Charonowej łodzi? Ale przecież nie włożyli sobie w usta oboli. Ani nawet tetradrachmy... Wilczek pokręcił głową. Jasna dupa, trzeba było nie czytać tych książek od Dominiki. Psychika się od nich ryje. Tak czy owak, trzeba będzie sprawdzić nowy trop, a to oznacza tylko jedno...

– Mógłby nam pan podać adres tego lokalu, w którym panowie bawili, oraz datę i orientacyjne godziny waszego pobytu?

– Idę do Maka po jakieś fryty i szejki, kupić wam coś?

Czarek wyraźnie miał dosyć siedzenia na komisariacie i wybałuszania

ślepiów przed kilkoma monitorami. Jasne, nagrania z kamer są ważne, ale nie dajmy się zwariować, przecież od tego można wzrok stracić.

Nie słysząc jakiegokolwiek zamówienia ze strony partnera oraz siedzącego obok operatora, wstał i wyszedł na dwór. Dobrze, że do wielkiego, złotego „M” było blisko i że tamci niczego nie chcieli – bo nie chciałoby mu się taszczyć nie wiadomo ile wałówki.

Doszedł do ulicy Dąbrowskiego i zatrzymał się, zastanawiając, co dalej począć. Idąc w prawo, dojdzie do wspomnianego McDonald’s. W lewo – do Teatrki, gdzie sprzedają chyba najlepsze zapiekanki w mieście. Chłodna kalkulacja: dokąd bliżej, gdzie korzystniej dla pustego żołądka i już po chwili Busza mijał Teatr Nowy, kierując się w stronę budki z fast foodem.

Ostatni raz był w teatrze jakiś rok wcześniej, razem z koleżanką swojej siostry, Magdy. Miały iść obie, ale Magda się rozchorowała i jedyną osobą, która przyszła jej na myśl jako zastępstwo i towarzystwo dla Kamili, był Czarek. Musiał jednak przyznać, że Kamila okazała się bardzo sympatyczną, wesołą dziewczyną – i co z tego, że kilka lat młodszą. Na dodatek spektakl był strzałem w dziesiątkę – dziewczyny zamówiły bilety na *Przyjęcie dla głupca* Francisca Vebera, a tymczasem to poważny pan komisarz śmiał się chyba najgłośniej na widowni. Ach, to było wspaniałe przeżycie. A teraz? Busza przyznał w duchu, że wybrałby się do teatru. Ale z kim? Z Jankiem? Żeby znowu dziwne ploty po komendzie krążyły, że niby papużki nierozłączki, kajdankami prawie skute? A może iść w pojedynkę? E-e-e, odpada. Samemu to człowiek może sobie w domu jakąś francuską komedię obejrzeć z DVD. Kabarety na Dwójce albo z YouTube’a odpalić. Stand-upy z Abelardem Gizą obczaić. Kurde, nie ma bata, trzeba pomęczyć Magdę o numer do Kamili... – myślał.

Chwilę później, wracając z zapiekanką suto polaną ketchupem i sosem musztardowym, Czarek ponownie mijał budynek teatru. Nieoczekiwanie kawałek dalej, na wysokości poczty, zza zakrętu wybiegł mężczyzna, wpadając prosto na nieumundurowanego policjanta, przewracając go z impetem na kostkę brukową i brudząc ich obu zapiekankowymi dodatkami.

– Kurwa! – Busza nie krył oburzenia, próbując na siedząco otrzepać się z kukurydzy, papryki i ogórków, nie rozsmarowując równocześnie ketchupu na koszulce. – Patrz pan, jak łazisz, do cholery!

Spojrzał na twarz mężczyzny, z którym się zderzył, i natychmiast w jego umyśle zaiskrzyło, zaskrzypiało, jakby Myślowy Dróżnik przestawił zwrotnicę, by pociąg skojarzeń mógł bezkolizyjnie przejechać właściwym torem. Czarek widział już tę gębę dwukrotnie: raz, na ulicy Niskiej, kiedy jej właściciel zdradził się dźwiękiem spustu migawki. Drugi raz, kiedy Jakub rozesłał im zdjęcie dwóch mężczyzn, wychodzących z bloku, przechwycone z nagrania monitoringu. Nie mogło być mowy o pomyłce, ale... z drugiej strony, to było niemożliwe –

szukaliby gościa po całym mieście, a on wpadłby mu zupełnie przypadkiem pod nogi? To jak trafić szóstkę w totka!

Busza wstał z chodnika i zorientował się, że sprawca tej pieszej kolizji uciekł z miejsca zdarzenia. Fatalnie – bo to, co podpowiadał Czarkowi umysł, nakazywałoby niezwłocznie zatrzymać faceta.

Iza z Agatą stanęły przed kolejnymi już drzwiami na tym samym piętrze. Jak na razie, zarówno wspólnie z chłopakami, jak i potem samodzielnie, nie zdołały dowiedzieć się niczego od mieszkańców na temat „przyjaciółki” Grubskiego.

Komisarz Jakuszyk wcisnęła przycisk dzwonka. Z głośniczka wewnątrz mieszkania popłynęła melodia *Dla Elizy* Beethovena. Bez względu na to, czy w środku była jakaś Eliza, czy też nie, nikt jednak nie raczył podejść do drzwi. Zrezygnowane, ruszyły w stronę windy, by spróbować szczęścia na innych piętrach.

Po paru minutach blaszany przybytek wtoczył się na swój wertykalny peron i obie mogły wejść do środka. Nie były same – wewnątrz dwie dziewczyny, na oko licealistki, zajęte były robieniem sobie w lustrze selfie z dzióbkiem. Izabela postanowiła kuć żelazo póki gorące.

– Sorry, dziewczyny, szukamy waszej koleżanki spod piątki.

– To nie jest nasza koleżanka – odburknęła jedna z pasażerek, poprawiając sobie grzywkę niewyobrażalnie długimi tipsami. – My, szlachta, nie zadajemy się z takimi szmatami jak Gośka.

– Oke-e-e-j, sorry... A nie wiecie, gdzie mogłybyśmy ją znaleźć? – pociągnęła dalej temat nieco zbita z tropu Agata, po czym dość sugestywnie pokazała swoją odznakę.

Dziewczynom aż oczy załśniły. Nie wydawały się przestraszone czy speszone. Raczej... podniecone?

– O ho, ho, no wreszcie ktoś się zajął tą zdzirą i jej frajerem – podekscytowała się licealistka z tipsami.

– No, dokładnie, tej – skwitowała druga, niedbale żując gumę jak, nie przymierzając, krowa trawę. – Takich jak oni, to ja bym najchętniej...

– Gdzie? – przerwała jej Iza, dając do zrozumienia, że policję niewiele obchodzi wyobrażenia ewentualnych tortur.

– Pewnie szlaja się z tym swoim Edziem-pedziem koło Kauflandu i żuli na nalewkę jak co dzień.

– Albo łązi po dworcu i udaje, że jej do biletu brakuje. Widziałam ją tam rok temu, gdy na Opener jechaliśmy naszą paczką.

Winda zatrzymała się i dziewczyny wysiadły. Izabela spojrzała na wyświetlacz: dziesiąte piętro. No tak, miały wysiąść na pierwszym, ale po wejściu

nie wybrały żadnego przycisku tylko skupiły się na towarzyszkach podróży. Ich zeznania mogą być przydatne w śledztwie, trzeba tylko...

– Zaczekajcie, dziewczyny. Potrzebowałybyśmy numerów telefonów do waszych rodziców. Musicie skoczyć z nami na komisariat, żebyśmy mogły spisać wasze zeznania.

A przy okazji, dodała w duchu, dowiedzieć się, czemu nie ma was w szkole. I docisnąć, co macie do tej całej Gośki. Bo że dziewczyny w tym wieku zdolne są do nienawiści względem siebie, nie było dla rzeczniczki zaskoczeniem. Ale żeby eksponować ją na każdym kroku, w dodatku przed policją? Coś musiało między nimi zajść...

O jedenastej komenda przeżyła małe oblężenie – Jakub ściągnął Dominikę i jej koleżanki w celu przesłuchania na okoliczność ewentualnej wizyty Dinary w klubie, gdzie miał przebywać w przeddzień śmierci Skoczylas, natomiast Iza z Agatą zaczynały właśnie przesłuchiwać obie małolaty, które przed chwilą przybyły na komendę w obecności rodziców.

Koleżanki Dominiki zeznały, że faktycznie tydzień temu wyciągnęły Dinarę na imprezę – jedna z nich świętowała zaręczyny – i do Dinary przyczepił się tam jakiś gość. Na początku milczeli, ale w końcu oboje się rozkręcili i Dinara olała koleżanki, wychodząc z knajpy nieco wcześniej w towarzystwie nowo poznanego kolesia. Po okazaniu im zdjęć obu mężczyzn potwierdziły, że był to Adrian Skoczylas. Jedna z nich sugerowała też, że kolejnej nocy na „poprawinach” widziała tego gościa wraz z Dinarą raz jeszcze – ale sama przyznała, że raczej musiała być po prostu zalana w trupa, bo – zgodnie z informacją o jego śmierci – facet powinien był wtedy od jakiegoś czasu nie żyć.

Po odebraniu zeznań oraz wykonaniu paru telefonów Agata i Iza miały pozostałym niewiele do powiedzenia poza tym, że dzielnicowi z Północy zostali już zawiadomieni o poszukiwaniu Małgorzaty Kowalik, otrzymali też listę potencjalnych miejsc pobytu dziewczyny wraz z prośbą o zatrzymanie jej w celu odebrania od niej zeznań.

Choć zeznania koleżanek Dominiki należało potraktować z jednej strony poważnie, z drugiej zaś – mieć na uwadze wspomniany stan upojenia alkoholowego, Wilczek wąpił w spiskowe teorie związane z „poprawinami”.

– Zanim zaczniemy wydziwiać z tezą o zmartwychwstaniu, musimy mieć absolutną pewność, że Skoczylas...

– ...nie miał brata bliźniaka. Ani w ogóle brata. Ani nawet siostry. Już sprawdziłem ten trop – przerwał Jakubowi Czarek. – To było pierwsze, co

zrobiłem.

Paproćko zamyślił się, po czym zauważył:

– Nie wiem, czy nie wymyślam teraz niepotrzebnej roboty, ale... chyba przyda nam się dostęp do komputera Dinary – jeśli dziewczyna kontaktowała się jakoś ze Skoczylasem, to zapewne przez Internet. I jeżeli nie dba o regularne czyszczenie historii przeglądarki, możemy dokopać się do sedna sprawy.

– Nie zapominajmy o tym, że nadal nie prześledziliśmy do końca nagrań z monitoringu pod kątem tego, skąd przybył lub dokąd się udał Grubski po pozbyciu się telefonu komórkowego – włączył się ponownie do rozmowy Czarek.
– Zamierzam jeszcze dziś, po naradzie, przysiąc i zbadać ten temat szczegółowo bez względu na to, czy typek jest mordercą, czy tylko lokalną sierotką, dającą się doić pojebanemu koledze.

– Mogę podjechać z Dominiką do akademika, zabezpieczyłbym laptop Akinfiejewnej, a jutro rano podrzucił go na stół naszym informatykom. I tak muszę zajrzeć do akademika – Dominika chciała, żebym ją podwiózł, bo zapomniała notatek z jakiegoś przedmiotu. No co-o-o-o? – dodał Wilczek, rozglądając się po zadowolonych twarzach kolegów z pracy. Widać było, że cieszą się na myśl, że Jakub i dziewczyna wracają do siebie. Tylko Wilczek nie był pewien, czy tak rzeczywiście jest. Jeszcze nie rozmawiali na ten temat. Nie było kiedy – ciągle tylko śledztwo, śledztwo i śledztwo. Jak dawniej...

Sprawnie podzielili się pozostałymi zadaniami, po czym rozeszli się. Zanosilo się na to, że kolejny dzień też będzie nerwowy, każdemu zależało zatem, by wypocząć choćby w minimalnym stopniu.

– Masz jakieś plany na wieczór?

Wojciech odwrócił się, niepewny, czy pytanie jest kierowane do niego. Z miny stojącej obok osoby wywnioskował jednak, że nie może być mowy o pomyłce.

– No cóż, prawdę powiedziawszy, mam tu ty-y-y--y-y-y-lu znajomych, że aż nie wiem, z kim spędzać czas. – roześmiał się, po czym rozłożył ręce i wzruszył ramionami. – A dlaczego pytasz? Masz jakąś propozycję z gatunku tych nie do odrzucenia?

– Po prostu naszła mnie myśl, że moglibyśmy razem udać się na miasto, zwiedzisz Poznań, póki jest na to chwila czasu. Znam też świetną knajpkę, podającą meksykańskie specjały. I... podobno warto tam zamówić sernik.

– Skoro tak... Prowadź, zobaczymy, czy ten sernik jest przynajmniej tak dobry jak mój.

– Pieczesz? – zdziwienie dominowało nie tylko w głosie, ale i na twarzy osoby u jego boku. – W takim razie mamy chyba dużo do omówienia...

Natychmiast po zakończeniu narady Jakub, zbiegając jeszcze klatką schodową, wybrał numer Dominiki. Odebrała po kilku sygnałach i była w dobrym humorze, co komisarz wziął za dobrą monetę. Ponieważ dziewczyna była z koleżanką na zakupach w Starym Browarze, umówił się z nią w miejscu, do którego dawniej często zaglądali – w księgarni Bookarest.

Gdy skończyli rozmawiać, Wilczek odpalił swoją wysłużoną hondę, ale szybko zgasił silnik. Nie było sensu jechać samochodem do centrum i parkować za niebotyczne pieniądze w panoszącej się wszędzie, najdroższej, czerwonej strefie. Zostawił auto na parkingu policyjnym, po czym udał się na przystanek tramwajowy. Dwadzieścia minut później szli już z Bookarestu pod rękę do pobliskiej naleśnikarni, znanej na cały Poznań z nie do końca wiadomych powodów.

Na miejscu czekała ich przykra niespodzianka – tradycyjna już kolejka ciągnęła się gęsiego chodnikiem aż do ulicy Półwiejskiej, zwanej przez tubylców po prostu deptakiem. Choć wielu podśmiewało się, że do lokalu są „kolejki jak za komuny po chleb”, średnia wieku wskazywała, że wygłodniała gawiedź peerelowskie klimaty może znać co najwyżej z wydanej przez IPN planszówki. O ile oczywiście – jak niektórzy przedstawiciele tego pokolenia – nie uznawała tego typu gier oraz każdej innej formy rozrywki niewymagającej prądu za hipsterski wymysł lub zabawkę dla amiszów.

– Może wybierzemy się w jakieś inne miejsce? – spytał niemal błagalnym tonem Jakub. Kiszki od paru godzin grały mu marsza, a na komendzie nie było kiedy zrobić sobie nawet głupiej zupki z proszku.

– Dobrze, ty prowadzisz... – odpowiedziała z ulgą w głosie Dominika, sprawiając wrażenie, jakby wyczekiwała tego pytania od parunastu minut.

Jezus Maria – pomyślał Wilczek – teraz dopiero dowaliła mi do pieca, potrafi mnie uszczęśliwić i unieszczęśliwić zarazem. W pośpiechu przewertował w głowie wykaz okolicznych lokali, które miał okazję kiedykolwiek poznać – osobiście lub w ramach wysłuchiwanie opinii znajomych, którzy przetestowali już chyba każdą restaurację w mieście. Efekt skanowania dysku twardego wynosił nic, null, zero. Zrozpaczony, pociągnął Dominikę za rękaw, postanawiając zaciągnąć ją do dowolnej knajpki, byle nie był to North Fish, gdzie do wyboru jest albo coś rybnego, za czym – delikatnie rzecz ujmując – komisarz nie przepadał, albo frytki, którymi nijak się nie umiał najeść. Dziesięć minut później siedzieli w czymś na kształt burgerowni serwującej bagietki zamiast bułek i oczekiwali na zamówione zapiekanki własnej kompozycji.

Nie oglądając się na resztę funkcjonariuszy, Agata wsiadła do samochodu i ruszyła w kierunku domu, w którym – jak zwykle – czekała na nią reszta rodziny z obiadem. W pośpiechu zjadła, przytuliła córki do siebie i zarządziła, że najwyższa pora zrobić sobie porządną, rodzinny wieczór. Po równie szybkiej kąpeli, a następnie rodzinnym czytaniu Martynce bajeczki na dobranoc, wyciszyła telefon i odłożyła na stoliku w sypialni – nikt nie ma prawa jej przeszkadzać wtedy, gdy poświęca swój czas najbliższym.

Położyła młodszą córkę spać, a następnie weszła do kuchni i zaczęła robić popcorn. W tym samym czasie Michał ścielił łóżka w sypialni oraz w pokoju Pauliny, a dziewczynka wyjmowała z szafy gry planszowe. Osadnicy z Catanu, Dobble, Carcassonne, Dixit, Scrabble... Nie miała pewności, na którą grę tata będzie miał ochotę, a to jego kolej, by wybrać, przypadała tego wieczoru. Poprzednim razem zaszczytu tego dostąpiła Paulinka – zastanawiała się nad tym cały tydzień, także podczas lekcji w szkole. Ostatniej z gier nie lubiła, bo zawsze przegrywała – nawet wtedy, kiedy ewidentnie było widać, że rodzice dają jej fory. Ostatecznie zdecydowała się na zabawę w średniowiecze – przecież (podobnie jak młodszą siostrą i tysiące innych dziewcząt) zawsze marzyła o byciu prawdziwą księżniczką, na którą czeka ukochany rycerz. Damą, która wkrótce stanie się królową i będzie władać licznymi miastami i grodami. Skoro nie mogła osiągnąć tego w rzeczywistości, zadowalała się rządzeniem na powstającej każdorazowo mapie Carcassonne.

Półtorej godziny później, dziękując w duchu za dokonany przez tatę wybór i zapychając się prażoną kukurydzą, skrupulatnie obserwowała tor punktacji – rodzice prowadzili łeb w łeb, Paulinka pozostawała w tyle o jakieś dwadzieścia punktów, ale miała na planszy otwarte duże miasto, które w przyszłości pozwoli jej zdobyć wiele punktów. Sięgnęła do materiałowej sakiewki po kolejną płytkę terenu. Musi wygrać. Królowe nigdy się nie poddają.

Podczas gdy Janek udał się na siłownię, by – jak zwykle – dać sobie niezły wycisk, Czarek zgodnie z zapowiedzią wrócił do siedziby monitoringu, by spokojnie przejrzeć interesujące ich nagrania. Usiadł przy wolnym komputerze, otworzył archiwum nagrań, wybrał odpowiednie kamery i zaczął seans.

Już po paru minutach przeglądania materiału dotarł do chwili, którą widzieli ostatnio: na ekranie pojawił się wychodzący szybkim krokiem Edward Grubski. Busza kliknął przycisk pauzy i sprawdził czas nagrania. Poszukiwany mężczyzna opuścił budynek dosłownie na kilkanaście sekund przed przyjazdem pierwszego radiowozu. Czarek odtworzył ciąg dalszy nagrania. Nie mylił się – ledwie postać zniknęła z kadru, z tej samej strony nadjechało auto.

Zaczął śledzić Grubskiego na kolejnych ujęciach – dotarł z nim aż do Mostu

Teatralnego, gdzie mężczyzna wszedł do tramwaju numer 14 i odjechał w kierunku Górczyna.

Po zasięgnięciu opinii oraz otrzymaniu pomocy ze strony operatora monitoringu, komisarz już po chwili ponownie oglądał na ekranie podróż poszukiwanego. Ten wysiadł na którymś z kolei przystanku i udał się do jednej z kamienic przy ulicy Głogowskiej. Busza zapisał adres, po czym zabrał się za analizowanie nagrań sprzed wizyty w Collegium Maius. Tu już niestety nie było tak kolorowo – Grubski dosłownie wziął się znikąd. Pomoc pracującego obok chłopaka okazała się po raz kolejny nieodzowna, lecz nie przyniosła oczekiwanych przez Czarka rezultatów. Udało się jedynie dostrzec, że mężczyzna wysiadł z taksówki, która zatrzymała się w pobliskiej zatoczce autobusowej. Niestety – ani numer rejestracyjny pojazdu, ani nazwa korporacji nie były na tyle czytelne, by podjąć dalsze działania, a starych mercedesów z szachownicą z boku i kogutem na dachu było w mieście co niemiara.

Podziękował i ruszył w stronę parkingu policyjnego, gdzie stała jego limuzyna. Tak długo wybierał markę i model, decydując się rok wcześniej na zakup samochodu, że ostatecznie postanowił postawić na ten produkt branży motoryzacyjnej, który znał najlepiej.

Wszedł do czarnej kii cee'd, włączył niemal na cały regulator składankę polskiego reggae, którą kiedyś na szybko zgrał sobie na pendrive'a, po czym odpalił silnik i ruszył do domu. Zamierzał paść na łóżko i wstać dopiero rano – czuł się wypompowany. Nastrój bojowy znikł mniej więcej z chwilą nieudolnej akcji na uniwersytecie i Czarek czuł, że przyda mu się twardy reset, w przeciwnym razie nie będzie w ogóle przydatny podczas śledztwa – a to, jak na złość, nie chciało się zakończyć.

Zgodnie z planem w drodze do domu Jakub podjechał razem z Dominiką na teren akademików. Po długiej rozmowie w lokalu gastronomicznym oraz jej ciągu dalszym w samochodzie, postanowili spakować większość rzeczy należących do dziewczyny i dokonać przeprowadzki do mieszkania Wilczka.

Dominika podeszła do drzwi pokoju numer 221 i włożyła do zamka klucz. Nie było jej tu od paru dobrych dni, Dinary – z wiadomych względów – też. Zastanawiała się, w jakim stanie zostawiła pokój, ale raczej nie było powodu do obaw – jak każda kobieta dbała o czystość, a i współlokatorka ceniła sobie porządek i nierozpraszkującą uwagi przestrzeń.

Pewna swego, spróbowała przekręcić klucz w zamku, jednak ani drgnął.

– Kuba... – zaczęła niepewnie. – Nie podoba mi się to...

– Może zapomniałaś zakluczyć? – uznał Wilczek i po prostu nacisnął klamkę.

Jeden rzut oka wystarczył, by oboje nabrali pewności, że podczas ich nieobecności ktoś tam był. Raz, że narobił sporego bałaganu, dwa – przywłaszczył sobie laptop Dinary Akinfiejewnej. Błat jej biurka świecił pustkami.

– Nie wchodź, a jeśli musisz, to niczego, absolutnie niczego nie dotykaj – pouczył trzeźwo Dominikę, po czym wyjął telefon i zawiadomił dyżurnego na komendzie. Po chwili próbował się dodzwonić do pozostałych kolegów – Agata, Janek i Czarek nie odbierali. Zrezygnowany, postanowił wybrać jeszcze jeden numer...

Z głośników w lokalu nagle dobiegła muzyka rodem z Dzikiego Zachodu, pogasły wszystkie światła, a do stolika dotarł sernik. No, dotarł to mało powiedziane – przy powyższym akompaniamencie, ku uciechu zebranych w knajpie osób, dostarczył go Zorro.

Wojciechowi przeszło przez myśl, że jest w ukrytej kamerze i robią z niego wariata, ale Izabela wydawała się faktycznie szczęśliwa z racji tego durnego przedstawienia spod znaku płaszcza i szpady, czy też – jak należałoby słusznie zauważyć – peleryny i placka.

Dziwnie się to potoczyło... – pomyślał Wojciech, widząc uszczęśliwioną kobietę u swego boku. – W Warszawie wszyscy mnie ignorują, tutaj mogę swobodnie pracować. Tam kobiety omijają mnie szerokim łukiem, a tu proponują wspólną wyprawę na ciasto. Wczoraj odwoziłem ją do domu, dziś razem wędrujemy po mieście... Jeśli tak wygląda poznańska gościnność, to nie jestem pewien, czy chcę w ogóle wracać do stolicy.

Rozważania przerwał mu dźwięk dzwonka. Wojciech grzecznie przeprosił i spojrzął na wyświetlacz.

– Wyczuwam negatywne wibracje... – mruknął, po czym pokazując Izabeli, że dzwoni Wilczek, odebrał telefon. – *Qué cosa!*... a właściwie co za wilk do mnie wydzwania?

Izabela zachichotała. Nie sądziła, że taki śmieszek z tego Wojtka. Jeszcze kilka dni temu, gdy przyjechał z dworca w tym swoim garniturze jak z pogrzebu, sprawiał wrażenie nadętego sztywniaka. A teraz śmiał się, żartował i był naprawdę wyluzowanym, fajnym facetem. Spojrzała na niego raz jeszcze, lecz nieoczekiwanie zamiast radosnej facjaty dostrzegła ten sam poważny, nieodgadniony wyraz twarzy.

– Jasne, rozumiem, no to zbieramy się i jedziemy na miejsce – nadkomisarz Gót kontynuował rozmowę. – Co? A, bo widzisz, nie przyjadę sam... No nic, na razie, bo czas nie zając, wilkowi nie ucieknie, ale chyba nie w tym przypadku.

Iza spojrzała na niego pytająco.

– Co się stało?

– My tu wpięprzamy sernik, a tymczasem ktoś kradnie laptop denatki.

Zapłacił za zamówienie, nie omieszkawszy mruknąć do kelnerki, że Zorro ten placek chyba na skisłym mleku robił, bo Gót z zamkniętymi oczami zrobiłby lepszy, po czym wyszli z restauracji i pospieszyli na przystanek.

Po dziewiętnastej w akademiku zaroilo się od policjantów i techników zabezpieczających ewentualne ślady w pokoju. O ile początkowo Wilczek zrobił wielkie oczy na widok towarzyszki Góta, o tyle musiał w duchu przyznać, że obecność Izabeli była wszystkim na rękę – rzeczniczka Komendy Wojewódzkiej Policji mogła od razu ustalić wspólny komunikat prasowy z przybyłą na miejsce rzeczniczką uczelni, będącej formalnie właścicielem akademika. Obie zastanawiały się także nad wspólną konferencją prasową – zainteresowanie mediów całą sprawą było raczej nieuniknione. Pozostawało pytanie, do jakich wniosków dojdą znajdujący się na miejscu funkcjonariusze i co z tego można przekazać opinii publicznej. Podczas gdy Gót rozmawiał ze studentami mieszkającymi w sąsiednich pokojach, Jakub przyglądał się już na chłodno temu, jak wygląda pokój dziewczyn.

– Udało nam się zabezpieczyć co najmniej dwa zestawy odcisków palców – odezwał się po chwili szef techników. – Tak czy owak, trudno nam cokolwiek teraz stwierdzić. Porówna się odciski z tymi w bazie i pobierze się je też od mieszkających tu osób... Generalnie sugerowałbym „opalcowanie” mieszkańców całego piętra, ale podejrzewam, że to byłaby w waszych oczach przesada. Zdaniem tej studentki coś zginęło?

– Na pewno laptop, toshiba ileś tam, od co najmniej pięciu lat w posiadaniu Akinfiejewnej. Głównie z jego powodu tu przyjechaliśmy – wszedł mu niemal w słowo Wilczek, przemilczając część prawdy. – Zamierzaliśmy na komendzie zabezpieczyć sprzęt i znaleźć na nim pewien trop internetowy, ale widać komuś zależy na tym, byśmy tej wiedzy nie zdobyli. Pod nieobecność obu lokatorek ktoś się włamał i wziął to, co najcenniejsze – westchnął.

– Cóż, ja to widzę nieco inaczej.

Technik wskazał ręką kolegę, który właśnie fotografował skrupulatnie zawartość każdej z szuflad w komodzie.

– W drugiej szufladzie od góry, chciałbym zaznaczyć, że jednej z wysuniętych przez sprawcę, znajduje się dość dużo biżuterii. Nie jestem jubilerem, ale na moje oko jej wartość wielokrotnie przewyższa cenę najnowszego MacBooka, a sam powiedziałaś, że skradziony laptop nie był już najnowszy. Jeśli ktoś dokonuje włamu i zostawia takie precjoza, wynosząc jedynie notebook, to albo jest nowicjuszem i ślepym kretynem zarazem...

– ...albo wie, po co przyszedł, i tylko dla niepoznaki robi bajzel w pomieszczeniu – dokończył Jakub. – To nam faktycznie nieco zmienia postać

rzeczy...

Parę minut później do pokoju wszedł Gót. Jego kamienny wyraz twarzy – ten sam, z którym zjawił się na komendzie pierwszego dnia swojej poznańskiej przygody – zdawał się nie wyrażać zupełnie żadnych emocji. Wilczek nie był w stanie wysondować, czy kolega przynosi dobrą nowinę, czy oczekiwać raczej kolejnych gwoździ do trumny.

– I jak tam studenci? Dowiedziałeś się czegoś?

– Jak tam? Jak w amerykańskiej komedii: nic nie widziałem, nic nie słyszałem. Nietoperze i boidupy.

– Może faktycznie ktoś wszedł cichaczem, ale sądząc po tym syfie w pokoju, to trochę hałasu narobić musiał, mimo wszystko.

– Niekoniecznie... – zawiesił głos Wojciech. – Dowiedziałem się, że wczoraj dwa pokoje dalej ktoś świętował ćwierćwiecze i była gruba biba. Muzyka mogła zagłuszyć ewentualny hałas. No, ale tego już chyba nie sprawdzimy...

Godzinę później drzwi pokoju zamknięto i zaplombowano, po czym wszystkie radiowozy wróciły na komisariat, a w ślad za nimi honda accord. Wilczek z Dominiką podwieźli Góta i Izę na parking, gdzie czekała tymczasowa limuzyna warszawiaka, po czym sami pojechali na osiedle Kosmonautów. Weszli do mieszkania i położyli się. Rzeczy Dominiki zostały w bagażniku – żadne z nich nie miało siły taszczyć ich na górę, organizmy domagały się odpoczynku po wyczerpującym dniu i pełnym stresu wieczorze.

1 *Qué cosa* (hiszp., idiom) – Co u diaska! Co za licho?

VIII

Sobota, trzynasty czerwca 2015

Zapowiadana temperatura na zewnątrz miała wynosić nawet do trzydziestu stopni Celsjusza, jednak można było odnieść wrażenie, że na Komendzie Wojewódzkiej jest jeszcze goręcej. Izabela, mimo szczerych chęci, by dalej pomagać w śledztwie, zmuszona była wrócić za biurko – czyli, innymi słowy, przed kamery i mikrofony. Od samego rana tłum dziennikarzy oczekiwał kolejnych informacji, jak gdyby wczorajsza, wieczorna konferencja prasowa w akademiku nie wystarczyła, a policjanci nie spali całą noc, tylko szukali sprawcy włamania oraz dwójki morderców. Zachodziło zresztą spore prawdopodobieństwo, że to jedna i ta sama osoba popełniła wszystkie te czyny, jednak należało mieć stuprocentową pewność, a tej – jak zwykle – nie miał nikt.

Każdy czuł natomiast presję ze strony opinii publicznej i mediów – trudno się zresztą dziwić, tak dużej sprawy dawno w mieście nie było. I choć nikt nie chciałby być na miejscu funkcjonariuszy, próbujących rozwikłać zagadkę, to jednak wszyscy nadstawiali uszu i próbowali dowiedzieć się jak najwięcej. Policjanci mieli natomiast całej tej sprawy po prostu dość.

– Jak tylko dorwiemy tego popaprańca, to biorę ze dwa tygodnie urlopu chorobowego, jak Boga kocham – odgrażał się Czarek. – Będę się leczył na domowej siłowni. Tam nie trzeba tyle myśleć, nikt nie rzuca moimi zapiekankami, cisza, spokój, dobry bicik w tle...

– Nie czas teraz na takie pieprzenie o dupie Maryni – odezwał się naczelnik. – Proponuję uderzyć za godzinę z grubej rury w to lokum na Głogowskiej. Wyśle się tam całą ekipę – technika, psa, kota, helikopter... Kogokolwiek do tej pory zdążymy zebrać. Jeśli Grubski będzie w kamienicy, wyciągniemy go albo po dobroci, albo siłą. Jeśli go nie będzie, to przetrzepie się tam wszystkie mieszkania, ktoś w końcu pęknie i puści farbę, do kogo lub po co tam przyjechał. A potem będziemy się martwić całą resztą.

Przytaknęli głowami. Bez zatrzymania Edwarda Grubskiego wątpliwe było, żeby śledztwo ruszyło nagle z kopyta, albo chociaż wskoczyło na właściwe tory.

Podczas gdy funkcjonariusze – bez kota i śmigłowca, ale za to z psem i antyterrorystami – ruszyli pod wskazany adres, Wilczek i Gót zostali na komendzie. Nie chcieli się pojawiać na miejscu, bo – choć byliby po cywilnemu jak wszyscy – istniało prawdopodobieństwo, że Grubski przypadkiem wyjrzy przez okno i ich rozpozna, po czym znajdzie jakąś drogę ucieczki. O ile, rzecz jasna, go tam w ogóle zastaną. Nie przekonało ich nawet dość sugestywne spostrzeżenie

Czarka, że dwie osoby w tę czy we w tę różnicy nie zrobią – jeśli Grubski wyjrzy przez okno i zobaczy antyterrorystów, to i tak pozamiatane. Oni wiedzieli jednak swoje i uparli się, że zostaną na komendzie.

Mimo odległości, która dzieliła ich od epicentrum wydarzeń, za sprawą policyjnego radia nerwowa atmosfera udzielała się także im. Wojciech stał w oknie, paląc kolejnego już papierosa, Jakub nerwowo obgryzał paznokcie, próbując równocześnie znaleźć na Facebooku lub gdziekolwiek indziej w sieci jakiegokolwiek, choćby nikłe powiązanie Skoczylasa z koleżanką Dominiki.

– Ty palisz? – zdziwił się, odrywając wzrok od komputera. – Od kiedy?

– Od paru minut. Stary, ostatni raz taki zestresowany byłem, jak mi dziewczyna powiedziała, że jest ze mną w ciąży.

– Jesteś ojcem? – Wilczek nie ukrywał jeszcze większego zdumienia na twarzy.

– Nie, dzień później się okazało, że to był, kurwa, prima aprilis. A ja, jak ten debil, nie wiedziałem, co zrobić ze sobą i swoim życiem. To było tuż przed tym, jak miałem wyjechać na szkołę do Legionowa. Mało przez tę żołą nie osiwiiałem...

– A co dalej z wami? – zaczął lekko drążyć temat Jakub. Pierwszy raz partner zaczął się przed nim uzewnętrzniać w sprawach prywatnych.

– Nic, po miesiącu zerwała ze mną i nader szybko związała się z jakimś Rambo. Kupka mięśni, kulturystyki sto procent, kultury za grosz i równie nieprzyjemna morda jak na filmie. Z biegiem czasu uznałem, że może to i nawet lepiej, bo rzadko kiedy nadawaliśmy na tych samych falach.

– À propos fal, to dawno koledzy się nie meldowali przez radio – powiedział, przytomniejąc nagle Jakub. – Może coś się...

Przerwały mu trzaski dochodzące z leżącej na biurku krótkofalówki.

– Trszz... Ptaszek w... trszzzz... powtarzam, mamy... trszz... w klatce. Odbiór!

Godzinę później większa część ekipy śledczej była już na komendzie. Brakowało tylko Czarka z Jankiem. Wybrali się w odwiedziny do operatora monitoringu, tym razem zajmując się zarówno nagraniami z zatrzymania Grubskiego, jak i niedawnymi z okolic Dąbrowskiego. Próbowali wytropić mężczyznę, który – jak się podśmiewali – dokonał niedawno czynnej napaści na policjanta, dokonując zarazem uszkodzenia mienia w postaci zapiekanki za sześć dziesięćdziesiąt. Czarkowi coś w tej sprawie nie pasowało i chciał skonfrontować swoje przecucia z zarejestrowanymi faktami.

Po bardzo przyspieszonym kursie obsługi monitoringu Busza samodzielnie szukał faceta, kręcąc kamerami w okolicy i wypatrując na żywo odzienia, które

zapamiętał – a nuż gość przebywa tam często. Facet musiał chyba jednak się gdzieś zaszyć – albo Czarek nie zdał przyspieszonego kursu i nieumiejętnie szukał, w każdym razie po półgodzinie odpuścił sobie ogląd bieżącego obrazu i wszedł w archiwum programu, próbując zlokalizować na kamerach postać tuż przed lub zaraz po zderzeniu.

Edward Grubski siedział w pokoju przesłuchań, bębniąc nerwowo palcami o blat stołu. Na nadgarstkach wciąż widać było ślady po dopiero co zdjętych kajdankach, zaś podkrążone oczy wyraźnie wskazywały na niewyspanie lub zmęczenie zatrzymanego.

Śledczy z Komendy Wojewódzkiej przyglądali się mężczyźnie przez zamieszczone na jednej ze ścian lustro fenickie, mylnie zwane przez wielu funkcjonariuszy lustrem weneckim. W końcu głos zabrał naczelnik Paproćko:

– Okej, wejdźcie obaj i przyciśnijcie faceta tak, żeby się przyznał. Najlepiej zarówno do zabójstwa Skoczylasa, czego jesteśmy przecież pewni, jak i tej młodej studentki, co do której zbyt wiele materiału nie zebraliśmy, ale – po pierwsze, wątpię, by równolegle trafiło nam się dwóch popaprańców, a po drugie, facet miał jej skradziony laptop.

Wojciech skinął głową. Jasna sprawa, dowody niemal jednoznacznie świadczyły przeciwko Edwardowi Grubskiemu. Spojrzał na Jakuba. Partner wydawał się mieć chyba inne zdanie na ten temat.

– A ty co taki zadumany? Wchodzimy?

– Nie wiem, czy powinienem wchodzić... – wymamrotał Wilczek. – Raz, że poprzez Dominikę jestem niejako powiązany z denatką. Dwa, że nie jestem pewien, czy ten patałach za szybą byłby zdolny kogokolwiek zamordować. No, chyba że cicha woda brzegi rwie i Grubski okaże się nagle gruboskórnym facetem, co to nie pozwala sobie w kaszę dmuchać.

– Ani w kaszanke. I czerninę – dodał Gót, po czym parsknęli śmiechem.

Widząc minę naczelnika, szybko poważnieli.

– Śmichy-chichy, a jakiś debil – ten czy inny – w mordercze gierki sobie z nami pogrywa. Skoro nie chcesz wchodzić do środka, Jakub, to zostań tu ze mną. Może stąd uda ci się wysunąć jakieś wnioski.

Wilczek skinął głową, podczas gdy nadkomisarz Gót wziął głęboki oddech i wszedł do pomieszczenia.

– I co, fajnie się zabijało? – zaczął bez ceregieli.

– Ale k-k-kogo? – zająknął się Grubski.

– Misia Gogo, kurwa! Albo tego królika na czerninę! – Gót wybuchnął kontrolowanym gniewem. – Przecież oczywiste, że mówimy o Adrianie Skoczylasie i Dinarze Akinfiejewnej!

– Ale kiedy ja ich nie... to nie ja...

– Nie ty? Może jeszcze mi powiesz, że jej laptop znalazł się u ciebie w kanciapie zupełnym przypadkiem?

– A-a-a-a-le jaki laptop? Ja nic o laptopie nie wiem, żadnego laptopa nie kradłem, panie władzo. Tylko ta paczka dzisiaj do mnie przyszła, jakaś taka podejrzana...

– Paczka-sraczka, jakoś ci nie wierzę, że nie wiedziałeś o jej zawartości. Ale chrzanić laptop, pogadajmy o jego właścicielce! Podobala ci się, co? Marzyła ci się taka Słowianka z krwi i kości, bo nie mogłeś już patrzeć na tę twoją memeję? Teledysków Donatana się naoglądałeś, co?! A potem chciałeś tak samo, tylko że z ciebie to nie żaden Donatan, tylko Denatan co najwyżej.

– Nie... to nie tak... ja jej nigdy nie widziałem... to Skoczek...

– Co Skoczek, co Skoczek? – Wojciech najwyraźniej spełniał się w odgrywaniu roli złego policjanta, nie dbając o to, że nie ma przy nim przeciwwagi w postaci „dobrego” kolegi.

– Zmarł dwie doby wcześniej niż dziewczyna. Poprawka – nie zmarł, zabiłeś go. Powiedz, co tobą kierowało?

Krople potu spłynęły po czole zatrzymanego mężczyzny. Wiedział, że jego wersja nie trzyma się kupy. Musiał jednak zaryzykować – każdy ma przecież swoją prawdę.

– Coś mi tutaj śmierdzi... – mruknął Wilczek i podrapał się po głowie.

– Jak dla mnie sprawa jest aż nadto oczywista – skwitował Paproćko. – Zabił, a potem próbował zatrzeć prowadzące do niego ślady. A teraz bezczelnie zacznie na kogoś zwać winę. Typowy morderca.

– Nie wierzę, mi tu coś nie pasuje... Podskoczę coś sprawdzić na stanowisku z Internetem.

Chwilę później Wilczek siedział już przed komputerem i przeglądał „wyplute” przez Google’a wyniki wyszukiwania fraz „jak popełnić samobójstwo” oraz „jak się zabić”. Nie miał jeszcze okazji sprawdzenia pod tym kątem komputera Dinary, ale założył, że to byłaby najprostsza i, przynajmniej hipotetycznie, „najbezpieczniejsza” możliwość odkrycia sposobu na samobójstwo, bez wzbudzania niczyich podejrzeń. Sęk w tym, że – jakkolwiek by je nazwać – standardowe sposoby nie wchodziły w tym wypadku w rachubę. Dziewczyna raczej nie byłaby w stanie rozciąć sobie pleców i wyjąć płuc na wierzch. Wyszukiwanie „jak zrobić krwawego orła” też nie oświeciło Jakuba. Wyczytał, że w przeszłości wikingowie katowali tak jeńców, ale zdecydowanie nie robili tego w pojedynkę ani tym bardziej nie kazali im samodzielnie się tak okaleczać.

To nasunęło Wilczkowi pewną myśl. Włączył nowe okno w przeglądarce

i tym razem zaczął szukać frazy „pomoc w samobójstwie” i podobnych sformułowań.

– Naprawdę jestem niewinny! To nie ja, tylko Skoczylas...

– Przestań się pogrążyć, chłopie... Powtarzasz się... Że twój znajomek sam oblałby sobie gębę kwasem, w to jeszcze jestem w stanie uwierzyć, ale w to, że potem nam uciekł z Zakładu Medycyny Sądowej i bez połowy ryja zabił w brutalny sposób tę dziewczynę, po czym wrócił do kostnicy, to jest dla mnie śmiech na sali. Za dużo seriali o zombie się naoglądałeś...

– Kiedy Skoczylas żyje! – Grubski wykrzyczał ostatnie słowo Wojciechowi prosto w twarz. – Żyje, kurwa, i robi ze mnie kozła ofiarnego od samego początku, skurwiel jeden. To on mi podrzucił tego pieprzonego laptopa, sprawdźcie sobie odciski palców! Nawet tego gówna nie dotknąłem!

– Chyba czegoś nie rozumiem... – wyraźnie zbity z tropu nadkomisarz Gót spojrział w kierunku lustra fenickiego.

Nie widział twarzy znajdującego się po tamtej stronie naczelnika, ale domyślał się, że chyba nikt nie ogarnia w tej chwili rozumem całej sytuacji. Edward Grubski spojrział mu po chwili prosto w oczy. Wojciech niemal widział w nich wielki, migający neon z hasłem: „NIEWINNY”.

– Musicie mi uwierzyć na słowo. Wszystkiego nie jestem chyba w stanie wyjaśnić, ale to by wyglądało mniej więcej tak...

W tym samym czasie Czarkowi udało się wytropić mężczyznę – po „spotkaniu” z policjantem pobiegł w kierunku Mostu Teatralnego i wsiadł w tramwaj numer 16 jadący w kierunku Piątkowa. Busza cofnął nagranie do momentu, gdy wyraźnie widać było twarz uciekiniera, po czym wyjął z kieszeni smartfon i zrobił zdjęcie postaci na ekranie.

– Kurwa! Wiedziałem! – wykrzyczał w podnieceniu, po czym odwrócił się do Janka, który – jak się okazało – zdążył już wraz z operatorem przejrzeć nagrania z Głogowskiej. Obaj wpatrywali się w Czarka z minami wyrażającymi zdziwienie.

Busza spojrział na ich monitor, a następnie na swój. W obu przypadkach nagrany został mężczyzna, który znajdował się na fotce dostarczonej im jakiś czas temu przez Jakuba. Szkopuł w tym, że to były dwie różne osoby. Czarek niemal natychmiast zrozumiał, skąd taki wyraz twarzy u partnera – jeśli przyjąć, że widziany na uczelni i przesłuchiwany na komendzie to Grubski, wniosek, z kim zderzył się dziś Busza, nasuwał się sam.

Raz jeszcze spojrział na oba monitory, po czym zrobił zdjęcie także drugiej postaci. Minutę później razem z Chrzanem biegł już w kierunku Komendy

Wojewódzkiej.

– Stary, nie czas na sprawdzanie Fejsa! – Czarek ofuknął Jakuba, wbiegając niemal do pomieszczenia, w którym Wilczek korzystał z Internetu. – Rzeczy się dzieją, jak to młodzi teraz mówią, a ty w necie siedzisz.

– Czarek, kurna, chyba widzisz, że sprawdzam coś w związku z...

– Nie ma co sprawdzać, ruszaj dupę i chodź, bo przez ostatnie minuty śledztwo się nie wlecze, tylko za-pier-da-la!

Chwilę później Wilczek z Buszą weszli do -salki konferencyjnej. Pozostali – włącznie z Gótem, który najwyraźniej zakończył już swoje przedstawienie – stali nad laptopem Dinary. Widząc nadchodzących kolegów, Wojciech zaczął referować Jakubowi sytuację:

– Nie wiem, w którym momencie przestałeś słuchać zeznań Grubskiego, ale sprawy mają się nieciekawie. No, właściwie to przeciwnie – bardzo interesująco. Facet zeznał, i wyglądał przy tym na szczerego, że za całą sprawą stoi Adrian Skoczylas. To on morduje kolejne osoby, choć „morduje” to nie jest w tym przypadku odpowiednie słowo.

– Ale przecież... – zaczął Jakub, jednak partner nie dał mu dojść do słowa.

– Wiem, wiem, zachodzisz w głowę jak my wszyscy, jakim cudem morderca może zginąć pierwszy. Rozwiązanie tej akurat zagadki jest iście filmowe. Patrz!

Podetknął Wilczkowi pod nos smartfon i nakreślił, co udało mu się odkryć na monitoringu.

– Koleś znalazł faceta podobnego do niego z postury, a następnie pomógł mu zejść z tego świata i ucharakteryzował go na siebie. W ten sposób nie tylko uśmiercił tego typu, ale i wymazał się z naszych rejestrów, stając się anonimową, nieistniejącą osobą. Dzięki temu mógł „zdemolować” mi zapiekankę, no i pomóc także Dinarze...

– Pomóc... – Wilczek zaczął łączyć zasłyszane fakty ze swoimi poszukiwaniami w sieci. – Jesteście pewni, że po prostu pomagał umierać? Skąd brał klientów – czy może raczej pacjentów? Z Internetu? Przed chwilą szukałem w Google czegoś takiego i niczego sensownego nie umiałem znaleźć.

– A potem, zamiast szukać konkretów, po prostu sobie posiedziałeś na Fejsie, no nie? To trzeba było na nim dobrze poszperać – włączył się do rozmowy Czarek. – Popatrz na to.

Jakub pochylił się nad ekranem notebooka, tymczasem Janek krok po kroku odtworzył sposób, w jaki dotarli do rozwikłania zagadki.

– Pomyślałem, że niewiele wiemy o Dinarze i jej kontaktach tuż przed śmiercią. Założyłem, że dziewczyna korzystała namiętnie z Fejsa i Messengera jak dziewięćdziesiąt procent studentek. Oczywiście, profilaktycznie, ustawiłem status

„niedostępny” w komunikatorze, żeby nikt ze znajomych dziewczyny nie wiedział, że buszujemy po jej profilu. O ile rozmowy były pisane łamaną polszczyzną – kurde, jak ta dziolcha nieskładnie pisała, to ja wymiękam – o tyle w oczy rzuciło mi się to...

Komisarz Chrzan kursorem trzymanej przez lateksową rękawiczkę myszki wskazał na ekranie na sekcję wyświetlającą grupy, do których należała Dinara Akinfiejewna. Wśród książkowych i modowych cybertowarzystw rzucało się w oczy inne. Nazwa „Pomóż mi umrzeć” mówiła sama za siebie. Kropkę nad i stanowiła ikonka symbolizująca trupa czaszkę.

– Grupa jest stworzona jako „tajna”. Za chuja byśmy jej nie znaleźli, bo widzą ją tylko osoby, które do niej należą. Jej założycielem i jedynym administratorem, z tego, co widzę, jest koleś, który nazwał się – no, nie wierzę... Ponury Żniwiarz. To żes, facet, popłynął... Tak czy owak, wyczailiśmy już wśród użytkowników koleśia, który – że tak to ujmę – nadawałby się na Dantego. Miłosz Wybicki z Kielc. Skontaktowaliśmy się już z tamtejszą komendą. Ktoś stamtąd wraz z członkiem rodziny podjedzie do nas jutro, by potwierdzić tę teorię i rozpoznać ciało po jakichkolwiek cechach szczególnych.

– Ale i bez tego mamy stuprocentową pewność – wszedł mu w słowo naczelnik. – Wprawdzie zabezpieczyliśmy odciski palców Dantego, ale dość szybko przyjęliśmy pasującą do dowodów teorię, że to Skoczylas. I w tym całym bałaganie nikt z nas nie pomyślał, żeby choćby profilaktycznie wpuścić paluchy w system. A tymczasem, już kilka dni temu, wiedzielibyśmy, że Dante to ktoś inny.

Podał zebrany wydruki z policyjnej bazy danych. Wilczek – podobnie jak pozostali zgromadzeni w pomieszczeniu – utkwiał nos w otrzymanej kartce.

Według systemu, który mylić się w tej kwestii nie powinien, odciski palców – a zatem i całe palce, dłoń, ręka i ciało, a nawet zmasakrowana facjata – należały nie do kogo innego jak wspomniany właśnie Miłosz Wybicki z Kielc. Lat: dwadzieścia dziewięć, odsiadka paru lat za posiadanie narkotyków w znacznej ilości, wyszedł rok temu na wolność. Delikwent figuruje od tygodnia jako osoba zaginiona – nagle wyszedł z domu i nie wrócił.

Funkcjonariusze zapoznali się z dokumentami, po czym nastąpiła wymowna cisza. Po chwili Wojciech wstał i opuścił pomieszczenie. Nie minęła minuta, a już był z powrotem, dzierżąc obrotową deskę z kuchni. Położył ją pośrodku stołu, po czym, wskazując palcem, rzekł:

– Moim skromnym zdaniem – oto nasz morderca. Nasz CK.
– Ciężki Kloc? – zdziwił się Czarek. – Ciosany Kołek? Ciulas z Kielc?
– Pozabijali się deską obrotową? – spytał wyraźnie rozbawiony Janek.
– Nie, jełopy, ta wasza klocowata deska nazywana jest „cichym kelnerem”, dlatego że dyskretnie obsługuje cały stół. I podobnie nasz zabójca, czyli w chwili obecnej, jak zakładamy, Skoczylas – po cichu, po kryjomu, pomaga innym. Ścisłej:

odejść z tego świata. Pomógł tak temu całemu Wybickiemu – wiemy już przecież, że gość miewał myśli samobójcze – i pomógł Dinarze Akinfiejewnej. Sobie poniekąd też. Wiemy też, że jeszcze parę osób jest lub było chętnych do skorzystania z jego usług, on zaś ma przy tym chyba niezłą zabawę, robiąc z nich niemal gwiazdy. Pieprzony astronom.

– Odważna teoria... – odezwał się po chwili naczelnik. – Nie mówię nie, ale to by oznaczało, że po pierwsze, znalibyśmy sprawcę, po drugie, rola Edwarda Grubskiego w tym wszystkim stanęłaby pod znakiem zapytania, po trzecie, trzeba będzie w miarę delikatnie pogadać z Kielcami, jak przyjadą.

– Okej... – Wilczek zamyślił się. – Ale w takim razie po co Grubskiemu byłby potrzebny laptop Dinary? Skoczek miałby mu go podesłać, by zrzucić na niego winę i chronić samego siebie?

– Na to by wychodziło... A nasz Edzinek zdał sobie – niestety, za późno – sprawę, że popaprany kolega robi z niego kozła ofiarnego. Laptop dzisiaj faktycznie został dostarczony kurierem, w kartonie – dzwoniłem do dostawcy, potwierdził całą sytuację. Grubski wiedział, że niczego nie zamawiał, toteż odstawił karton w kąt, obawiając się najgorszego. Dopiero my, po zatrzymaniu i przesłuchaniu go, rozpakowaliśmy paczkę. Przy okazji, koleś jest skłonny do współpracy – tylko nie wiem, co nam po tym.

– Skoro Skoczylas już raz mu coś podrzucił, to może skontaktuje się z nim ponownie? Nie mam pojęcia...

Paproćko najwyraźniej, podobnie jak pozostali, zastanawiał się, jakie dalsze kroki podjąć. Po krótkiej naradzie uznali, że tego dnia niewiele więcej zdołają – Grubski złożył już zeznania, spędzi dwie noce na dołku, może w poniedziałek rano coś raczy dodać lub zmienić, a tymczasem wszyscy nieco wypoczną i skorzystają z uroków weekendu, by w poniedziałkowy poranek ze świeżymi umysłami spotkać się ponownie na komendzie.

IX

Poniedziałek, piętnasty czerwca 2015

Po raz pierwszy od czasu znalezienia zwłok Dantego wszyscy stawili się o ósmej rano na komendzie w świetnych nastrojach. Widać było, że weekend dużo im dał, pozwolił się zresetować. Równie mocno emanowali chęcią podjęcia dalszych działań związanych ze śledztwem.

– Podejrzewam, że nie tylko ja przemyślałem sobie to i owo podczas wypoczynku – Paproćko zaczął odprawę. – Chętnie wysłucham jednak najpierw waszych pomysłów.

– Wspomniałam o tej facebookowej grupie Michałowi – zaczęła nieśmiało Agata, po czym dodała: – No, bo wiecie, informatykiem jest, a przypadkiem interesuje się też marketingiem internetowym, to i fejsa musi mieć obcykanego. Dowiedziałam się, że do grupy ustawionej jako „tajna” nie jest łatwo dołączyć, bo nie można jej w żaden sposób wyszukać. Michał jednak sugeruje, żeby założyć fikcyjne konto, nazwać je – powiedzmy – Tomek Nowak, a potem wysłać prywatną wiadomość do administratora grupy, że polecał ją nam „znajomy, który chciał skorzystać z usług”. Tym samym zapewnimy sobie pewne alibi, bo żaden trup się nas nie wyprze, a być może uda się nam przeniknąć do grupy.

– Ale po co tyle zachodu? – zdziwił się Czarek. – Przecież już teraz możemy tam wejść przez konto Dinary i poczytać, a potem spróbować z tego wszystkiego wyciągnąć logiczne wnioski.

– Chyba wiem, jaki cel przyświecał twojemu mężowi – odezwał się zamyślony do tej pory Janek. – Jako ten cały Tomek moglibyśmy umówić się na kolejne planowane samobójstwo, a tym samym złapać mordercę podczas naszej prowokacji. Kurde, twój chłop to ma głowę! Nie myślał przypadkiem, żeby pracować w policji?

Salwa śmiechu stanowiła chyba najlepszy komentarz do żartobliwej, choć – prawdę mówiąc – słusznej propozycji komisarza Chrzana.

– Idąc tym tropem, mógłbym wcielić się w tego Tomka – podjął temat Wojciech. – Mnie z pewnością Adrian Skoczylas na oczy nie widział. Ale wracając jeszcze do pomysłów, to pomyślałem, że powinniśmy zdobyć jak najszybciej billing rozmów z komórki Grubskiego. Nie wygląda mi na takiego bystrzaka, który by korzystał z budek telefonicznych – zresztą, jeszcze żadnej nie widziałem u was w mieście na oczy. Zakładam, że jeśli nie kupił sobie żadnej karty pre-paid, to wszystkie rozmowy do tej pory musiał odbywać ze swojego numeru. Tym samym moglibyśmy sprawdzić, czy i jak często kontaktował się ze Skoczylasem, i spróbować dociec, czy są w zмовie, czy faktycznie kolega wystawił go do wiatru.

Okazało się, że dokładnie na ten sam pomysł sprawdzenia wykazu połączeń wpadł Paproćko. Dość szybko rozdzielili między siebie zadania – Gót, Chrzan i Busza mieli zająć się stworzeniem cyfrowej tożsamości Tomka Nowaka, korzystając z pomocy Agaty będącej ewentualnie na łączu z mężem. Iza z Jakubem zagłębili się natomiast w wykaz wykonywanych i odbieranych rozmów z telefonu Edwarda Grubskiego.

Ślęczeli właśnie nad wydrukiem z listą połączeń, próbując wśród nich znaleźć zarówno numer Skoczylasa, jak i rozszyfrować pozostałe, kiedy Izabela zdecydowała się zadać pytanie, które nurtowało ją od kilku dni:

– Jak to wszystko znosi Dominika?

– To znaczy? – Wilczek nie za bardzo wiedział, co rzeczniczka ma na myśli.

– No, wiesz, próbuję postawić się na jej miejscu. Ginie jej najlepsza przyjaciółka, potem nagle odnajduje się martwa i to w takim stanie, że strach się bać. A potem do akcji wkracza seryjny morderca i włamywacz, który wchodzi do jej pokoju i kradnie laptopa. Dość dużo wrażeń. Nie wiem, co ona by bez ciebie zrobiła...

– Beze mnie? Ale ja nic wielkiego nie robię...

– Ona uważa inaczej. I mam nadzieję, że ty też... – dodała, rzucając na niego przenikliwe, ostrzegawcze spojrzenie. – Rozmawiałam z nią chwilę w akademiku, gdy byliście zajęci zdejmowaniem odcisków palców i ściganiem połowy lokatorów. Jakub, ona się cieszy, że ponownie do ciebie wróciła. Jesteś dla niej jedynym oparciem i liczy na to, że tak zostanie także po tym, jak złapiemy tego sukinsyna. Nie widzisz tego?

– Widzę, ale...

– Ale co? Przecież tu nie ma żadnego „ale”! Przecież na kilometr widać, że was do siebie ciągnie! Czego wy się boicie? – Nie czekając na odpowiedź, atakowała dalej: – Strach ma wielkie oczy, ale poza tym to kurdupel, jakich mało. Jest jak z powieści Tolkiena – wyłupiasty, brzydki, ale można sobie z nim poradzić i nie trzeba go nawet wyprowadzać aż do Mordoru.

Wilczek roześmiał się, a następnie oparł łokcie o blat biurka, chwytając się za głowę. Milczał. Komisarz Malak, nie chcąc wyprowadzać go z równowagi, podjęła w tym czasie cichą, skrupulatną analizę numerów telefonicznych. Nagle Jakub wstał, podziękował i ruszył w kierunku drzwi.

– A ty dokąd? – spytała zmieszana.

– Na pole bitwy. Idę do Dominiki, zanim będzie za pó...

Trzask drzwi zagłuszył wypowiedź Jakuba, jednak Izabela i tak domyśliła się reszty zdania. Mając pewność, że nikt nie patrzy, wykonała, rozentuzjasmowana, „cieszynkę” na miarę tych stadionowych, po czym wróciła do istic pasjonującej lektury billingu Edwarda Grubskiego.

Parę godzin później ponownie zebrał się w sali odpraw. Wszyscy z wyjątkiem Wilczka, którego rzeczniczka zaczęła usprawiedliwiać:

– Z tego, co wiem, miał ważną sprawę rodzinną do załatwienia. Chciałabym też zauważyć, że Jakub nie jest niezastąpiony, a trzeba pamiętać, że mamy w ekipie drugiego nadkomisarza.

To rzekłszy, puściła delikatnie oko do Wojciecha, który natychmiast się zarumienił. Nie uszło to uwadze Czarka, który – jakby spodziewając się takiego obrotu spraw – zaczął delikatnie wygwizdywać melodię *All you need is love* z niedawno oglądanej komedii *To właśnie miłość*. Szukał ostatnio komedii romantycznej dla siostry, ostatecznie obejrzał ją sam i dopiero podczas seansu okazało się, że to bożonarodzeniowe *love story*, a nie uniwersalna historyjka o unoszącej się w powietrzu chemii. Niemniej melodia, choć występowała na początku filmu, bardzo wpadła mu w ucho i nucił ją przy każdej możliwej okazji – a ta niewątpliwie była jedną z bardziej odpowiednich.

– Wróćmy może na ziemię... – przerwał mu delikatnie naczelnik, choć widać było wyraźnie, że ta rozluźniona atmosfera mu nie przeszkadza. – Jak się ma kwestia billingu do zeznań złożonych przez Grubskiego?

– Nie jest dobrze... to znaczy jest... zależy dla kogo. W tym wypadku dla niego – faktycznie nie nawiązywał ani nie odbierał połączeń od Skoczylasa. Ostatni raz szóstego czerwca, czyli dzień przed zabójstwem Dantego. Od tamtej pory dzwonił jedynie pod trzy numery. Sprawdziliśmy wszystkie trzy.

Wprawdzie Izabela sprawdziła je sama, ale Wilczek w tym czasie był zajęty czymś o wiele ważniejszym. Dalej jest, biorąc pod uwagę jego nieobecność.

– Niestety nie oczekujcie tutaj sensacji. Wydzwaniał, po pierwsze, do pizzerii, po drugie – do korporacji taksówkarskiej, po trzecie – do rodziców. Wiem na sto procent, bo dzwonił na telefon stacjonarny, który udało mi się znaleźć w tak archaicznej, grubej knidze jak książka telefoniczna z 1998 roku. I nie pytajcie, skąd ją wytrzasnęłam, ale uznajmy, że dobrze wykorzystałam moje dziennikarskie znajomości.

Jacek Paproćko skinął głową – podobała mu się rzetelność rzeczniczki prasowej. Musi z nią porozmawiać po skończeniu śledztwa, czy nie chciałaby jeszcze czynniej włączyć się w działania tej grupy przy kolejnych sprawach. Skierował swój wzrok na pozostałych funkcjonariuszy.

– Udało nam się osiągnąć sukces – zaczął niepewnie Janek, jednak dość szybko przerwał mu Wojciech.

– Krótko, zwięźle i na temat, to nazywam się Tomek Nowak, mam niecałe cztery dychy na karku i uważam, że już się na tym łez padole naharowałem jak dzika świnia. Pożaliłem się na Facebooku, jaki ten świat jest be, że o kant dupy wszystko potłuc, zaczynając od polityków, że nie o taką Polskę walczyłem, że – jak

to leciało? – „ACTA-sracta – Smoleńsk, kurwa!” i tak dalej. Dzięki nieocenionej pomocy Michała udało się nawet jakimś cudem upchnąć te wszystkie żale i wyżymania mózgu lub jego resztek na przestrzeni ostatnich kilku lat, co ma uwiarygodnić moje nowe ja. No a potem to już poszło z górki – napisałem do tego popaprańca i umówiliśmy się dziś o dwudziestą trzecią w parku Gagarina, pod pomnikiem, żeby „ustalić szczegóły zlecenia”, jak to ładnie ujął. Mam nadzieję, że wiecie, gdzie to jest, bo mi to nic nie mówi.

– Ja bym to widział tak...

Czarek niespodziewanie przejął pałeczkę i już miał zacząć wyłuszczać swój pomysł przeprowadzenia policyjnej akcji, kiedy do sali wszedł Wilczek. Bąknął niezrozumiałe przeprosiny i kiwnął głową w stronę Buszy, by ten kontynuował, po czym odwrócił się w kierunku świdrującej go wzrokiem Izabeli i podniósł oba kciuki w górę. Busza kontynuował swój wywód. Pozostali słuchali w milczeniu. Kiedy skończył, musieli przyznać, że plan naprawdę miał ręce i nogi.

O godzinie czternastej podjechali do parku, by zbadać teren i ustalić potencjalne kryjówki dla poszczególnych funkcjonariuszy. Dość szybko zauważyli jedną z kamer osiedlowego monitoringu i uznali, że Czarek, którego morderca widział na oczy, mógłby zasiąść za sterami i kontrolować, z której strony nadchodzi Cichy Kelner alias Dobry Samarytanin. Tym samym, zasłużenie, poprowadziłby całą akcję jako jej pomysłodawca.

Dwójka podstawionych funkcjonariuszy miała siedzieć po cywilnemu na jednej z pobliskich ławek i odgrywać zakochaną parę, ktoś inny zgłosił się, że o tej porze z reguły biega kilkanaście kilometrów, więc, dla odmiany, zamiast stałą trasą może robić szybkie pętle po parku. Podczas gdy Wojciech zapoznawał się z terenem i szczegółami planu Buszy oraz zapamiętywał najistotniejsze informacje dotyczące wykreowanego dla siebie wizerunku zdesperowanego i zmęczonego życiem Tomasza Nowaka, Jakub z Jankiem odkryli, że dach pobliskiego sklepu z chemią oraz umiejscowionego na skos wieżowca na osiedlu Wichrowe Wzgórze, a także stojącego na osiedlu Kosmonautów niskiego bloku, doskonale nadają się na dodatkowe punkty orientacyjne. Wilczek uznał, że na każdym z nich powinna się znaleźć jedna osoba z dobrą lornetką lub lunetą snajperską, ponadto przy pobliskich garażach warto umiejscowić kogoś rzekomo dłubiącego w swoim aucie, a w rzeczywistości gotowego do oddania w każdej chwili jak najbardziej celnego strzału, gdyby sprawy przyjęły nieoczekiwany obrót.

Kwadrans przed dwudziestą trzecią Wojciech Gót alias Tomasz Nowak zameldował się na umówionej pozycji. Pamiętał, by nie rozglądać się

w poszukiwaniu kolegów, bo tym samym zdradzi ich zamiary i pozycje, paląc cały misternie przygotowany plan. Ufał, że Busza ma wszystko pod kontrolą – i tak w istocie było. Czarek nadzorował wszystkich poprzez krótkofalówkę i obsługiwaną przez siebie kamerę. Jak dotąd wszyscy byli zvarci i gotowi, brakowało jedynie gwoździa programu, który miał za chwilę wbić gwóźdź do swojej trumny. Minęło ponad pół godziny, podczas której nie działo się nic. Wojciech, czekając przy pomniku, z nudów zaczął grać na telefonie, para mizdrząca się na ławce powoli traciła już pomysły na kontynuację odgrywanego przedstawienia, garmin biegającego funkcjonariusza alarmował o tym, że połowa zaplanowanego dystansu została już osiągnięta...

– Idzie ktoś! – przerwał niespodziewanie ciszę Jakub, obserwujący sytuację z dachu wieżowca. – Idzie prosto na naszego biegacza!

– Biec na niego czy zawracać jak ten debil? – Mimo szczerych chęci pędzący funkcjonariusz nie był w stanie w inny sposób zmienić swojej trasy, by nie kolidowała z drogą pokonywaną przez nadchodzącą postać. Zgodnie z poleceniem Czarka pobiegł dalej prosto, mijając mężczyznę i zaszczycając go zaledwie jednym spojrzeniem.

– To on... – niemal szeptem poinformował pozostałych, po czym zaczął modyfikować trasę w taki sposób, by bez wzbudzania podejrzeń jak najszybciej wrócić w stronę Góta.

Tuż przed dwudziestą ustalili, że przebiegając koło Wojciecha i Skoczylasa, popchnie niespodziewanie tego drugiego, a następnie razem obezwładnią go i zakują, asekurowani przez leżącego na dachu pobliskiego sklepiku Janka, który w razie potrzeby miał zeskoczyć i przyjść z odsieczą.

Wykręcił szybkie kółko wzdłuż ulicy Serbskiej, uznając, że im szybciej będzie biegł, tym lepszy efekt osiągnie. Rozpędzony, skręcił w stronę pomnika pierwszego człowieka w przestrzeni kosmicznej i wtarabanił się z impetem na rozmawiającego z Wojciechem faceta.

X

Wtorek, szesnasty czerwca 2015

– Jak tam nasz ptaszek? Ładnie ćwierka?

Kwadrans po północy komendant wraz z Jackiem Paproćko weszli do sali odpraw, gdzie czekali niemal wszyscy funkcjonariusze. Przed chwilą sam komendant, mimo późnej pory, zdecydował się wykonać telefon do prokurator Marędzia, informując – ku jej konsternacji i początkowemu niezrozumieniu – że „orzeł wylądował, a i sępa złapaliśmy”.

– Niech pan sam posłucha.

Czarek wskazał palcem na lustro fenickie. Tuż za nim, w sąsiednim pomieszczeniu, Jakub z Wojciechem zabierali się właśnie do zabawy w dobrego i złego gliniarza. Czarek był ciekaw, który wybierze tę mniej przyjemną rolę bycia najlepszą psiapsiową oskarżonego.

– Wiesz, dlaczego tu siedzisz? – zaczął bez ogródek Wilczek.

– Bo nie chce mi się stać? – wyszczerzył zęby Skoczylas.

– Nie, bo jesteś pieprzonym mordercą! – odparował Wojciech. – Tak przyjemnie ci było pozorować własną śmierć, by móc zabijać innych?

– Żebyś wiedział, psie! Przyjemnie, to było patrzeć, jak biegacie na oślep i gównu potraficie rozwiązać, a nie sprawę. A poza tym nikogo nie zabiłem.

– Coś mi się wydaje, że mamy odmienne zdanie na ten temat. Ten gość, który leżał przy trasie PST, Dinara... Jesteś wcielonym złem, wiesz?

– Nie zabiłem ich, to oni już dawno zabili siebie, decydując się na dobrowolne i w pełni świadome odejście z tego świata. Ja im tylko pomogłem, podałem pomocną dłoń. Jeśli już chcecie się bawić w te gadki w stylu dobro i zło, piekło i niebo, to coś wam powiem – dla nich wszystkich jestem Aniołem. Takim, który ułatwia przejście ze świata żywych do świata umarłych, a właściwie odwrotnie.

– Co odwrotnie? – zdębiał Wilczek.

– Ano to, że życie, to się dopiero po śmierci zaczyna! Tutaj, to sobie byle jak egzystujemy, to jest taka marność nad marnościami, że nawet tego życiem nie można nazwać. Ale tam, w wieczności... to jest coś... Nie rozumiecie? Dałem im życie! Nawet nie wiecie, jak mi dziękowali! Wszyscy troje! A wy, niewierni, zginiecie spaleni w piekle!

Jakub i Wojciech spojrzeli na siebie zdumieni, starali się jednak nie okazywać zbyt, że wiedzą tylko o dwóch ofiarach z trzech. Co więcej, teksty o piekle – być może nieprzypadkowo – idealnie korespondowały z pierwotnym

kryptonimem sprawy, związanym z Dantem i jego kręgami piekielnymi. W końcu głos zabrał Wojciech.

– Dlaczego niby my wszyscy jesteśmy niewierni, a ty nie?

– Nie wszyscy są niewierni, lecz ci, dla których życie wieczne nie jest cenniejsze niż to marne na ziemskim padole – głos Skoczylasa brzmiał, jakby wygłaszał płomienne kazanie z ambony, a nie siedział przesłuchiwany na komendzie. – Sam Jezus powiedział, że kto straci swoje życie, ten je zyska, a...

– Dobra, dobra – przerwał mu Jakub. – A czy przypadkiem to nie Bóg w takim razie powinien decydować o życiu i śmierci?

– Powinien i decyduje. Ja tylko jestem Jego pomocnikiem. Wysłannikiem. Bo żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało...

– A co na to twoja rodzina? – Wojciech starał się powstrzymać od o wiele dosadniejszego, choć wyświechtanego zwrotu: „matka wie, że ćpiesz?”.

– Rodzina? Napisane jest przecież, że wiele otrzyma ten, kto zostawi swojego ojca i matkę i pójdzie tam, dokądkolwiek zostanie posłany.

Wilczek spojrzał na warszawskiego kolegę. Takich herezji dawno nie słyszał, nawet od nagabujących go raz po raz Świadków Jehowy. Wprawdzie nie znał na pamięć Biblii, poza tkwiącym w umyśle cytatem: „Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego”¹, zapamiętanym bodajże z własnej komunii, jednak czuł, że Skoczylas sypie tekstami w taki sposób, by zawsze mieć „religijne” usprawiedliwienie dla swojej chorej ideologii. Wilczek był przekonany, że Stworzyciel miał coś innego na myśli, a takie postawienie sprawy mogło pociągnąć za sobą o wiele więcej szkód niż ta wspomniana trójka trupów. I to pod warunkiem, że Skoczylas jest jedynym członkiem ewentualnej sekty, która miałaby tak psychopatyczne poglądy.

– Okej... – podjął po chwili temat Wojciech. – Nie do końca jasne są dla nas twoje motywacje, ale chętnie spróbujemy zrozumieć to wszystko i spojrzeć na świat twoimi oczami. Opowiedz, jak to z nimi wszystkimi było...

– Sam pan słyszy... – Widząc zdumienie komendanta, Czarek wyłączył głośnik. – Na razie śpiewająco przyznał się do trzech morderstw. Dumny jak paw, obnoszący się osiągnięciami jak sroka jakimś złotym gów... znaczy błyskotką, panie komendancie – poprawił się natychmiast, w myślach ganiąc się za taką gafę.

Liczył po cichu na premię za świetnie skrojoną akcję – co z tego, że sam siedział w ciepélku, pił zrobioną mu przez operatora kawę i bawił się kamerą mniej więcej tak samo namiętnie jak podczas pierwszego kontaktu z dronem, który rok temu sprawił sobie na święta. Że też, kurwa, nie pomyślał, żeby wykorzystać ten sprzęt podczas śledztwa! Premia byłaby murowana, a i dobry piar by policji zrobił. Już w myślach widział te nagłówki: „Policjanci z dronami. Nikt się przed nimi nie

ukryje”, „Jest broń, jest dron, show must go on!”...

Tymczasem jedyne, czego mógł się spodziewać w prasie, to – w zależności o tego, ile informacji Iza mediom podrzuci – albo zwięzłej informacji o zatrzymaniu Cichego Kelnera, albo opisu akcji, której głównym bohaterem był rozpędzony Rafał, przechodzący właśnie obdukcję. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. A jeśli jest, to bolesna...

– Kto jest trzeci? – zachodził w głowę Paproćko. – Jedyni, których i tak z trudem odnaleźliśmy, to ten kielecki męczennik i Dinara...

– Włączyć ponownie fonię? – rzucił Czarek i, nie oczekując odpowiedzi, sięgnął ręką w kierunku przycisku.

– Nie – zaoponował komendant. – Nie wiem jak wy, panowie, ale ja wolę sobie oszczędzić słuchania szczegółowej relacji z ust tego fanatycznego popaprańca.

– Racja, racja – przytaknął naczelnik Paproćko.

– Poczekajmy zatem, aż wyjdzie Little Jacob i nas oświeci...

Po chwili drzwi do pokoju przesłuchań otworzyły się i wychodzący Wilczek ruszył w stronę czekających kolegów. Równocześnie dwóch funkcjonariuszy weszło do sali, w której pozostał Skoczylas. Nie mogli pozwolić sobie na to, by wywinął im teraz jakiś numer.

– Dupek dalej odstawia Breivika i puszy się tym, co zrobił. To on wysłał do „Całej Prawdy” zdjęcia Dantego, to on wymyślił – nie wiem, jakim cudem, przy swojej wrodzonej głupocie – ten wierszyk, który przysłał Agacie mailem. Chciał rozgłosu, najlepiej na całą Polskę. Po półgodzinnej rozmowie z nim jestem niemal pewien, że ma nierówno pod sufitem. Brak mu piątej klepki, co do trzeciej i czwartej też mam wątpliwości. Moim zdaniem powinniśmy go obowiązkowo wysłać na badania psychiatryczne, żeby przekonać się, czy jest poczytalny. I, co ważniejsze, czy był ponad tydzień temu, gdy opowiadał Grubskiemu o swoich morderczych zapędach.

– A co z tym trzecim morderstwem? – spytał prosto z mostu komendant.

– Może zacznę od pierwszego. Jak już sami się dowiedzieliśmy z Facebooka, Adrian Skoczylas wpadł na iście genialny w swoim mniemaniu pomysł wspierania niezdecydowanych samobójców w podjęciu i wyegzekwowaniu „jedyniej słusznej” decyzji. Pierwszy napatoczył mu się niespełna trzydziestoletni Miłosz Wybicki, któremu znudziły się zarówno widok zza kieleckich krat, jak i samo życie. Dogadali się i zdesperowany chłopak przyjechał aż tutaj, by dać się zabić. Po dotarciu na miejsce, w którym staruszek znalazł ostatecznie ciało, Skoczylas najpierw uśpił chłopaka, dając mu do przełknięcia zestaw tabletek z apteki, a następnie ubrał go w kupiony na tę okoliczność dres Legii, po czym zabrał się za

właściwe „dzieło”. Innymi słowy: najpierw z dziką wściekłością i nieskrywaną radością wbił mu dwadzieścia dwa razy nóż w klatkę, a potem oblał go kwasem, którego źródła pochodzenia nie zamierza ujawniać. Przyznał przy tym, że brak twarzy miał nas zmylić i zasugerować, że to on jest ofiarą. Dumny jest z tego jak cholera.

– Druga ofiara, Dinara Akinfiejewna – kontynuował temat Wojciech. – Wypatrzył ją na jakiejś imprezie, od słowa do słowa dowiedział się o jej kiepskiej kondycji psychicznej i wspaniałomyślnie nakierował na facebookową grupę śmierci. Potem zaprosił nad Rusałkę na spacer, zaprowadził na stadion Olimpii – nie chce powiedzieć, w jaki sposób ominęli dziadka z ochrony – uśpił w ten sam sposób i...

Wojciech zawiesił głos, spoglądając na Wilczka. Ten kiwnął głową na znak, że nie ma co bawić się w ciuciubabkę i lepiej powiedzieć prosto z mostu. Gót zaczerpnął powietrza i zaczął mówić dalej:

– Twierdzi, że rozkrwanie i wybebeszanie dziewczyny w taki sposób, by przypominała „krwawego orła”, o czym już wiemy, stanowiło dla niego niesamowitą frajdę. Ponoć naczytał się jako dziecko jakichś książek o historii Wikingów i już wtedy wyobrażał sobie, że jest takim mściwym, krwawym, zarośniętym sukinsynem. Widać, czym skorupka za młodu nasiąknie... A przy okazji, jest bardzo ukontentowany, że jakiś dziennikarzyna w sieci nazwał go „wikingiem z Poznania”. I zarzeka się, że każda kolejna osoba miała umierać i zarazem odradzać się na nowo inaczej, by trudniej było je ze sobą powiązać.

– A trzecia ofiara...? – zapytał cicho nieco przytłoczony tymi informacjami naczelnik.

– Trzeba podskoczyć nad Rusałkę. Twierdzi, że koło dwudziestej pierwszej powiesił tam dziś na moło kolejną ofiarę, jakiegoś Witka o dziwnym nazwisku.

– Mówiłem, że seryjniak? Mówiłem?!

Komisarz Chrzan wydawał się... spełniony? Jego instynkt nie zawiódł, choć w tym przypadku lepiej byłoby, gdyby nie miał racji. Spojrzał porozumiewawczo na swojego partnera, a po chwili razem z Buszą i kilkoma innymi funkcjonariuszami wsiedli do radiowozów, by podążyć w stronę jeziora.

Jakub podszedł do warszawskiego kolegi i poklepał go po ramieniu.

– Gratuluję, Wojtek. Ja po pierwsze nie wiem, czy miałbym tyle odwagi, żeby spotkać się na otwartej przestrzeni w parku z tym zakapiorem, a po drugie – świetnie wyciągnąłeś z niego wszystkie potrzebne informacje.

– A tam od razu wyciągnąłem. Że morduje, bo przyświeca mu chora misja pomagania samobójcom, to już wiedzieliśmy wcześniej. Ja tylko sprawiłem, że to samo wyszło z jego ust.

– Mam nadzieję, że sukinsyn powtórzy to samo w sądzie – mruknął Wilczek.

– Powtórzy, powtórzy. To jego największe, jeśli nie jedyne, dzieło życia.

Szczyci się tym, co zrobił, i chętnie opowiada. Ale gdyby nagle nabrał wody w usta, to jesteśmy zabezpieczeni.

Uśmiechnął się porozumiewawczo i wyjął z kieszeni swój nieodłączny dyktafon.

O piętnastej trzydzieści kawalkada radiowozów i cywilnych samochodów podjechała pod budynek dworca Poznań Główny. Nikt nie odmówił sobie przyjemności pożegnania Wojciecha – nawet Dominika. Gót postanowił, że dopóki trwa impas, związany z wysłaniem Adriana Skoczylasa na badania, powinien wrócić do swojej rodzimej jednostki. Sprawa dobiegła końca, jego misja także – pozostanie mu przyjeżdżać na rozprawy w charakterze świadka. Wraz z dyktafonem, -oczywiście.

– Ale wpadniesz za tydzień na moje urodziny? – spytała Iza, po czym dość szybko dodała: – Wy też czujcie się zaproszeni, rzecz jasna.

Parsknęli śmiechem. Jakub mocniej objął stojącą obok niego Dominikę. Śledztwo dobiegło końca, mógł jej poświęcić teraz o wiele więcej uwagi – aż do kolejnego razu. Akademik stał się na powrót bezpiecznym miejscem, ale żadne z nich nie rozpoczynało tematu ewentualnej przeprowadzki dziewczyny.

– Przyjeżdż koniecznie w wakacje, Wojtek – odezwał się Czarek. – Bo przez tego popaprańca niewiele Poznania poznałeś.

– No, można by polemizować – uśmiechnął się zuchwale Gót. – Powiedziałbym, że dobrze wykorzystałem weekend...

Mrugnął okiem do Izabeli. Ta, co było do przewidzenia, zarumieniła się.

Na policyjnym rynku uczuć zapowiadała się hossa...

1 *Psalm 23* (Ps 23, 1), *Biblia Tysiąclecia. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Wydawnictwo Pallotinum w Poznaniu, Poznań 2003. Dostępne w Internecie [www.biblia.deon.pl].

EPILOG

Sierpniowa pogoda rozpieszczała Polaków. Nie trzeba było wyjeżdżać do ciepłych krajów – to one przyjechały do nas. Sorry, taki mamy klimat. Poznańskie plaże przeżywały oblężenie, tu i ówdzie uprawiający smażing i plażing ustawili nieszczęsne parawany, jakby razem z Mr. Zoobem chcieli za chwilę zaśpiewać, że ich jest ten kawałek podłogi.

Wilczek dziękował w duchu, że nie musi nosić munduru. Wprawdzie te nowe były lżejsze, wygodniejsze, ale i tak bywało w nich gorąco. Zresztą – po pierwsze, nie był właśnie na służbie, po drugie, hala przylotów lotniska Poznań-Ławica była nie tylko zadaszona, ale i klimatyzowana. Cud, miód i gdzieniegdzie brud – skonstatował.

Trzy dni temu Wojtek przedzwonił do niego i poprosił o odebranie go z lotniska. Jednak chętnie pozwiedza i nadrobi czerwcowe zaległości. Po roześmianiu się i małym prztyczku: „w *stolicy* się powodzi, na bogato się po kraju szlajasz”, Jakub zapewnił, że z miłą chęcią wraz ze swoim jeżdżącym akordeonem zapewni mu transport z Ławicy. Zapowiadał się fajny, luźny czas wakacji, podczas których większość ludzi uciekła poza miasto. Część kolegów postanowiła dorobić sobie podczas urlopów i swoje „wczasy pod gruszą” spędzała nad morzem, wspierając za dodatkową opłatą tamtejsze jednostki, a przy okazji zażywając miejscowych uroków.

Jedyną rysę na wakacyjnej perle stanowił proces Skoczylasa, a właściwie jego szybki finisz. Mężczyzna został uznany za niepoczytalnego i oddelegowany do zakładu psychiatrycznego na stałą obserwację. Jakub i pozostali funkcjonariusze wiedzieli, że takie jest prawo, a prawo respektować trzeba, jednak czuli pewien niedosyt. Zwłaszcza Czarek, który wprawdzie otrzymał wymarzoną premię, ale teraz uwierała go ona nieco. Nie o taką Polskę walczyli, nie o taki finisz im chodziło.

Samolot z Okęcia zaczynał właśnie lądować na płycie lotniska. Wilczek wpatrywał się przez szybę przeszklonego tarasu, jak pilot powoli zatrzymuje maszynę i zamierza kołować. Nagle poczuł, że ktoś przyłożył mu do karku zimny przedmiot.

Lufa pistoletu? – pomyślał. Powoli, choć nie bez nerwów, odwrócił się i spojrzał mężczyźnie w oczy.

PODZIĘKOWANIA I POSŁOWIE

Nasz narodowy wieszcz pisał: „Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga; / Łam, czego rozum nie złamie: Młodości! Orla twych lotów potęga”¹. Idąc tym tropem, jako młody adept sztuki pisarstwa – by nie rzec: czeladnik w tym rzemiośle – wzniosłem się na wyżyny fantazji, łamiąc przy tym zapewne kilka (kilkanaście? kilkadziesiąt?) schematów działania policji, zwłaszcza na szczeblu Komendy Wojewódzkiej. Takie są prawa młodości, a zarazem prawo pisarza – to, co na papierze, nie musi ani trochę odzwierciedlać rzeczywistości. Wnikliwi czytelnicy, obeznani z pracą policji, najprawdopodobniej dostrzegą nieścisłości – były w dużej części zamierzone.

Niemniej jednak, książka ta nie powstałaby bez pomocy merytorycznej, jaką otrzymałem od Krzysztofa, Macieja, Marka i Arkadiusza oraz innych przyjaźnie nastawionych policjantów, którzy cierpliwie wysłuchiwali moich pytań, odkrywali arkana swojej pracy, komentowali ewentualne pomysły na rozwój fabuły. W większym lub mniejszym stopniu korzystałem z ich cennych rad. Wypada tu zauważyć, że niezbyt realny pomysł, by osoba pełniąca funkcję rzecznika prasowego była aż tak zaangażowana w śledztwo, to moje osobiste widzimisię i swoisty ukłon w stronę mojej Alma Mater – Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. O ile dziennikarze często przewijają się w kryminałach jako bohaterowie pierwszo- lub dalszoplanowi, o tyle z rzecznikiem prasowym (w dodatku kobietą) jeszcze się nie spotkałem, zwłaszcza w polskich kryminałach. W zagranicznych pomysł ten znajduję jedynie u Jørna Liera Horsta, którego twórczość bardzo cenię i zarazem polecam. Poruszyłem zatem niebo i ziemię, nagiąłem to i owo, wykorzystując *licentia poetica*, by było Wam dane spotkać na kartach powieści kogoś takiego jak Izabela Malak.

Dziękuję wszystkim zaprzyjaźnionym osobom, wtajemniczonym w powstawanie tej książki. Trzymaliście kciuki, wspieraliście – nie ukrywam, że było to dla mnie dużą motywacją. W tym miejscu pragnę zatem serdecznie podziękować przede wszystkim Magdalenie Knedler, Agnieszce Garczyńskiej i Dawidowi Pająkowi za przeczytanie tekstu i krytyczne uwagi. Dziękuję także Marcie Reich i Joannie Opiat-Bojarskiej za dobre słowa, kierowane do mnie podczas powstawania *Kelnera*.

Dziękuję Wydawnictwu Novae Res za zaufanie, jakim postanowili obdarzyć debiutanta, oraz wszelką pomoc okazaną podczas współpracy. Mam cichą nadzieję, że jeszcze się spotkamy w podobnych okolicznościach.

Dziękuję Tobie, Czytelniku/Czytelniczko, za Twój czas, poświęcony na lekturę tej książki. Mam nadzieję, że było to emocjonujące przeżycie i zechcesz

podzielić się nim z innymi fanami kryminałów oraz zagadek, których rozwiązanie nigdy nie jest tak oczywiste, jak mogłoby się wydawać.

Przede wszystkim pragnę jednak podziękować, jak uczyniłem to już w dedykacji, mojej Żonie – Barbarze – będącej pierwszym czytelnikiem, krytykiem, coachem, muzą i pomysłodawczynią niektórych powieściowych sytuacji. Gdyby nie Ona, najprawdopodobniej do dziś nie skończyłbym pisać tej książki.

Przemysław Garczyński

Poznań, dwudziesty drugi sierpnia 2016

1 Adam Mickiewicz, *Oda do młodości*, w: tegoż, *Wiersze filomackie*, Tower Press, Gdańsk 2000, s. 9.

Kelner

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8083-678-5

© Przemysław Garczyński i Wydawnictwo Novae Res 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Dominika Świtkowska

KOREKTA: Bartłomiej Kuczkowski, Małgorzata Szymańska

OKŁADKA: Seweryn Swacha

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zacztytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.



